

**GAZA: DRAMAT CYWILÓW
IZRAEL: GRANICE OBRONY**

**RADZIK KONTRA
KARDYNAŁ RYŚ**

**MARTYNA JAKUBOWICZ:
ZAMYKAM DOM Z BETONU**

Kraków 8 – 14 listopada 2023 nr 46 (3879)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Przyszłość niepodległości

- ★ **DARIUSZ ROSIAK: JAK GRAĆ Z UNIĄ**
- ★ **DLACZEGO KACZYŃSKIEMU
NIE WYSZŁA DYKTATURA**
- ★ **CZY TUSK POSKŁADA POLSKĘ**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



STRONY SPECJALNE
KAPLICA SYKSTYŃSKA. DZIEDZICTWO
FUNDACJA NA RZECZ NAUKI POLSKIEJ

Wykup prenumeratę i czytaj najlepszą literaturę w niskich cenach!

Czytasz książki i uważasz, że najlepiej mieć własny egzemplarz na półce? Zgadzasz się, że 40% rabatu u najlepszych wydawców to dobra oferta?

Kupując prenumeratę papierową „Tygodnika”, co miesiąc otrzymasz nowe kody rabatowe. Przez cały listopad wszystkie tytuły **Doroty Masłowskiej** i **Hanny Krall**, które ukazały się nakładem **Wydawnictwa Literackiego**, kupisz **40% taniej**.

Co zyskujesz?

- Co miesiąc inne tytuły i nowi wydawcy
- Zawsze duże zniżki
- Tylko najlepsze książki
- Oferta dla nowych i obecnych prenumeratorów

Zamów prenumeratę, podaj przy zamówieniu swój adres mailowy, a my co miesiąc wyślemy Ci unikalne kody promocyjne do wykorzystania przy zakupach w księgarni wydawcy.

Jesteś prenumeratorem?

Napisz na prenumerata@TygodnikPowszechny.pl, aby otrzymać rabat.

Oferta ważna dla każdego rodzaju prenumeraty papierowej, dostępna także w ofercie łączonej dla „Tygodnika” papierowego i cyfrowego.

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: **Tygodnik Powszechny**
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy?

Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela **Agnieszka Dyrz** w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty cyfrowej pomocy udziela **Mateusz Chmielowski** w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

PARTNER MARKETINGOWY

SALES | **manago**
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty na powszech.net/regulamin



WYBIERZ SWOJĄ PRENUMERATĘ

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
12 wydań	3 miesiące	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	rok	100 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

POKOLENIA* – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej, na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNEREM PRENUMERATY JEST
WYDAWNICTWO LITERACKIE

30 Jubileusz
Wydawnictwa
Literackiego

KS. ADAM

Boniecki: Dla kogo jest synod

ŚWIAT DZIŚ ZAJMUJE SIĘ WOJNAMI – WOJNĄ w Izraelu i wojną w Ukrainie. O tym się mówi i pisze, i to są tematy godne uwagi, w każdym razie na pewno dla nas, w Europie. Wojna w Ukrainie dosłownie ociera się o Polskę, która zaangażowała się w nią ogromnie, co jest zresztą zrozumiałe. Wojna w Izraelu i Gazie jest sprawą nie tak wcale daleką i bardziej skomplikowaną. Siłą rzeczy to, co tam się dzieje, jest punktem wyjścia do różnych komentarzy. Można się wdawać w te dyskusje, zwłaszcza wtedy, gdy się jest daleko. Nie ma wątpliwości, że w krajach arabskich sen o unicestwieniu Izraela nadal jest obecny. O unicestwieniu samodzielnej Ukrainy nawet nie warto wspominać, nie wiem, komu mogłoby to przyjść do głowy, chyba nawet Putinowi już to minęło. Skomplikowana sytuacja nakazuje powściągliwość w komentarzach. Piszemy o tym nie szczędząc czytelnikom strasznych detali i jednocześnie mając świadomość, że wiedza naocznych świadków oraz choćby nie wiem jak wiernie relacje są siłą rzeczy fragmentami większej całości, której w swym okropieństwie po prostu opisać się nie da.

Tymczasem Kościół katolicki odbywa synod, czy raczej kolejną część synodu biskupów, który zdążył już stracić w jakiejś mierze charakter episkopalny (to synod nie tylko biskupów) i został przez papieża Franciszka pomyślany jako jedno z ważnych narzędzi wprowadzanej reformy. Ta zaś polegać ma najpierw na wysłuchaniu wszystkich głosów, jakie rozbrzmiewają w Kościele. W tym numerze rozmowa Zuzanny Radzik (pilnej obserwatorki synodu) z kardynałem Grzegorzem Rysiem (uczestnikiem tegoż) z grubsza pokazuje, na czym obecnie polega praca tego zgromadzenia. Czym niektórzy obserwatorzy, a chyba także uczestnicy, są rozczarowani, co zaś budzi zachwyt. Szczególnie interesujące w tej lekturze jest zderzenie oczekiwań (Zuzanny) z tym, co rzeczywiście (według relacji kard. Rysia) tam się działo.



„Doszliśmy do wniosku, że niektóre tematy nie tyle nas różnią, co po prostu wymagają głębszego zastanowienia”, powiedział kard. Mario Grech, sekretarz synodu. Edward Augustyn, który na miejscu w Rzymie śledził przebieg obrad, zauważa, że to kobiety – jak mogło się wydawać – są pierwszymi zwyciężczyniami synodu. „Mogło się wydawać”, bo nasz wysłannik ostatecznie stwierdza, że zwyciężyła sama synodalność. Jednak pozostaje faktem, że wprowadzone przez Franciszka na pełnych prawach uczestnictwo

kobiet jest jedną z charakterystycznych cech tego synodu. Co ważniejsze, „biskupi się przekonali, że panie mogą być dla nich partnerkami w teologicznej dyskusji i kompetentnie prowadzonym duszpasterstwie”.

Ta część synodu, mimo obaw, przebiegła – jak się zdaje – bardzo dobrze. Kolejna będzie bardziej skomplikowana. Ma rację Edward Augustyn, gdy stwierdza, że „z pewnością kluczowa – i dużo trudniejsza – będzie przyszłoroczna sesja synodu, gdzie trzeba będzie (...) przygotować dokument rozstrzygający w kwestiach, które teraz zostały tylko rozpoznane, a w ciągu roku mają być rozeznane”.

Trzeba pogodzić się z faktem, że w naszych czasach, na naszych oczach dokonują się w Kościele zmiany, które co chwila wprowadzają nas to w zachwyt, to w osłupienie. Są wśród nich takie, które witamy z ulgą, i takie, które dla wielu ludzi okazały się równoznaczne z nakazem odejścia. Ci, którzy odchodzą, nie chcą uczestniczyć w organizacji, która była używana jako narzędzie przemocy wobec słabszych, jako schronienie dla wykorzystujących swoją pozycję, jako zasłona dla nadużyć. I wiemy dziś, że pretensje te są słuszne. Jeśli ktoś został poraniony wtedy, nie pomoże mu teraz odwoływanie się do tego, co w Kościele było (i jest) dobre.

©P

TYGODNIK
POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to krótki, codzienny newsletter „Tygodnika Powszechnego”.

Od wtorku do piątku wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika”.



zapisz się!

18 Odwrót armii prezesa**JACEK GĄDEK**

Jarosław Kaczyński oddaje władzę żartując ze swojej „dyktatury”. I kreśli już plan, jak ją odzyskać. Woli mu nie brakuje, ale w partii są ogromne wątpliwości, czy liderowi starczy sił.

**40 Które dziecko nakarmić****AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA**

Jak żyją ponad dwa miliony cywilów zamkniętych w Strefie Gazy? Oto próba rekonstrukcji.

**25 Cyfrowe getta**

ROZMOWA
Z PROF. JAKUBEM
ANDRZEJCZAKIEM,
SOCJOLOGIEM:

Młody człowiek korzysta z urządzeń cyfrowych około siedmiu godzin dziennie, a podczas wakacji nawet czternaście godzin. Z tego świata czerpie poglądy, postawy, wzory zachowań, a także reakcje emocjonalne.

30 Kościół różnych prędkości

ROZMOWA
Z KARD.
GRZEGORZEM
RYSIEM:

Kościół opiera się na zasadach, które wynikają z objawienia. Trzeba je dobrze opisywać i w ich ramach otwierać przestrzenie dla wszystkich. Równość nie polega na tym, że wszyscy mogą to samo.

**64 Już dobrze****MICHAŁ OKOŃSKI**

„Moim dążeniem nie była żadna kariera! Chciałam się po prostu uwolnić” – mówi Martyna Jakubowicz. Ostatecznie uwolniła się nie kolejną płytą, tylko książką.

56 Dziedzictwo Ötziego**ŁUKASZ KWIATEK**

Nikt nie przysłużył się nauce swoją śmiercią tak jak Ötzi. Dzięki jego zwłokom lepiej rozumiemy epokę, w której doszło do największych przemian w dziejach ludzkości.



■ OBRAZ TYGODNIA

6 Między Gazą a Kijowem
WOJCIECH PIĘCIAK

8-9 Komentarze

10-11 Wydarzenia

■ CZYTANIA

16-17 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ,
PIOTR SIKORA

■ KRAJ

18 Odwrót armii prezesa
JACEK GĄDEK

22 Nowa większość na starych śmieciach
PIOTR ŚMIŁOWICZ: Czy nowa koalicja przywróci praworządność?

25 Cyfrowe getta
ROZMOWA Z PROF. JAKUBEM
ANDRZEJCZAKIEM

■ WIARA

30 Kościół różnych prędkości
ROZMOWA Z KARD. GRZEGORZEM
RYSIEM

34 Oswojone łęki
EDWARD AUGUSTYN: Jedynym
wygranym synodu jest papież

36 Przybysze
KAROL WILCZYŃSKI:
Pastor chce opowiadać o ludziach,
których pochował na granicy

■ ŚWIAT

40 Które dziecko nakarmić
AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

42 Solidarność i nienawiść
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA:
Konflikt bliskowschodni narusza
fundamenty niemieckiego państwa

43 Gorączka z importu
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA:
Wojna w Gazie budzi we Francji
stare demony

TEMAT TYGODNIKA

12 Przyszłość niepodległości

DARIUSZ ROSIAK

Przenosząc na każdą
dziedzinę życia
podział na Polskę
Kaczyńskiego
i Polskę Tuska,
przelepiamy kwestię
dla nas najważniejszą.

■ STRONY SPECJALNE ■

**54 FUNDACJA NA RZECZ
NAUKI POLSKIEJ**

**59 KAPLICA SYKSTYŃSKA.
DZIEDZICTWO**

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI

39 ZUZANNA RADZIK **53** ELIŻA KĄCKA

76 OLGA DREND

77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: MAREK K. ZALEJSKI

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

44 Pamięć powraca nad Wilnę
TOMASZ OTOCKI Z WILNA:

*Litwa poszerza program nauczania
o Holokaust*

47 W pułapce

ANNA MIKULSKA Z BRATYSŁAWY:
*Docierają tu szlakiem z Bliskiego
Wschodu. Utknęli, ale wierzą, że nie na
dług*

48 Kontrolowany poślizg w prawo
AGNIESZKA KAMIŃSKA: Co po
wyborach zmieni się w Szwajcarii

■ HISTORIA

50 Chleb najlepszym wabikiem
KRZYSZTOF PIĘCIAK o walkach
polskich formacji mundurowych
z bandytami w Galicji w 1918 roku

■ NAUKA

56 Dziedzictwo Źtęgo
ŁUKASZ KWIATEK

■ KULTURA

64 Już dobrze
MICHAŁ OKOŃSKI

68 Pierwszy teatr powyborczy
DARIUSZ KOSIŃSKI: Gdyby
funkcjonariusze PiS częściej zaglądali
do Teatru Słowackiego w Krakowie...

71 Lepiej mniej
MIKOŁAJ GRYNBERG: Nie warto
opowiadać tego, czego od nas oczekują

72 Subtelna masa
JAN BŁASZCZAK o twórczości
Aleksandry Stży

74 Rozbijanie zabawy
ANITA PIOTROWSKA o filmie
Romana Polańskiego „The Palace”

75 Źle urodzeni
LEKTOR o książce „Bezduszni”
Kalinę Błażewskiej

■ ZMYŚŁY

78 Ishtar szuka domu
ANNA PAJĘCKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Co się dzieje w Strefie Gazy

W trzy tygodnie zginęło tam więcej dzieci niż we wszystkich
konfliktach na świecie w ostatnim roku – pisze **AGNIESZKA
PIKULICKA-WILCZEWSKA** | TygodnikPowszechny.pl/gaza

➔ Dlaczego Pakistan wyrzuca uchodźców z Afganistanu

Jak żyją rzesze Afgańczyków na pakistańskiej ziemi? Co czeka ich po drugiej
stronie granicy? Odpowiedź w nowym odcinku podcastu **JAGIELSKI STORY**.
Słuchaj w aplikacjach i na TygodnikPowszechny.pl/podcast

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

MIĘDZY GAZĄ A KIJOWEM

Świat nam się skurczył. Jest bardziej na wyciągnięcie ręki, bardziej wzajemnie zdeterminowany. To, co dzieje się na Bliskim Wschodzie, ma skutki nie tylko tam.

WOJCIECH PIĘCIAK

POWYŻEJ:

Po izraelskim nalocie w miejscowości Rafah, w południowej części Strefy Gazy. 31 października 2023 r.

PRZYNAJMNIEJ TO JEST PEWNE: większej wojny, regionalnej, której się obawiano, nie będzie. Takiej, w której przeciw Izraelowi wystąpiłyby Iran i libański Hezbollah, zmuszając tym USA do militarnego wystąpienia po stronie Izraela (a w ślad za Ameryką może i nas, jej sojuszników).

Skąd to przekonanie? Ze słów Hassana Nasrallah. Po tym, jak 7 października Hamas zaatakował Izrael, przywódca Hezbollahu – organizacji, której siły zbrojne (w tym ok. 150 tys. rakiet) to realne zagrożenie dla całego Izraela – milczał. Zabrał głos dopiero 3 listopada. Były obawy, że wypowie wojnę Izraelowi. Tymczasem – obok rytualnych pochwał dla Hamasu i oskarżeń wobec USA – Nasrallah mówił, iż atak z 7 października to dzieło „w stu procentach palestyńskie”, nikt

z „osi oporu” o nim nie wiedział („oś” to w jego języku sojusz wrogów Izraela, z Iranem i Hezbollahem), a „ta bitwa ma charakter wyłącznie palestyński”. Mówił to raczej nie tylko w swoim imieniu. W takiej perspektywie próby ataków na granicy libańsko-izraelskiej i na bazy USA w Syrii oraz Iraku wydają się nie wstępem do czegoś większego, lecz minimum, które „oś” podejmuje, by pokazać, że jest w grze.

Wojny regionalnej nie będzie. Co nie znaczy, że nie będzie cierpienia niewinnych, tyle że teraz zawężonego do Strefy Gazy. Za to w skali, która wykracza już poza definicję samoobrony Izraela. Jeśli nie prawną – tu prawnicy się spierają – to w kategoriach człowieczeństwa. Przez cztery tygodnie, które minęły od masakry Hamasu i rozpo-

częcia izraelskich uderzeń w Gazie, zginęło w nich pięć-sześć razy więcej dzieci palestyńskich, niż zginęło dzieci ukraińskich przez 88 tygodni rosyjskiej inwazji. Tego nie da się usprawiedliwić okrucieństwem Hamasu, prawem wojny (niektórzy prawnicy twierdzą, że skoro Hamas zbudował „podziemne miasto”, cała Gaza jest uprawnionym celem) i historycznymi analogiami.

Sytuacja, w której dyplomaci Izraela (niezagrożonego w swym istnieniu, mającego broń atomową i sojuszników) na forum ONZ przypinają sobie gwiazdę, którą Żydzi nosili w gettach, i porównują akcję lądową w Gazie do desantu w Normandii, pytając, czy po stronie alianckiej ktoś troszczył się o to, czy cywile w Monachium mają dostęp do wody – to nadużywanie pamięci. W ten sposób ofiary Holokaustu sprowadzane są do roli listka figowego, mającego zakryć lub wręcz unieważnić wszystkie błędy w izraelskiej polityce wobec Palestyńczyków (niektórzy w Izraelu zwą ją apartheidem). Jeden fakt: w cieniu wojny żydowscy osadnicy na Zachodnim Brzegu przejęli siłą kilkanaście palestyńskich osad, mieszkańców wypędzając, a niektórych zabijając (Biden wezwał Izrael, by położył temu kres).

Prezydent Turcji mówi o podwójnych standardach Zachodu: ten ma wylewać morze łez, gdy Rosja atakuje ukraińskie miasta, a milczy, gdy Izrael odcina Gazę od prądu i leków. Wprawdzie Zachód nie milczy (nie tylko Biden co chwila domaga się od Izraela, by nie ignorował życia cywilów; inna rzecz, że politycy zachodni mogliby mówić to głośniej). Ale dobrze mieć świadomość, iż taki pogląd, podzielany na Globalnym Południu, będzie ciągnąć się długo za nami, za Zachodem.

Bo świat się nam skurczył w tych dniach. Jest bardziej na wyciągnięcie ręki, bardziej wzajemnie zdeterminowany. Już nie trzepot skrzydeł motyla, lecz krzyk uczestników festiwalu rockowego i potem huk bomb odbijają się echem – w wymiarze społecznym, emocjonalnym, politycznym – także po Europie i świecie.

Jest przy tym coś, co łączy dziś Bidena i Putina: pragnienie, by adresaci ich wystąpień dostrzegli związek między wojnami na Ukrainie

i Bliskim Wschodzie. Choć intencje obu są odmienne. Dla Putina Gaza to nowa okazja, by podważyć pozycję USA w świecie niezachodnim. Biden, przedstawiając oba konflikty jako fronty podobnego zmagania (gdzie atakujący chcą zniszczyć dwie demokracje), adresuje to głównie do Amerykanów, zwłaszcza Republikanów, by skłonić ich do pakietowanego traktowania długofalowej pomocy dla Izraela i Ukrainy. W minionym tygodniu poniósł porażkę: izba niższa Kongresu, gdzie Republikanie mają większość, rozdzieliła obie kwestie, akceptując tylko wsparcie dla Izraela. Co może znaczyć, że pomoc dla Ukrainy będzie bardziej niż dotąd w USA przedmiotem sporu.

Dzieje się to w chwili, gdy Walery Żałużny, dowódca armii ukraińskiej, przyznaje w tygodniku „Economist”, iż ofensywa, która miała stworzyć dogodną sytuację do zakończenia wojny na warunkach Ukrainy, nie udała się, a scenariusz na przyszłość to wojna pozycyjna (gdyż obie strony są dość silne, by odeprzeć każdą klasyczną ofensywę przeciwnika). Żałużny przyznaje też, że wojna pozycyjna jest groźna dla Ukrainy, bo czas gra na korzyść Rosji, pozwala jej odbudować potencjał. Z konstatacji tej generał wywodzi nową prośbę o więcej nowoczesnego sprzętu – samolotów, środków walki elektronicznej, dronów itd. Skoro jednak nie dostał go dotąd, czy dostanie teraz (poza samolotami F-16, ale one same nie zmieniają układu sił)?

Wystąpienie Żałużnego zbiega się z ujawnieniem przez rosyjskie trolle treści rozmowy, którą odbyli niedawno z Giorgi Meloni. Sądząc, iż rozmawia z szefem Komisji Unii Afrykańskiej, włoska premier mówiła, że wśród zachodnich polityków panuje „wielkie zmęczenie” wojną na Ukrainie. „Jesteśmy tuż przed momentem, gdy każdy zrozumie, że potrzebujemy jakiegoś wyjścia. Problem jest taki, by znaleźć wyjście akceptowane dla obu stron, nie niszcząc przy tym prawa międzynarodowego”.

Wojna bliskowschodnia, tak angażująca, pogłębi to zmęczenie. Nie musi to znaczyć, że pomoc dla Ukrainy ustanie. Dobrze jest jednak mieć świadomość, w jakim momencie jesteśmy. ©



Żadnego „ale”

MARCIN ŻYŁA

TU NIE MA JUŻ BEZPIECZNYCH MIEJSC. RAKIETY i bomby eksplodują także na południu Gazy, dokąd, wzywani do tego przez Izrael, mieli uciekać ludzie z miasta Gaza, położonego na północy Strefy. W niedzielę w zaatakowanych osiedlach uchodźców zginęły 53 osoby, wcześniej 15 ofiar pochłonął atak na ambulans Czerwonego Półksiężycza. Izrael utrzymuje, że wioził członków Hamasu, ale nie przedstawił na to dowodów; ofiary to głównie ludzie stojący przy wejściu do szpitala. Przez miesiąc w Strefie zginęło 10 tys. ludzi, w tym kilka tysięcy dzieci, a także pracownicy organizacji humanitarnych (88 osób) i dziennikarze (35 osób).

Dla władz Izraela to wojna totalna, czego symbolem są słowa ministra dziedzictwa, który dopuścił możliwość użycia w Gazie broni jądrowej. Premier Netanjahu to zdementował, ale nikt w jego rządzie nie ukrywa, że „winni” mają być wszyscy mieszkańcy Strefy.

Właśnie dlatego – w chwili, gdy dla niektórych zwolenników postępowania Izraela podejrzana, bo „propalestyńska”, staje się sama idea humanitaryzmu – w dyskusji o tej wojnie zanika przestrzeń na „ale” („Ale przecież Hamas też zabija niewinnych”). Niezależnie od specyfiki Gazy – gdzie prowadzenie operacji wojskowej bez przypadkowych ofiar cywilnych być może istotnie nie jest możliwe – przynależność jej mieszkańcom prawa człowieka są bezwarunkowe. Czyli: nie zależą od czynów popełnianych przez drugą stronę.

Zbrodnie Hamasu nie mogą być usprawiedliwieniem dla atakowania cywilów. I nie uchronią Izraela przed odpowiedzialnością.

Bo co do tego, że postępowanie Izraela w Gazie – a więc na terytorium pod jurysdykcją Międzynarodowego Trybunału Karnego – będzie przedmiotem międzynarodowego śledztwa, mało kto ma wątpliwości. I nie chodzi tylko o bombardowania. Haskie orzecznictwo z ostatnich lat bierze pod uwagę też retorykę władz, swoiste podglebie potencjalnych zbrodni wojennych. A na te – nauczyło nas tego ostatnie kilkadziesiąt lat – lepiej być wyczulonym za bardzo i za wcześniej niż za słabo i za późno. Atakując cywilów, Izrael w świecie tylko straci (nawet jeśli dla jego generałów to jedyny sposób na pozbycie się Hamasu). Straci na bardzo długo. ©



Wygnanie Afgańczyków

WOJCIECH JAGIELSKI

PAKISTAN, W KTÓRYM OD PRAWIE pół wieku szukają schronienia uciekinierzy z Afganistanu, właśnie wyprosił ich, pragnąc w ten sposób zmusić do spolegliwości rządzących w Kabulu talibów.

Afgańczycy chronią się w Pakistanie, odkąd w ich kraju w połowie lat 70. XX w. wybuchła wojna, która w kolejnych odsłonach trwała do ewakuacji wojsk zachodnich w sierpniu 2021 r. Najwięcej, bo 5-6 mln, przybyło do Pakistanu w latach 80., gdy na ich kraj najechał Związek Sowiecki. Kolejni przyjeżdżali, uciekając przed wojną domową, rządami talibów w latach 90. oraz najazdem Amerykanów i innych armii Zachodu. Ostatnia uchodźcza fala napłynęła po ewakuacji zachodnich wojsk i powrocie do władzy talibów. Zresztą również talibowie, gdy w 2001 r. zostali pokonani przez Amerykanów, uciekli do Pakistanu, by stamtąd prowadzić wojnę na wyczerpanie, na koniec zwycięską.

Afgańczycy uciekali do Pakistanu, bo żyją tam ich bracia, na których pomoc zawsze mogli liczyć. Odkąd w XIX wieku tzw. Linia Duranda rozdzieliła ich Brytyjczyki, 20 mln Pasztunów żyje w Afganistanie (stanowią tu

połowę ludności i sprawują rządy), zaś dwa razy więcej Pasztunów mieszka w Pakistanie (tam stanowią jedną piątą ludności).

Obawiając się u siebie pasztuńskiej irredenty, Pakistan zawsze wspierał w Afganistanie polityków odwołujących się do islamu, a nie do więzów etnicznych. Powrót do władzy afgańskich talibów w 2021 r. powitano w Islamabadzie z nadzieją, że spłacając dług wdzięczności, przekonają do pokoju talibów pakistańskich, którzy po zwycięskiej wspólnej wojnie w Afganistanie postanowili przenieść ją teraz do Pakistanu. Gdy afgańscy talibowie odmówili, Islamabad na początku października nakazał opuścić kraj tym afgańskim uchodźcom, którzy nie zalegalizowali swojego pobytu w Pakistanie.

Eksmisja dotyczy prawie połowy z ok. 4 mln uchodźców, z których większość urodziła się już w Pakistanie, a wielu w Afganistanie nigdy nie było. Czwierć miliona już wyjechało, pozostali mają zostać deportowani. Uchodźczy szantaż w przeddzień surowej zimy ma zmusić talibów z Kabulu, by odwiedli swoich pakistańskich braci od dalszej wojny. ©©

Uchodźcy afgańscy przekraczają granicę Pakistanu z Afganistanem w Chaman, 4 listopada 2023 r.



ARCHIWUM PRYWATNE



ADAM ZAWISNY,
INSTYTUT NIEZALEŻNEGO
ŻYCIA:

*Nowe świadczenie
miało trafić
do potrzebujących
1 stycznia.
Nie trafi*

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Rząd opublikował projekt rozporządzenia określającego zasady, na których osoby z niepełnosprawnościami dostaną obiecaną przez rząd tzw. świadczenie wspierające. Kto je otrzyma?

ADAM ZAWISNY: Ci, którzy na skali potrzeb od zera do stu będą się sytuować między 70. a 100. punktem. Będzie sześć progów wsparcia, a w zależności od tego, do którego z nich zostanie zakwalifikowana osoba z niepełnosprawnością, otrzyma między kilkaset a ok. 3,5 tys. złotych.

Ile takich osób może być?

Rząd pierwotnie oszacował, że 500 tys. Będzie oceniana funkcjonalność osób z niepełnosprawnościami w 32 obszarach – np. zdolności do poruszania się po domu, poza domem, do prowadzenia rozmowy, uczenia się nowych czynności, mycia się. Jednak nowe prawo tak wysoko ustawia poprzeczkę „wymagań”, że aktualnie wysokie poziomy wsparcia otrzyma najpewniej nieliczna grupa osób.

Jest też problem czasowy. Świadczenie ma wejść w życie 1 stycznia, ale już widać, że ludzie nie dostaną pieniędzy ani w styczniu, ani w lutym.

Powód jest prosty: dopóki nie zostanie podpisane wspomniane rozporządzenie, nie sformują się też wojewódzkie zespoły oceny potrzeb wsparcia. A trzeba przecież zatrudnić do nich odpowiednie osoby, przeszkolić je.

Alle gdy się to już stanie, będziemy mieli system bardziej przyjazny?

O ile znowelizujemy ustawę, m.in. obniżając wspomniane progi, i poprawimy rozporządzenie – to tak. Choć pamiętajmy, że pieniądze to dopiero początek. Środowisko osób z niepełnosprawnościami czeka na – obiecaną dawno przez prezydenta – ustawę o asystencji osobistej, zapewniającą osobie z niepełnosprawnością codzienne wsparcie w czynnościach, których nie jest w stanie wykonać sama. To najważniejsze zadanie dla nowej władzy. ©©

ADAM ZAWISNY jest wiceprezesem Stowarzyszenia Instytut Niezależnego Życia, członkiem Europejskiej Sieci Niezależnego Życia (ENIL), ekspertem w zakresie praw osób z niepełnosprawnościami.

NA PUNKTY

WYOBRAŻENIA

„Polacy wskazali: Trzecia Droga, nie trzecia kadencja PiS” – skomentował Władysław Kosiniak-Kamysz słowa Mateusza Morawieckiego, że wyobraża sobie zasiadanie w rządzie, którego premierem byłby lider PSL. „Nie dzwoń już więcej, Mateusz. Mamy komplet ministrów” – napisał z kolei Donald Tusk w serwisie X. Ozdobą wywiadu dotychczasowego szefa rządu dla portalu Interia była jednak deklaracja, że zawsze był zwolennikiem kompromisu aborcyjnego.

FANTAZJE

Na podobną ekwilibrystkę nie zdobył się Mikołaj Pawlak. „Gdy nad szkolnymi tablicami zamiast krzyży powszechnie zadomowią się pseudotęczowe kolorowe szmaty, a w niektórych dzielnicach miast – półksiężycy, będziemy żyć w świecie, w którym będą rządzić pokolenia wychowane bez wartości i zasad, nieznające granic i nieumiejące walczyć ze złem” – fantazjował rzecznik praw dziecka w tygodniku „Niedziela”.

CZUŁOŚCI

„Rozmawiał będę z najważniejszym autorytetem prawnym w Polsce, prezesem Trybunału Konstytucyjnego” – przywitał Julię Przyłębską w TVP Info red. Bronisław Wildstein. ©



Teologiczna rewolucja papieża

PIOTR SIKORA

OD CZASÓW OJCÓW KOŚCIOŁA, przez wieki chrześcijaństwo stanowiło motor napędowy europejskiej cywilizacji. Jednak w okresie nowożytnym, nie umiając zasymilować na teologicznym poziomie wielu zdobyczy nauki i myśli społecznej – pozbawiło się zdolności kształtowania kultury. Najbardziej radykalnym tego przejawem był tzw. kryzys modernistyczny, który dotknął katolicyzm na przełomie XIX i XX wieku – gdy teologowie podejmujący próby integracji teologii i wyników badań naukowych byli marginalizowani lub wypychani z Kościoła.

Teologia katolicka przez cały XX wiek z trudem wychodziła z zapaści spowodowanej antymodernistyczną polityką władz kościelnych. Nawet na początku XXI wieku cierpiała z powodu sceptycznego wobec nowoczesności nastawienia Jana Pawła II i Benedykta XVI.

W tym kontekście warto zauważyć niedawno ogłoszony dokument Franciszka: *motu proprio* „Ad theologiam promovendam”. Na pozór dotyczy on zmiany statutów niezbyt ważnej waty-

kańskiej instytucji – Papieskiej Akademii Teologicznej. W swojej warstwie merytorycznej jest jednak tekstem fundamentalnym: sugeruje, że teologia powinna być rozwijana w sposób, w jaki pragnęli to robić teologowie dotąd prześladowani pod zarzutem „modernizmu”. Teologia „nie może ograniczać się do proponowania formuł i schematów

z przeszłości”, powinna być radykalnie kontekstualna – rozwijana w bliskim kontakcie z wciąż zmieniającym się życiem wspólnot chrześcijańskich. Ma stać się działaniem transdyscyplinarnym, tj. łączeniem całości wiedzy w mądrość inspirowaną Bożym objawieniem, a rozwijać się może „jedynie w kulturze dialogu i spotkania między różnymi tradycjami i różnymi dziedzinami wiedzy, między różnymi wyznaniem chrześcijańskimi i różnymi religiami, otwarcie konfrontując się ze wszystkimi, zarówno wierzącymi, jak i niewierzącymi”.

Wielu teologów próbuje pracować w taki sposób – ważne, że wreszcie otrzymali wsparcie papieża. ©



MARIA GRAZIA PICCIRELLA / EAST NEWS



Kino socjalnego niepokoju

MAREK RABI

STOWARZYSZENIE FILMOWCÓW Polskich domaga się przed sądem od Skarbu Państwa 416 mln zł. To efekt fiaska prac nad ustawą o artystach zawodowych, która miała zapewnić źródła dofinansowania składek emerytalnych dla twórców kultury.

Stowarzyszenie domaga się odszkodowania „z tytułu niezapewnienia przez państwo polskie godziwej rekompensaty za korzystanie z utworów

w ramach dozwolonego użytku osobistego”. Mówiąc wprost, chodzi o prawo do dochodów z nowego pola eksploatacji, jakie stworzył internet. „Pozornie taki system istnieje także w Polsce, jednak (...) opłaty przeznaczone dla autorów i producentów filmowych naliczane są od urządzeń i nośników, które w zdezaktualizowanej większości od dawna nie są już używane i nie znajdują się w sprzedaży. Są to

m.in. płyty DVD, kasety magnetofonowe czy nawet kasety VHS. Z kolei urządzenia najpowszechniej obecnie stosowane, takie jak smartfony, tablety, laptopy, pozostają od lat poza listą urządzeń objętych opłatą” – zauważają przedstawiciele SFP. Lukę miała zalać właśnie ustawa o artystach zawodowych, a dodatkowe dochody z opłaty reprodukcyjnej, którą uiszczaliby wyłącznie producenci

sprzętu, zasilibyby fundusz, który miał z kolei dofinansowywać składki emerytalne twórców kultury. Przedstawiciele środowisk twórczych przekonują, że specyfika zawodów artystycznych sprawia, że większość artystów nie jest w stanie oszczędzać systematycznie na emeryturę. Odchodzący rząd PiS nie kwapił się jednak z pracami nad nowymi przepisami, wiedząc, że opłatę reprodukcyjną producenci elektroniki przerzucą na klientów. Pozew SFP może mieć właśnie takie skutki. W razie przegranej, na odszkodowanie dla twórców zrzucać się podatnicy. ©

Kto korzysta na strachu przed AI

SZTUCZNA INTELIGENCJA ■ Przedstawiciele 28 państw i firm przyjechali do Bletchley Park, gdzie w czasie II wojny światowej łamano szyfry Enigmy. I po dwóch dniach się rozjechali, zapowiadając, że niedługo wrócą do debaty nad „potencjalnie katastrofalnym zagrożeniem” dla ludzkości. Tak można podsumować brytyjski szczyt dotyczący bezpiecznego stosowania sztucznej inteligencji.

Rząd w Londynie zapewnia, że Deklaracja z Bletchley przejdzie do historii, bo to pierwszy dokument, w którym zapowiedziano identyfikację „ryzyk związanych z bezpieczeństwem AI”. Tyle że choć wśród sygnatariuszy są przedstawiciele m.in. USA, Kanady i UE, to już nie Chin – jednego z gigantów prac nad AI. Nie ma też niczego odkrywczego w twierdzeniach, że wielkie modele generatywne, jak ChatGPT, mają „potencjał poważnego, a nawet katastroficznego szkodenia”.

Przed szczytem w Bletchley prezydent USA dekretem zobowiązał amerykańskie firmy m.in. do ujawniania wyników testów bezpieczeństwa swoich systemów AI. Joe Biden oczekuje, że Narodowy Instytut Standardów i Technologii opracuje „rygorystyczne” standardy testowania AI, by nie potęgowała ona zagrożenia dla infrastruktury krytycznej czy nie ułatwiała prac nad bronią masowego rażenia.

Deklaracja z Bletchley i dekret Bidena spotkały się z krytyką ojców chrzestnych współczesnej sztucznej inteligencji, Andrew Nga z Uniwersytetu Stanforda (współzałożyciela Google Brain) i Yanna LeCuna z New York University (szefa sztucznej inteligencji Meta). Ich zdaniem dyskurs o AI jako zagrożeniu dla ludzkości to sprytna zagrywka... wielkich koncernów technologicznych. Straszac hipotetycznymi, odległymi zagrożeniami, odwracają uwagę od szkód, jakie ich technologie powodują tu i teraz: plagi fake newsów czy drastycznej cyfrowej inwigilacji. Ich zdaniem nowe przepisy poskutkują tylko wycięciem konkurencji pracującej nad transparentną, otwartą AI.

© AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI



DIENNIKARZE I AUTORZY

„TP”

co tydzień goszczą

w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław

96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź

97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

Kolejny mundial szejków

SPORTSWASHING ■ Mistrzostwa świata w piłce nożnej mężczyzn w 2034 r. odbędą się w Arabii Saudyjskiej – jedyne, co może dziwić w tym rozstrzygnięciu, to fakt, że kolejny zimowy mundial (taki mamy klimat, że na Półwyspie Arabskim podobne imprezy da się zorganizować tylko zimą) nie odbędzie się już cztery lata wcześniej. Z drugiej strony, ubijając swoje interesy FIFA zawsze próbuje dbać o pozory – mistrzostwa w 2030 r. odbędą się na stulecie pierwszego turnieju, więc władze światowej piłki postanowiły podzielić organizację mistrzostw, które mają być rozegrane za 7 lat, między gospodarza sprzed wieku, Urugwaj (a na dokładkę Argentynę i Paragwaj), a także Hiszpanię, Portugalię i Maroko; turniej na trzech kontynentach po pierwsze brzmi imponująco, a po drugie – koszt jego organizacji podzieli się między sześć krajów.

Niezależnie bowiem od frazesów o światowej harmonii, w których specjalizuje się prezes FIFA Gianni Infantino, prawda o imprezie, na której uwłaszczyła się kierowana przezeń instytucja, z każdą kolejną edycją staje się coraz bardziej oczywista: mało które państwo, zwłaszcza spośród tych, które liczą się z głosem własnej opinii publicznej, przejawia chęć jej organizacji. Wysilek piłkarzy, zaangażowanie fanów czy wreszcie

idące w miliardy dolarów inwestycje państw gospodarzy (np. w budowę czy rozbudowę stadionów i poprawę infrastruktury), owszem, przekładają się na zyski, ale zyski FIFA. To ona zarabia na sprzedaży biletów, reklam i praw marketingowych, a w końcu transmisji telewizyjnych imprezy, która przyciąga zainteresowanie setek milionów kibiców z całego świata.

Żeby zorganizować mundial, trzeba mieć naprawdę dobre powody. Powody Arabii Saudyjskiej – oprócz futbolu inwestującej w ściąganie nad Zatokę Perską wielu innych imprez sportowych, np. turniejów tenisowych czy wyścigów Formuły 1 – zostały przedstawione przez księcia Bin Salmana już w 2016 r., w dokumencie „Saudi Vision 2030”. Świadomi skończoności swoich zasobów ropy Saudyjczycy myślą o dywersyfikacji gospodarki i podniesieniu rangi swojego kraju w świecie, a zorganizowanie mundialu, podobnie jak ściąganie do miejscowej ligi gwiazd futbolu czy kupowanie czołowych klubów piłkarskich Europy, znakomicie w tym pomaga. *Sportswashing* na tym właśnie polega, że myśląc o Arabii Saudyjskiej mamy myśleć o wielkiej piłce, a nie o egzekucjach oponentów księcia czy prześladowaniu mniejszości seksualnych.

©© MICHAŁ OKOŃSKI



Laureat tegorocznej Złotej Piłki Leo Messi jako ambasador turystyki Arabii Saudyjskiej w ogrodzie zoologicznym w Rijadzie. 5 maja 2023 r.

Walka ze smogiem: jak się chce, to można

CZyste powietrze ■ Dostaliśmy właśnie nowy raport Polskiego Alarmu Smogowego za 2022 r. Od lat te smogowe mistrzostwa Polski odbywają się w trójkącie, a konkurencje to: liczba dni smogowych, średnie stężenie pyłu PM₁₀ oraz średnie stężenie rakotwórczego benzo(a)pirenu (BaP). Drugi rok z rzędu we wszystkich trzech kategoriach „zwycięzyła” dolnośląska Nowa Ruda. Tam ilość zawieszonych w powietrzu pyłów przekraczała normę przez 95 dni.

Co w tym rankingu martwi? Na pewno wysoka pozycja uzdrowisk: w Szczawnicy w powietrzu wisi 6 razy więcej BaP, niż przewiduje norma krajowa (i 50 razy więcej niż standard WHO), ale niewiele lepiej jest w Rabce czy Szczawnie-Zdroju. Niepokoi też kariera czarnego konia tegorocznej edycji. Nowe Miasto Lubawskie (woj. warmińsko-mazurskie) wcześniej nie miało na-



Wysoka przejrzystość powietrza pozwala zaobserwować panoramę Tatr z Krakowa.

wet stacji pomiarowej, teraz wskoczyło do pierwszej dziesiątki we wszystkich kategoriach, co potwierdza, że smog to nie tylko problem południowej Polski.

Są też powody do optymizmu. Walka ze smogiem zaczyna przynosić widoczne efekty. To pierwszy w historii ranking opublikowany przez PAS (czyli od 2015 r.), w którym średnioroczne stężenie PM₁₀ we wszystkich miastach w Polsce mieści się w normie. W Kra-

kowie i Rybniku przez 8 lat średnie stężenie PM₁₀ spadło o 40 proc. Dawnych faworytów próżno też szukać dziś na podium; Kraków w żadnej kategorii nie jest nawet w pierwszej dziesiątce. Również Nowa Ruda, obecna czempionka, przez 8 lat obniżyła stężenie BaP o 47 proc., a liczba dni smogowych spadła o jedną czwartą.

Tak, to efekt wymiany pieców, uchwał antysmogowych i wielu innych działań, które realnie ratują ludzkie życia.

Naukowcy i aktywiści przestrzegają jednak przed spoczynkiem na laurach. – W Polsce wciąż dymią trzy miliony „kopciuchów”. I niestety, widzimy w niektórych województwach próby rozmontowywania uchwał antysmogowych. Kontynuacja, a nawet przyspieszenie działań antysmogowych jest kluczowe dla poprawy jakości powietrza w naszym kraju – mówi Piotr Siergiej z Polskiego Alarmu Smogowego.

© © KRZYSZTOF STORY

Trauma i depresja: nadchodzą terapie psychodeliczne

Zdrowie psychiczne ■ Od maja w stanie Oregon działają licencjonowane placówki, w których osobom z traumą podaje się psylocybinę – psychoaktywną substancję występującą w grzybach halucynogennych. Typowa terapia w ośrodku Inner Guidance w Albany składa się z dwóch sesji: 90-minutowego przygotowania oraz (po odczekaniu wymaganej przez prawo stanowe doby) 4-godzinnej „podróży psylocybinowej”, odbywanych w towarzystwie „trenera”. Dla chętnych przewidziano dodatkową godziną sesję integrującą. Koszt: ok. 2 tys. dolarów, można aplikować o dofinansowanie.

W amerykańskim prawie federalnym psylocybina nadal jest zakazana, ale wkrótce może się to zmienić, ponieważ ewoluuje podejście naukowców i społeczeństwa do psychodelików – prognozuje w najnowszym „Nature” Sara Reardon. Przez dekady stanowiące tabu, psychodeliki w tym wieku wróciły do laboratoriów, gdzie sprawdza się ich efekty. Agencja Żywności i Leków rozpatruje właśnie wniosek o dopuszczenie terapii inną substancją – MDMA (ecstasy) – w leczeniu traumy. Za zgłoszeniem stoi organizacja non-profit z Kalifornii, która powołała się na wyniki badań klinicznych przeprowadzonych przez zespół Jennifer M. Mitchell z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego w 2021 i 2023 r. Pokazały one, że terapia MDMA łagodzi objawy u osób zmagających się z umiarkowaną i ciężką traumą. I działa dużo szybciej niż inne terapie.

Od 2019 r. w USA pacjenci z depresją mogą zażywać preparat oparty na jednej z form ketaminy – leku od dawna stosowanego w anestezji, a rekreacyjnie jako psychodelika – choć agencja raz po raz ostrzega przed coraz częstszym stosowaniem tej substancji poza kontrolą specjalisty. W spodziewanym dopuszczeniu kolejnych psychodelików w psychiatrii nie musi przeszkodzić nawet fakt, że nie jest znany mechanizm neurofizjologiczny, który ma odpowiadać za ich działanie terapeutyczne (jak zauważa Reardon, jest to spowodowane m.in. tym, że trudno jest prowadzić badania zaburzeń psychicznych i doświadczeń psychodelicznych na zwierzętach). Nie znamy w końcu także mechanizmu leżącego u podstaw wielu tradycyjnych terapii psychiatrycznych, których skuteczność potwierdzają badania.

© © ŁUKASZ KWIATEK / NATURE.COM

TEMAT
TYGODNIKA

PRZYSZŁOŚĆ NIEPODLEGŁOŚCI

Przenosząc na każdą dziedzinę życia
podział na Polskę Kaczyńskiego i Polskę Tuska,
prześlepamy kwestie dla nas najważniejsze.

DARIUSZ ROSIAK

TUŻ PO ZMIANIE RZĄDU WYKONAMY NIEZBĘDNE KROKI, ŻEBY EURO-
pa zobaczyła, że praworządność wraca do Polski” – ogłosił
Donald Tusk dodając, iż jeszcze w grudniu możliwe są pierwsze
wypłaty z Krajowego Planu Odbudowy. Jak twierdzą niektóre
media, podczas niedawnej wizyty Tuska w Brukseli przewod-
nicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen potwierdzi-
ła w rozmowie z nim, że Polska może otrzymać zaległe pienią-
dze bez konieczności realizacji tzw. kamieni milowych, czyli
reform mających przywrócić praworządność po rządach PiS.

Czyli jest sukces. Okazuje się, że samo zwycięstwo opo-
zycji zmienia optykę Unii: Europa znów jest nam przychylna,
widzi, że praworządność wraca do Polski, bo prawdopodob-
nie rządzić nią będzie Donald Tusk i jego sojusznicy. Problem
w tym, że do grudnia praworządność nie wróci do Polski, nie
wiadomo nawet, czy do tego czasu uda się powołać nowy rząd.

Mimo to „Europa zobaczyła”, znów nas lubi, jest dla nas dobra
i wyrozumiała.

Takie mamy tu narracje

Odnoszę się do deklaracji politycznych, które są niczym wię-
cej, jak słowami rzuconymi mediom albo partnerowi politycz-
nemu: zapowiedzi nie oznaczają wypłat, nawet ewentualna
zgoda na wypłaty obwarowana będzie warunkami i w każdej
chwili będzie mogła zostać wstrzymana ponownie. Ani von
der Leyen, ani Tusk niewiele ryzykują, opowiadając, co im się
wydaje, że się wydarzy.

Tym niemniej dla wielu Polaków postawa Komisji po-
twierdza to, co mówił PiS: wstrzymanie wypłat w KPO nie
ma związku z praworządnością w Polsce, a wynika wyłącznie
z tego, że Bruksela nie akceptuje polityki PiS-u i chce zmiany



FRANÇOIS LENOIR / REUTERS / FORUM

rządu. I dalej: Komisja Europejska od miesiąca grała na zwycięstwo polskiej opozycji, opozycja wygrała, pieniądze mogą płynąć. A zatem mają rację wszyscy ci, którzy ostrzegają: Unia Europejska w swoim obecnym kształcie to projekt polityczny realizowany wbrew woli narodów Europy i wbrew naturalnym procesom integracyjnym. Kto nią rządzi? Opętani ideą federalizacji albo, co gorsza, centralizmu, brukselscy eurokraci i lewicowi członkowie Parlamentu Europejskiego w porozumieniu z liderami największych krajów, zwłaszcza Niemiec. Każdy rząd, który takiej wizji nie akceptuje, bez względu na to, czy ma poparcie wśród własnych wyborców, czy go nie ma, naraża się na gniew i zemstę Brukseli. Co ma w takim razie Polska do wyboru? Dwie drogi. Albo, jak Jarosław Kaczyński, będzie prowadziła z wrogą Europą wojnę o honor i należny nam szacunek, albo, jak Donald Tusk, będzie się z nią podstępnie ukła-

dała, stając się jej klientem i poświęcając interes narodu za pieniądze, które i tak nam się należą. W obu przypadkach Europa jest dla nas ciałem obcym, z którym albo możemy się bić, albo ulec mu bez walki.

Oprócz streszczonych powyżej, jest jeszcze podejście, prezentowane zwykle przez krytyków PiS-u, które w takim podporządkowaniu się Brukseli widzi największą cnotę. Polska na członkostwie w Unii wyłącznie zyskuje, głoszą entuzjaści Unii, bo Unia nas cywilizuje i chroni przed nami samymi. Okres rządów PiS-u był czasem głębokiej smuty głównie dlatego, że nikt w Brukseli nas nie lubił i nie mógł nas cywilizować.

Czemu w ogóle tak myślimy? Sprawa wypłat z KPO i debaty wokół nich ilustruje jedną z największych bolączek polskiej polityki, a tej europejskiej w szczególności. Polega ona na przenoszeniu podziału na Polskę Kaczyńskiego i Polskę Tuska na każdą dziedzinę życia, zwłaszcza na te, w których ten podział jest nieadekwatny i niszczący dla Polski.

Nowy rząd staje przed kluczowym wyzwaniem: jak określić polską politykę w Unii Europejskiej, odchodząc od tego podziału. Jak zadbać o interesy Polski, uznając wielopodmiotowość naszego kraju jako państwa suwerennego, a jednocześnie gotowego oddać część tej suwerenności za cenę bezpieczeństwa, dobrobytu i odgrywania większej niż dotychczas roli w międzynarodowej polityce.

Cztery kręgi

Unia stoi dziś przed potężnymi wyzwaniami: rozszerzenia na kolejne kraje, znalezienia miejsca w nowo powstającym światowym porządku, a przede wszystkim poradzenia sobie z największym problemem politycznym i społecznym nadchodzących lat, czyli migracją. Od tego, czy tym wyzwaniom sprosta, zależy jej kształt, a może w ogóle przetrwanie. Nic dziwnego, że w Unii trwają rozmowy na temat reformy wspólnoty na różnych poziomach. Polska powinna włączyć się do nich, prezentując własną perspektywę, nawet jeśli ceną za to będą konflikty z innymi państwami.

Jaka to może być perspektywa? Zanim spróbuję odpowiedzieć na to pytanie, warto odnieść się do dwóch dokumentów z ostatnich tygodni, które prezentują kierunek możliwych zmian w Unii i pokazują, jak trudno w Polsce prowadzić dyskusję na temat Unii wykraczającą poza niszczący dla nas podział na Polskę Kaczyńskiego i Tuska.

Pod koniec września działająca na zlecenie rządów Niemiec i Francji grupa ekspertów opublikowała raport na temat reform instytucji unijnych z uwzględnieniem ewentualnego rozszerzenia Unii o państwa Bałkanów zachodnich, Ukrainę i Mołdawię. Wzywają w nim do rozszerzenia tzw. mechanizmu warunkowości, czyli uzależnienia wypłat unijnych od przestrzegania praworządności.

Obecnie wstrzymanie wypłat ma miejsce jedynie w przypadku, gdy naruszenie rządów prawa wpływa bezpośrednio na finanse Unii. Eksperti proponują, aby związek między wypłatą funduszy dotyczył nie tylko łamania zasad finansowych czy podejrzeń o korupcję, ale wartości ogólnych zawartych w artykule 2 Traktatu o UE, takich jak poszanowanie praw mniejszości, wolne wybory, wolność mediów itd.

Inna kluczowa zmiana miałaby dotyczyć metody głosowania w Radzie UE. Eksperti francusko-niemieccy chcą, →

→ by wprowadzić głosowanie większościowe we wszystkich dziedzinach, w tym w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa (choć w tej akurat postulują, by dążyć do jednomyślności, a głosowanie większością kwalifikowaną było ostatecznością). Jednomyślność miałaby ciągle obowiązywać przy zmianie traktatów czy przyjmowaniu nowych członków. Zmiana traktatów byłaby konieczna przy przeprowadzeniu reform, a wiadomo, że nie wszystkie kraje chciałyby integrować się w równym stopniu i tempie.

Dłatego eksperci proponują stworzenie czterech kręgów integracji: członkowie strefy euro i Schengen stanowiliby krąg wewnętrzny. UE w obecnym kształcie, ewentualnie rozszerzona, to krąg drugi. Na zewnątrz byłyby państwa stowarzyszone. I, na koniec, Europejska Wspólnota Polityczna, czyli wymyślony przez Paryż fasadowy twór skupiający prawie wszystkie państwa kontynentu. Co ważne, kryterium przynależności do pierwszych trzech kręgów integracji byłoby przestrzeganie zasad praworządności. Łamanie ich skutkowałoby brakiem możliwości czerpania korzyści z bycia w Unii, w tym nawet dostępu do jednolitego rynku.

Druga propozycja reform Unii padła ze strony Komisji Konstytucyjnej Parlamentu Europejskiego. Przeglądowała ona projekt zmian w traktatach unijnych w dużej części podobnych do projektu eksperckiego (rozszerzenie głosowania większościami w Radzie), rozszerzających uprawnień PE czy tzw. uprawnień dzielonych, czyli sfer polityki, które do tej pory stanowią wyłączną domenę państw członkowskich, a po proponowanej reformie byłyby regulowane częściowo na poziomie unijnym. Chodzi np. o edukację czy ochronę zdrowia. Komisja Konstytucyjna, jak również Komisja Prawna PE, zaproponowały także, by do traktatów unijnych wpisać wprost zasadę prymatu prawa UE nad prawem krajowym.

A gdzie my?

Reakcje w Polsce na te dwa dokumenty były łatwe do przewidzenia. PiS i jej eksperci tłumaczą, że stoimy na progu, jak to ujął Jacek Saryusz-Wolski, „przekształcenia Unii *de facto* w scentralizowane oligarchiczne europejskie superpaństwo, umykające demokratycznej kontroli”. Co oczywiście z drugiej strony polskiej barykady budzi reakcje lustrzane – Unia musi się reformować, kierunek jest tylko jeden: odbieranie uprawnień państwom członkowskim i przejmowanie ich przez europejski parlament i Komisję. Albo będziemy w środku tego procesu i podporządkujemy się jego mechanizmom, albo nie będziemy się liczyć. Na członkostwie w Unii Polska wyłącznie korzysta, a kto podaje to w wątpliwość, jest PiS-owcem, czyli nie ma sensu go słuchać.

W rzeczywistości obie te wizje są funkcją ograniczonych horyzontów wizjonerów. Zaprezentowane dokumenty stanowią rzuconą w przestrzeń medialno-polityczną propozycję reformy Unii, która po ciężkich bojach zgodziła się wstępnie na rozszerzenie, i której liderzy zdają sobie sprawę, że wspólnota musi uaktualnić sposób funkcjonowania, aby nie stać się całkowicie uzależnioną od czynników zewnętrznych, zwłaszcza tych, które determinuje spór między USA a Chinami.

Warto podkreślić, że raport ekspertów niemiecko-francuskich nie jest wspólnym stanowiskiem Niemiec i Francji z tego prostego powodu, że te kraje nie mają wspólnego stanowiska

w sprawie przyszłości Unii, a w bieżącej polityce jest szereg dziedzin, w których różnią się zasadniczo (choćby stosunek do obecności USA w Europie, polityki fiskalnej, kwestii zaciąganych przez Unię pożyczek czy polityki energetycznej).

Sprawozdanie Komisji PE, nawet jeśli zostało przyjęte przez większość jej członków, jest pierwszym etapem długotrwałego procesu (głosowanie w całym Parlamencie, wprowadzanie poprawek, debaty między ministrami państw członkowskich w Radzie UE), na końcu którego znajduje się Rada Europejska, czyli szefowie państw i rządów Unii. Na zadane w „Rejsie” fundamentalne pytanie „Jaką metodą wybierzemy metodę głosowania”, odpowiedź w Unii jest jednoznaczna: „Jednomyślnie”.

Nie da się więc wprowadzić zmiany zatwierdzającej nowy sposób głosowania w Radzie inaczej niż za zgodą wszystkich członków, czyli bez brania pod uwagę głosu państw narodowych. Nawet tzw. klauzule pomostowe, które pozwalają w niektórych dziedzinach przejść na głosowanie większościami, muszą być zatwierdzone przez wszystkie państwa Unii. Czyli nie da się zbudować Unii w kształcie, na który nie godzą się państwa członkowskie. Chyba że zgodzą się jednomyślnie, żeby właśnie tak ją budować.

Na stanowiska krajów członkowskich wpływają oczywiście nastroje wewnętrzne, które są coraz bardziej krytyczne wobec ścisłej integracji. Dotyczy to zwłaszcza najważniejszego wyzwania Europy w najbliższych latach, czyli migracji. W kolejnych krajach wybory wygrywają partie otwarcie deklarujące wrogość wobec przyjmowania do siebie migrantów. Akurat te procesy znajdują odzwierciedlenie w polityce Komisji Europejskiej, która unika krytyki krajów stosujących niekiedy – tak jak Polska – brutalne metody w celu ograniczenia napływu migrantów i uchodźców.

Przyszłoroczne wybory do Parlamentu Europejskiego zapewne wzmocnią tak antymigracyjne frakcje w PE, jak i, szerszej, partie sceptyczne wobec dalszej ścisłej integracji. Parlament Europejski może być zupełnie innym niż dziś tworem politycznym.

Co reszta pokazuje, jak niezbędne jest utrzymanie integracji w formie przewidzianej traktatami. To ważne, bo tendencja do wychodzenia przez instytucje unijne poza obowiązujące prawo nie jest urojeniem narodowej prawicy i tutaj wracam do sprawy polskich pieniędzy z KPO. Niebezpieczne, również dla Polski, byłoby zaakceptowanie praktyki, według której zasady działania Komisji i innych unijnych instytucji zależałyby od tego, czy wybory w danym kraju wygrywa słuszna partia. Dziś zwolennicy niedawnej opozycji cieszą się ze zwycięstwa, ale zgoda na ten rodzaj upolitycznienia Unii wcześniej czy później odbije się czkawką. W demokracji oprócz podatków pewne jest i to, że ten, kto dziś rządzi, kiedyś przegra.

Bezpieczny kraj

Polsce potrzebne jest wyjście z niszczącego nas sporu, w którego centrum pozostają Tusk i Kaczyński, we wszystkich dziedzinach, ale w polityce europejskiej szczególnie. Polska jest dziś znaczącym krajem europejskim, globalnym symbolem cywilizacyjnego sukcesu (w rozwoju gospodarczym ostatnich trzech dekad prześcigają nas jedynie Chiny). Jednym z kluczowych powodów tego rozwoju jest członkostwo Polski w Unii, która

znajduje się w permanentnym kryzysie egzystencjalnym i po to, aby z niego wybrnąć, regularnie poszerza sferę swojej wewnętrznej integracji.

Pojawiają się ciągoty do przyspieszania tego procesu wbrew woli państw członkowskich, czego jedną z najbardziej dramatycznych ilustracji był kryzys uchodźczy w latach 2014-15. Polska rządzona przez PiS przeciwstawiła się wówczas polityce forsowanej przez Niemcy i w zasadniczych kwestiach (pomijając dehumanizującą migrantów retorykę stosowaną przez władze i związane z nią media) miała rację. Dziś przyznają to Niemcy i inne kraje zachodniej Europy wprowadzając przepisy, które zasadniczo blokują masową migrację na ich terytoria. W tej sprawie Polska powinna zachować dotychczasową politykę. Zresztą zapowiedzi Donalda Tuska, że nie zgodzi się na mechanizm relokacji uchodźców, właśnie o tym świadczy.

Polska jest dziś jednym z najbezpieczniejszych krajów Europy i potwierdza to reakcja w Europie na wypadki ostatnich tygodni na Bliskim Wschodzie: w przeciwieństwie do wielu krajów uniijnych w polskich miastach nie ma antysemickich protestów, nie ma u nas imadów wzywających do likwidacji Izraela, nie ma ataków na Żydów i palenia ostatnich synagog. Jest za to półtora miliona Ukraińców, są setki tysięcy studentów i pracowników z innych krajów, również spoza Europy.

Jeden z największych paradoksów rządów PiS-u, który w swojej retoryce jest partią wroga migrantom i uchodźcom, polega na tym, że to za jego rządów Polska staje się krajem wieloetnicznym, unikając jak dotąd największych zagrożeń i patologii związanych z procesem budowania kraju wieloetnicznego. Polska z pewnością nie jest ideałem integracji obcokrajowców, a sytuacja na granicy z Białorusią najboleśniej pokazuje, jak wiele nam do tego ideału brakuje.

Brak nam przede wszystkim polityki migracyjnej, w której centrum powinno być stworzenie ram prawnych (czyli również wymagań) dla osób chcących osiedlić się w Polsce. Chodzi o zapewnienie wszystkim obywatelom Polski niezależnie od ich pochodzenia równości wobec prawa i przewidywalności tego prawa. To szczególnie ważne, zwłaszcza że nawet zapewnienie takiej przewidywalności etnicznym Polakom okazało się przez ostatnie osiem lat nieosiągalne.

Kto tu się liczy

Naczelnym zadaniem nowego rządu będzie wkomponowanie interesów Polski w interesy Unii Europejskiej, czyli potraktowanie Unii tak, jak traktują ją wszystkie państwa, które się w niej liczą. Są pewne dziedziny, w których Polska jako oddzielny kraj nie ma nic do powiedzenia, na przykład kontrola internetu i sztucznej inteligencji, cyberbezpieczeństwo na poziomie globalnym czy konfrontacja między USA i szeroko pojętym Zachodem a Chinami. Te sprawy kontrolowane są na poziomie mocarstw albo – co znacznie bardziej niepokojące –

na poziomie międzynarodowych korporacji, które dziś sterują wieloma dziedzinami życia, zwłaszcza związanymi z przepływem informacji.

Globalnie będziemy się liczyć o tyle, o ile liczyć się będzie zdanie Unii, którego sformułowanie jest niezwykle trudne – Chinom udaje się izolować poszczególne kraje członkowskie Unii, czego najlepszym przykładem są Niemcy. Akurat w tej rozgrywce gra na bardzo ścisłą integrację polityczną Unii może oznaczać spory z innymi członkami Unii, a zadaniem nowego

rządu powinno być szukanie sojuszników i budowanie mocniejszej pozycji wewnątrz wspólnoty.

Wielką szansą Polski i testem sprawdzającym potencjał dyplomatyczny nowego rządu będą stosunki z Ukrainą, a także stosunki z Niemcami wokół Ukrainy. Polska musi zaakceptować, że rozszerzenie Unii o Ukrainę oznacza ogromną szansę rozwojową dla obu naszych krajów, ale także konkretną cenę, którą przyjdzie zapłacić za włączenie Ukrainy w obszar europejskiego dobrobytu. Polska korzysta z niego od lat 90., Ukraina właśnie zaczyna proces, który w bliżej nieokreślonej przyszłości być może doprowadzi do jej członkostwa. Zadaniem rządu będzie przygotowanie Polski do tego rozszerzenia, wykazanie Polakom,

że warto za nie zapłacić, bo korzyści gospodarcze i strategiczne przewyższają koszty.

Nawiasem mówiąc, kiedy polskie pieniądze w formie uniijnych dotacji zaczną trafiać na Ukrainę, będziemy zapewne z troską weryfikować ich wydawanie. I słusznie. Tak jak dziś Bruksela kontroluje wydawanie dotacji przez Polskę i inne kraje.

Przyszłość Unii Europejskiej jest krucha, europejskie narody nie są chętne ścisłej integracji prowadzonej z brukselskich gabinetów, czemu dają wyraz w kolejnych krajowych wyborach. Jednocześnie Unia jest miejscem, gdzie Polska może chronić swoje interesy w zglobalizowanym świecie. To jest nasz dom, którego kształt możemy budować zgodnie z własnymi aspiracjami, pamiętając przy tym, że jesteśmy częścią wspólnoty wyrastającej z podobnych korzeni kulturowych. Dramatem Polski w stosunkach z Unią byłoby powtarzanie przez nowy rząd schematu znanego od 1989 r., czyli odrzucania wszystkiego, co było wcześniej, tylko dlatego, że robiła to partia, która właśnie przegrała wybory.

W polityce takie rzeczy jak wzajemne zaufanie czy osobista sympatia mają ogromne znaczenie i bardzo dobrze, że Donald Tusk wraca na europejską scenę z kredytem zaufania ze strony europejskich partnerów. Ale każdy z nich dba przede wszystkim o interesy swojego kraju. Dobrze byłoby, żeby nowy rząd pamiętał, że Polska należy do Unii, tak samo jak Unia należy do Polski.

© DARIUSZ ROSIAK

Autor jest dziennikarzem i reporterem. Dziennikarz Roku 2020 w plebiscycie Grand Press. Twórca i główny prowadzący „Raportu o stanie świata”, ukazującego się obecnie w formie podkastu. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Dom w Izraelu*



OTWIERAM E-MAIL OD ZNANEGO MI nadawcy zatytułowany „Mój dom jest twoim domem”. Skierowany do członków związku zawodowego rabinów, w którym osoby spoza USA stanowią niewielki odsetek. W tym gronie dość natu-

ralnie brzmi pytanie: „Czy macie mieszkanie w Izraelu?”. Jest to apel skierowany do posiadaczy letnich domów bądź mieszkań tamże, by czasowo udostępniły je tym, którzy z powodu działań wojennych stali się uchodźcami we własnym kraju. Ze statystyk organizacji pomocowej: już ponad 120 tys. ludzi zostało wewnętrznie przesiedlonych z zagrożonych obszarów na południu i północy. Obecnie w Izraelu mieszka ok. 7,2 mln Żydów, czyli – porównując procentowo – osoby potrzebujące lokum licznie przypominają przyjętą jednorazowo przez Polaków falę uchodźców z ogarniętej wojną Ukrainy.

Otwarcie swego domu dla potrzebujących – tym rozpoczyna się przypadający na ten tydzień fragment z Pięcioksięgu, gdzie właściwą drogę wskazuje nam Praojciec Abraham. „I ukazał mu się Wiekuisty w dąbrowie Mamre, gdy siedział u wejścia namiotu, w czasie upału dziennego” (Rdz 18, 1; Cylikow). Abraham trzy dni wcześniej sam dokonał własnego obrzezania. Niewątpliwie jest zbolący i cierpi, lecz mimo to siedzi i wypatruje zdrożonych przechodniów. Talmud mówi, że Najwyższy zadbał, by owego dnia wyjątkowy upał zniechęcał do podróży i by dzięki temu Praojciec mógł spokojnie dochodzić do zdrowia. Jednak Abraham martwi się brakiem gości, więc Bóg wysłał mu anioły. „I podniósł oczy swoje, i spojrzał, a oto trzech mężowie stanęli przed nim; a zobaczywszy ich, pobiegł na ich spotkanie z przed wejścia namiotu, i pokłonił się ku ziemi” (kolejny wers). Zauważywszy w tekście pozorną niekonsekwencję dotyczącą odległości dzielącej trzech mężów od Praojcy, Talmud wyjaśnia: anioły najpierw się zbliżają, ale ujrawszy, że Abraham zmienia sobie opatrunek, zaczynają się oddalać. Wówczas on biegnie, by zaprosić ich do domu.

Na biednego nie trafiło i Praojciec mógłby powierzyć zajęcie się gośćmi swoim licznyemu sługom. Pomimo tego „do bydlę pobiegł Abraham, i wzięwszy cielę pulchne i wyborowe, dał je pachołkowi” (wers 7) oraz „wziął śmietanki, i mleka, i cielę, które przyrządził, i postawił przed nimi; a sam stanął przy nich pod drzewem; i jedli” (wers 8). Czyli usługuje swoim gościom osobiście! Można dwójako zrozumieć wers 3: „I rzekł: »Panie! jeżeli też znalazłem łaskę w oczach twoich, nie przejdź ze mimo sługi twojego!«”. Praojciec zwraca się do najznamienitszego spośród trzech mężów, by skorzystali z jego gościnności. Albo prosi Boga, by poczekał, aż Abraham skończy zajmować się podróżnymi. Stąd wniosek: zajmowanie się gośćmi przez wyższą przyjmowanie Bożej Obecności! ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Prawda czekolady*



„MĄDROŚĆ ROZSIEWA BLASK I NIGDY NIE traci świeżości. Tym, którzy ją kochają, objawia swoje piękno, tym, którzy jej szukają, łatwo daje się znaleźć, a do tych, którzy jej pragną, przybywa, nim ją rozpoznają”. Ten fragment z Księgi Mądrości

autorzy Lekcjonarza zestawili z Jezusową przypowieścią o dziesięciu pannach. Z takiego zestawienia wynika, że wystarczy najdrobniejszy gest zainteresowania tym, co w świecie jest mądrego, prawdziwego i dobrego, żeby doszło do spotkania z Bogiem. Drugi wniosek to łatwość, z jaką zdarza się człowiekowi przespąć moment, gdy obecność Boga daje o sobie znać w sposób szczególnie wyraźny.

Na przeszkodzie temu spotkaniu mogą stanąć też ludzie: „Jezus przemówił do tłumów i do swoich uczniów: Miejsce Mojżesza w nauczaniu zajęli nauczyciele Pisma i faryzeusze”, którzy skutecznie odstręczają szukających Boga swoim stylem życia, a więc religijnością, pobożnością. W takim przypadku Jezus radzi: „Czyńcie więc i zachowujcie wszystko, czego was uczą. Nie naśladujcie jednak ich czynów. Mówią bowiem, ale sami nie czynią. Przygotowują wielkie ciężary, których nie można unieść, i nakładają je ludziom na ramiona, a sami nie chcą ruszyć ich nawet palcem”. Warto pod tym kątem popatrzeć na synod. Czy nie jest tak, że ta część Kościoła, która zauważyła, że odkleiliśmy się od rzeczywistości i odrzuciliśmy w niebiańskie przestworza, postanowiła wrócić na ziemię? Druga zaś część, przeczuwając, że trzeba będzie zakasać rękawy i pobrudzić ręce, czyli wziąć się do roboty, broni się przed takim na-ziemię-zstąpieniem.

W Księdze Wyjścia czytamy: „Nie będziesz dręczył ani uciskał cudzoziemca, gdyż i wy byliście cudzoziemcami w ziemi egipskiej. Nie skrzywdzisz wdowy ani sieroty. Gdyby bowiem stała się im krzywda z twojego powodu i wezwaliby mojej pomocy, z pewnością wysłucham ich wołania. (...) Jeśli pożyczysz pieniądze ubogiemu spośród mojego ludu, który mieszka z tobą, nie postąpisz wobec niego jak lichwiarz, nie naliczysz mu odsetek. Jeśli weźmiesz w zastaw płaszcz swojego bliźniego, musisz mu go zwrócić przed zachodem słońca, gdyż tylko nim może się przykryć, gdy uda się na spoczynek”. Zawsze wiedzieli o tym ci, którzy nie uciekali z realnego świata do wydumanego nieba, ale umieli, mieli odwagę, mówiąc za Władysławem Tatarkiewiczem, wyczuć, że tabliczka czekolady ma zapach nie tylko miazgi kakaowej, ale wciąż jeszcze potu i krwi umęczonych niewolniczą pracą ludzi. Tych, którzy ten nieznosny zapach i smak życia czują, wierzących i niewierzących, nazywamy błogosławionymi, szczęśliwymi, świętymi. Oni wiedzą, co powinniśmy robić, żeby nasze „żony (nie) stały się wdowami, a dzieci sierotami”. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Dramat drugiego

Jezus nauczał
i sam dał przykład
zrównoważonego życia.

ORYGENES



Powszechna
harmonia jest jedna.
Jak wszystkie ciała
wypełniają jedno ciało
uporządkowanego
świata, tak wszystkie
przyczyny składają
się na tę przyczynę,
którą nazywamy
przeznaczeniem.

MAREK AURELIUSZ



NIEDAWNO LITURGIA skonfrontowała nas z następującą perykopą ewangeliczną: „Gdy Jezus przyszedł do domu pewnego

przywódcy faryzeuszów, aby w szabat spożyć posiłek, oni Go śledzili. A oto naprzeciw Niego zjawił się przed Nim pewien człowiek chory na wodną puchlinę. Wtedy Jezus zapytał uczonych w Prawie i faryzeuszów: Czy wolno w szabat uzdrawiać, czy też nie?” (Łk 14, 1-6).

W tym miejscu trzeba się koniecznie zatrzymać i przywołać grecki tekst Łukaszczej Ewangelii. Oryginalna wersja nie mówi bowiem, że Jezus „zapytał”; jej dosłowne tłumaczenie brzmi: „Jezus odpowiadając powiedział do uczonych w Prawie i faryzeuszów” (i tak też – ściśle – tłumaczy na język łaciński św. Hieronim: „*Et respondens Iesus dixit*”).

To może „okruch” (nawet „okruszek”), ale wydaje się niesłychanie ważny: Jezus nie pyta, lecz odpowiada. Bo tylko dla Niego to, co zobaczył, stało się pytaniem – i to takim pytaniem, które domaga się odpowiedzi! On – i tylko On – poczuł się odpowiedzialny (!) za dramat człowieka, z którym dzielił stół.

Może właśnie dlatego zdecydował się uczynić nagle jego chorobę sprawą publiczną – postawić go (razem z jego cierpieniem) w samym środku uwagi biesiadników? Bo żaden z nich nie widział jego

dramatu; a jeśli nawet coś widział, to przecież nie uważał tego dramatu w jakiegokolwiek mierze za swój problem. I to, że siedzą z nim razem przy stole (pewnie się sam nie wprosił, lecz został tu zaproszony?), niczego tu nie zmienia. Nie łączy ich z nim żadna relacja; nie czują z nim żadnej więzi; nie traktują jak „swojego” – ani jak swojego krewnego, bliskiego, ani nawet jak swojego wołu lub osła. Właśnie to ostatecznie wyrzuca im Jezus: „Któż z was, jeśli jego syn albo jego woł wpadnie do studni, nie wyciągnie go zaraz, nawet w dzień szabatu?” (w. 5).

Niestety, taki może być Kościół. I nic pewnie nie obnaża bardziej dramatycznie takiej prawdy o nim jak (teoretycznie) wspólny stół, czyli Eucharystia. Przychodzimy zaproszeni, by być razem, a uczestniczymy w niej każdy osobno – z pobożnością niesłychanie indywidualistyczną; w rozumieniu zredukowanym do modelu: ja i prawo (wypełniam, przestrzegam, wedle tego postrzegam innych). Daliśmy sobie wmówić, że wiara jest sprawą absolutnie prywatną – w takiej chcemy się zamknąć; i w takiej chętnie zamykamy innych.

Drugi człowiek, z którym się modlimy (!) – człowiek, którego problem jest widoczny (trudno nie widzieć nienaturalnie napuchniętego od płynów ciała sąsiada) – czy jest dla mnie siostrą lub bratem, których dramat domaga się mojej odpowiedzi? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (12 – 19 XI)

32. niedziela zwykła: Mdr 6, 12-16; Piątek: Mdr 13, 1-9; Ps 19; Łk 17, 26-37;

Ps 63; 1 Tes 4, 13-18; Mt 25, 1-13; Sobota: Mdr 18, 14-16; 19, 6-9;

Poniedziałek: Mdr 1, 1-7; Ps 139; Łk 17, 1-6; Ps 105; Łk 18, 1-8;

Wtorek: Mdr 2, 23 – 3, 9; Ps 34; Łk 17, 7-10; 33. niedziela zwykła:

Środa: Mdr 6, 1-11; Ps 82; Łk 17, 11-19; Prz 31, 10-13. 19-20. 30-31; Ps 128;

Czwartek: Mdr 7, 22 – 8, 1; Ps 119; Łk 17, 20-25; 1 Tes 5, 1-6; Mt 25, 14-30.

Wybrał PIOTR SIKORA

ODWRÓT ARMII PREZESA

Jarosław Kaczyński oddaje władzę
żartując ze swojej „dyktatury”.
I kreśli już plan, jak ją odzyskać.
Woli mu nie brakuje, ale w partii
są ogromne wątpliwości,
czy liderowi starczy sił.

JACEK GĄDEK

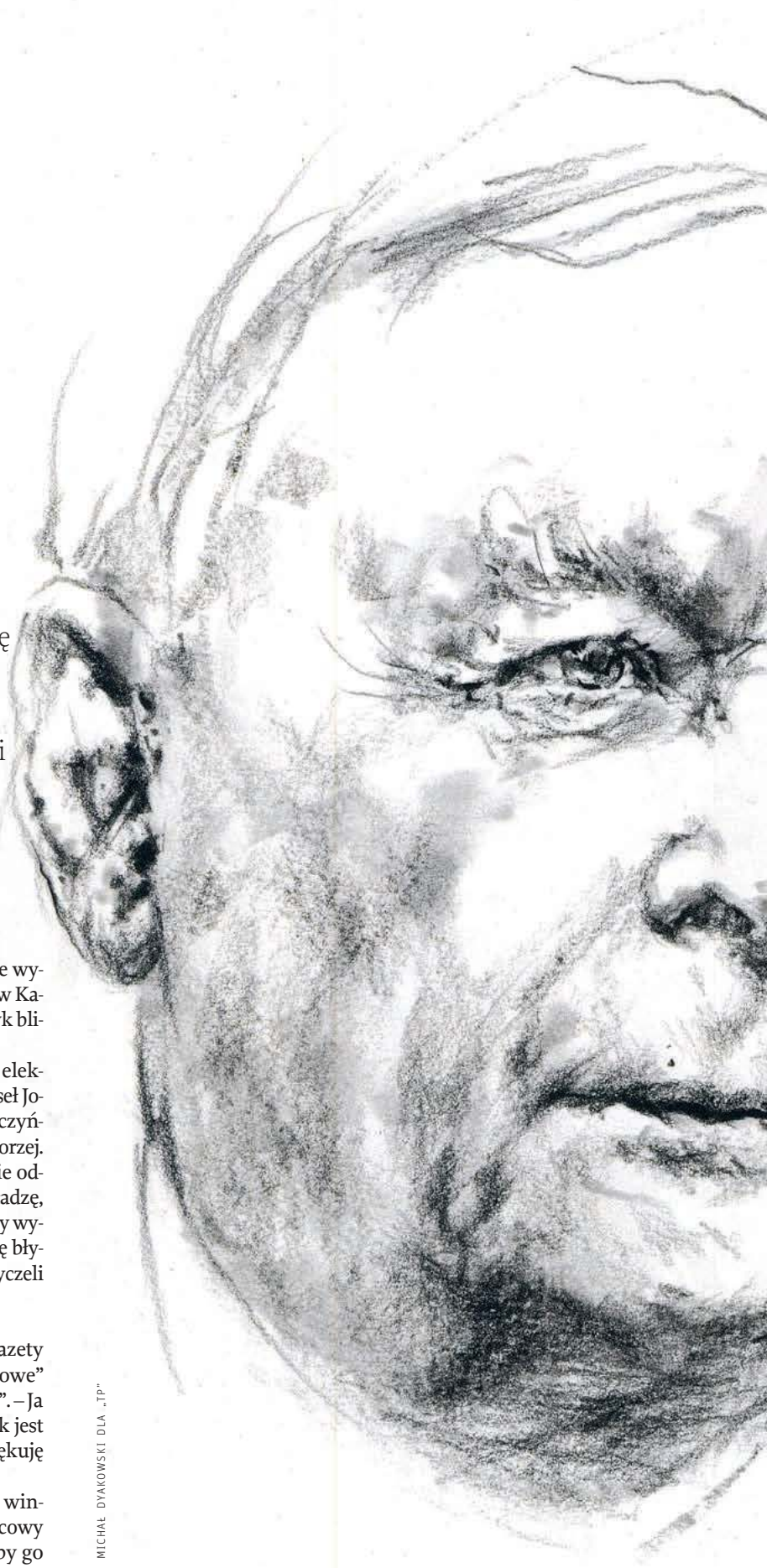
DZIEN PO.
– Prezes szybko się pozbierał po wieczorne wyborczym. Wszyscy byli jeszcze w szoku, a Jarosław Kaczyński już mówił o przyszłości – opowiada polityk bliiski Nowogrodzkiej.

Jeszcze zanim poznaliśmy oficjalne rezultaty elekcji, na zamkniętym spotkaniu ze sztabem europoseł Joachim Brudziński przeproszał za wynik. Ale Kaczyński odparł, że nie ma za co się kajać i mogło być gorzej. Wprost powiedział, że jako lider bierze na siebie odpowiedzialność za porażkę. Bo to, że PiS traci władzę, było na Nowogrodzkiej jasne jeszcze w trakcie ciszy wyborczej – przecieki z badań *exit poll* rozchodziły się błyskawicznie. Spędzeni do sztabu działacze PiS krzyczeli „zwyciężyliśmy!”, ale atmosfera była jak na stypie.

Pięć dni po.

Kaczyński jedzie na spotkanie z Klubami „Gazety Polskiej”. To, jak sam mawia, „oddziały szturmowe” PiS. Witają go owacje i głośnie „Jarosław! Jarosław!”. – Ja słyszałem to tyle razy podczas kampanii, a wynik jest dobry, ale nie bardzo dobry. W związku z tym dziękuję – uciszył swoje wojsko.

W istocie ludzie skandowali imię pierwszego winnego porażki. Ale – to paradoks – bez niego prawicowy rząd nie miałby nawet sposobności upaść, bo by go



MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”

nie było. I kolejny paradoks: choć to Jarosław jest pierwszym winnym, to jest też pierwszym, który myśli, jak odzyskać władzę. Wie też, że wcześniej czeka go walka o przetrwanie. I on chce tę walkę podjąć, nawet jeśli wszyscy dostrzegają, że jest w coraz słabszej formie. – Jasne, że Jarosław jest starszy. Wszyscy się przecież starzejemy. Jednak dla niego polityka to całe życie. Misja – mówi osoba z jego otoczenia.

By namiot Zjednoczonej Prawicy nie posypał się jak domek z kart, prezes PiS powstrzymał rozliczenia na dużą skalę – one nadejdą, ale odsuwa je w czasie, żeby frakcje się nie zagryzły. Pytania o przyczyny utraty władzy są przecież w PiS żywe i drapieżne. Nie tak miało być. Nowogrodzka chciała zdobyć ok. 215 mandatów, resztę zaś „dokupić” w Konfederacji albo PSL. Tymczasem stanęło na 194 (to utrata aż 41 posłów względem 2019 r.), a opozycja związana paktem senackim zgarnęła ich 248.

Efekt „koczura”

Źródłem porażki PiS nie są błędy tej jednej kampanii, ale całej kadencji. Po wyborach z 2019 r., w których partia zdobyła 43,5 proc., PiS utrzymywał się na dość stabilnym, wysokim pułapie – aż do września 2020 r. Wtedy Kaczyński popełnił fundamentalne błędy polityczne.

Można tu zauważyć wręcz fascynujący efekt motyla – czy raczej efekt „koczura”. Upadek PiS zaczął się bowiem od odruchu empatii Kaczyńskiego wobec zwierząt. Prezes PiS lubi zwłaszcza koty, które zwie „koczurami” i się nimi opiekuje. Wiedziony tą – pozytywną przecież – cechą w 2020 r. forsował „piątkę dla zwierząt”. Projekt zakładał zakaz hodowli zwierząt na futra, ograniczenie uboju rytualnego i zwiększenie kompetencji organizacji prozwierzęcych. Z „piątką” do prezesa przyszedł Michał Moskał, wtedy szef Forum Młodych PiS, a dziś 29-letni debiutant w Sejmie.

„Piątka” rozwścieczyła wiejską część elektoratu PiS oraz konserwatywne media: „Kaczyński pochyla się nad zwierzątkami, a nie zajmie się życiem nienarodzonych dzieci?!”. I był to argument boleśnie celny, patrząc na program PiS.

Brzmi to jak *political fiction*, ale tak właśnie było. Kaczyński, chcąc udobrychać frondę, dał zielone światło Trybunałowi Konstytucyjnemu, by wydał wy-

rok w sprawie aborcji. W październiku 2020 r. TK orzekł: przesłanka o prawdopodobieństwie ciężkiego uszkodzenia płodu ludzkiego zniknie z ustawy.

Polskę załaty największe protesty po 1989 r. – głównie kobiet, także w Polsce powiatowej – a poparcie dla PiS stopniało o ok. 10 pkt. proc. Partia przez kolejne trzy lata mozolnie starała się odbudować popularność – w pikach niwelowała nawet połowę straty. Ale całości – nigdy.

Kaczyński po „piątce dla zwierząt”, która zresztą nigdy nie weszła w życie, i po wyroku Trybunału, przyznawał na zamkniętych spotkaniach, że to były błędy. Jego własne. Mówi polityk bliski Nowogrodzkiej: – Niestety, rozgrzebanie aborcji wydaje się kluczowe dla porażki. To nie była afeta, która z czasem zgasła. Aborcja jest nośna kulturowo. Temat zmotywował kobiety i młodych ludzi.

Faktycznie. W tegorocznych wyborach wręcz eksplodowała frekwencja w grupie wiekowej 18-29 lat. W 2019 r. wynosiła ona 46 proc., a w tym roku aż 68,8 proc. Kobiety głosowały częściej niż mężczyźni.

Kamyki obok głazu

Kampania w 2023 r. (także ta referendalna) była słaba – autoryzował ją sam Kaczyński. Listy wyborcze skonstruowano katastrofalnie – to dość powszechna opinia w PiS. Kaczyński osobiście pieczętował listy stworzone przy pomocy terenowych struktur partii, którą zreformował na rok przed wyborami. W efekcie część „jedynek”, jak Ryszard Terlecki i Zbigniew Rau, uzyskała dramatyczne wyniki. Inni, jak Jacek Sasin i Mariusz Kamiński – słabe.

Wyborcza klęska miała też inną przyczynę zauważaną dziś w partii: Kaczyński od dawna nie reagował na patologie. Kolonizacja przez aktyw PiS instytucji państwowych, spółek z udziałem Skarbu Państwa oraz pączkujących agencji i funduszy działała się za jego wiedzą. – Prezes zapowiadał, że pogoni tłuste kocury. I co? – żył się polityk PiS zaangażowany w kampanię. Kolejny, będący posłem, konstatuje: – Po ośmiu latach PiS jest oblesny. To nie jest już mój PiS.

Są i drobniejsze kamyki, które przyczyniły się do porażki. Nowogrodzka długo lekceważyła Trzecią Droge, wierząc, że

spadnie pod próg wyborczy, tymczasem w debacie w TVP, którą oglądało aż 5,6 mln widzów, Szymon Hołownia wypadł bardzo dobrze, co wywindowało wynik ugrupowania. W wyborach startowała też ultraprawicowa Polska Jest Jedna, która pozabawiła PiS 1,6 pkt. proc. poparcia. Polski Ład i obostrzenia covidowe wkurzyły drobnych przedsiębiorców. A już na finiszu kampanii PiS dostał cios w splot słoneczny aferą wizową.

Diaboliczny *spin doctor* z USA Karl Rove, który wypromował George’a W. Busha, przekonywał, że należy uderzyć w najsilniejszy punkt przeciwnika, a nie w najsłabszy, bo tylko to odbierze mu szansę na zwycięstwo. Otóż PiS sam się dzielił w najsilniejszy punkt, czyli bezpieczeństwo, i to jeszcze związane z nielegalną imigracją, co było sercem kampanii referendalnej.

Ale dlaczego afeta wizowa wybuchła? Po części odpowiedzialność spada na prezesa. Szefa MSZ, Zbigniewa Raua, wypromowała u niego Janina Goss, przyjaciółka i zaufana osoba Kaczyńskiego, zapalona zielarka. Nieudolność Raua jest w PiS znana, ale mimo to prezes trzymał go na stanowisku i uczynił „jedyneką” na liście w Łodzi. Efekt? W MSZ dwóch profesorów – Rau i Piotr Wawrzyk – spartaczyło PiS-owi końcówkę kampanii, bo stworzyli warunki dla zawiązania się korupcyjnego procederu przy wydawaniu wiz.

Ale to tylko kamyki, które w ogródku PiS spoczywają obok głazów: „piątki” i aborcji, ułożonych osobiście przez Kaczyńskiego w 2020 r. jako fundamenty obecnej klęski. Wyborcza kampania totalna to już był ostatni etap na tej drodze. Brutalna, agresywna, kosztowna, angażująca zasoby nie tylko PiS, ale także państwa – bardzo dobrze zmobilizowała wyborców: PiS zdobył 7,64 mln głosów. Niemal tyle, co w 2019 r. (8,05 mln).

W czasie kampanii z ust jednego z polityków obozu władzy – acz nieoficjalnie – padło, że PiS-owi zmarło ok. 300 tys. wyborców i jest to dla partii wielki problem. W ciągu czterech lat liczba uprawnionych zmalała aż o 720 tys., więc wynik partii władzy można uznać za niezły. Problem w tym, że kampania PiS zmobilizowała też wielu nowych wyborców, którzy poszli głównie w stronę opozycji. Frekwencja sięgnęła 74,4 proc., a jej przyrost był niższy na wschodzie, gdzie PiS ma wyższe poparcie.

→ Polityk PiS z rządu: – Przesadzono z emocjami. One nakreśliły frekwencję, a ta zatopiła PiS.

Kolejny rozmówca z PiS dodaje: – Błędy z przeszłości zaważyły. Ani cnoty zachować, ani rubelka zarobić, jak to prezes lubi powtarzać, nam się nie udało.

Zagubiony lider

Wśród niemal 22 mln wyborców był, rzecz jasna, sam Kaczyński. Startował w Kielcach, ale głosował w Warszawie. Polityk PiS: – Gdy prezes wszedł do lokalu wyborczego, wyglądał na zagubionego. Uważał, żeby nie zrobić czegoś nieestosownego. Ważył każdy krok. Starsi ludzie tak mają.

Wiek i forma prezesa to w jego obozie trudny temat. Gołym okiem widać, że się postarzał. – Ale po Tusku też widać, że jest już dziadkiem – zastrzega jeden z rozmówców z PiS. Tyle że Kaczyński ma 74 lata, jest więc od Tuska o osiem lat starszy, i ma za sobą dwie operacje kolan – jedną z powikłaniami i długą rekonwalescencją. Sam przyznawał też parę lat temu, iż chciałby być prezesem partii do roku 2025, nie dłużej. Teraz – mimo porażki – odchodzić nie chce.

Polityk PiS: – Skreślanie Jarosława Kaczyńskiego jest przedwczesne. Właśnie porażka daje mu siłę do walki, a nic go tak nie motywuje jak bój z Tuskiem. Teraz na pewno się nie wycofa.

Żeby zrozumieć, dlaczego prezes nie może powiedzieć „przegrałem, odchodzę”, trzeba wiedzieć, że Jarosław ma przekonanie, iż Donald Tusk ponosi odpowiedzialność za śmierć Lecha, brata bliźniaka. Tusk może więc tylko nienawidzić. I walczyć z nim do końca życia.

Z najróżniejszych katastrof prezes się do tej pory zawsze podnosił. Podniósł się po tym, jak w latach 90. wypadł z polityki. Podniósł się po utracie władzy w 2007 r. i po katastrofie smoleńskiej w 2010 r. Ale wtedy był młodszy.

Czy zdoła to zrobić jeszcze raz? W PiS rodzą się wątpliwości. Niemniej bez niego obóz Zjednoczonej Prawicy – u władzy, a tym bardziej w opozycji – się rozpadnie. Tylko Kaczyński jest w stanie wytwarzać grawitację, która trzyma obóz w całości.

Współpracownik prezesa: – Jeśli Kaczyński by odszedł teraz, to nie będzie co zbierać po partii i wrócimy do lat 90., z wieloma prawicowymi kanapami.

Ale inni mówią, że mógłby się już przesunąć. Parlamentarzysta PiS: – Kaczyński powinien zająć taką pozycję w partii w najbliższych latach, by mając nad nią kontrolę, jednocześnie jej nie szkodzić. Jeśli będzie zarządzał z wycofanej pozycji, to OK, a jeśli będzie frontmanem, to będzie źle. Nie oszuka biologii.

Prezes chce nadażać

A biegnące lata Kaczyńskiego słysząc. Przemówienie prezesa na spotkaniu Klubów „GP” było poszarpane, momentami absurdalne. Uznał, że za Polską 2050 stoi Moskwa, a część wyborców „uczestniczy w operacji likwidacji własnego państwa”. TVN miał według niego – to mantra prezesa – stworzyć „rzeczywistość totalnie urojoną”. Jego zdaniem część wyborców była też „znużona PiS-em”, a ludzie „w sensie formalnym” wykształceni schamiami i wulgarnie odrzucili PiS.

Strumień myśli prezesa meandrował. Generalnie jego mowy przestają być tak klarowne jak kiedyś. I nie porywają już aktywu. Kiedy na tydzień przed wyborami działacze PiS zjechali tłumnie na wielką konwencję w katowickim Spodku, ostatnim i najważniejszym mówcą był Kaczyński. Gdy stał na scenie, publika nie rwała się, by mu przerywać brawami. Występ był monotonny. Aktorzy – czyli partyjna elita zasiadająca w pierwszych rzędach – grali rolę wpatrzonych w prezesa i bili brawo, ale już widzowie z odległych miejsc zaczęli opuszczać halę jeszcze podczas przemówienia Kaczyńskiego. Galeria zaczęła świecić pustymi krzesłami, choć na starcie konwencji Spodek był wypchany do granic.

Prezes słabnie, ale wciąż deklaruje, że chce nadażać za teraźniejszością. Na wspomnianym spotkaniu z Klubami „GP” wygłosił myśl oczywistą, lecz fundamentalną: „Polska się rzeczywiście zmieniła. Zmieniła się także struktura elektoratu, zmieniła się w ciągu ostatnich kilku lat i ten proces będzie trwał. Musimy to brać pod uwagę. Jeżeli mamy znów zwyciężyć, to musimy zwyciężyć w tej Polsce innej, niż jeszcze była jakiś czas temu”.

Czy ze starzejącym się Kaczyńskim da się w tej zmienionej Polsce wygrywać? Poseł PiS odpowiada: – Prezes jako autoritet i punkt odniesienia? Ciągłe tak. Ma poważanie i pewne wyczucie polityki, ale musiałby się też zmienić.

Czy będzie potrafił? Inny rozmówca bliski centrali PiS: – Kaczyńskiemu zarzuca się, że jest archaiczny, ale on potrafi się dostosowywać.

Szeregowi posłowie i działacze partii są jednak coraz bardziej przekonani, że Nowogrodzka, sztab wyborczy i prezes odkleili się od rzeczywistości. Sam Kaczyński zna codzienne życie zwykłych Polaków głównie ze statystyk. Bardzo chętnie powołuje się na dane OECD, Banku Światowego czy Eurostatu. I faktycznie: statystycznie jest bardzo dobrze, a ostatnie 8 lat to – mimo covidu i wojny w Ukrainie – rozwój państwa i bogacenie się ludzi. Ale emocje społeczne nie wahają się wraz z danymi Banku Światowego.

Jedność w biedzie

Kaczyński ma plan co najmniej do 2025 r. Pierwszym celem jest przejście w zwartym szyku do opozycji. Prezes nie chce pozwolić na zbyt duże odpryski z klubu w Sejmie, bo musi zachować mniejszość zdolną utrzymać weto prezydenta do ustaw nowego rządu. Jeśli klub PiS straciłby 10 posłów, nie mógłby samodzielnie utrzymać tych wet – byłby na upokarzającej łasce Konfederacji i sejmowego planktonu.

W tej atmosferze prezes rozliczenia dozuje. Na razie w PiS polecały dwie istotne głowy – ważniejsza to ta sekretarza generalnego partii, Krzysztofa Sobolewskiego, a pomniejsza szefa warszawskich struktur Jarosława Krajewskiego. Za kolejną można uznać Ryszarda Terleckiego, który nie będzie już szefem klubu. Polityk PiS: – Rozliczenia zaczną się na serio, gdy nastąpi odpawanie od władzy i ludzie zaczną tracić pracę.

Pierwszym ryzykiem po porażce PiS była secesja Suwerennej Polski Zbigniewa Ziobry – partia ta wprowadziła 18 posłów i może stworzyć własny klub. Tuż po wyborach ziobryści zapadli się pod ziemię: rozważali rozwód z PiS, ale na razie zdecydowali, że nie pójdą na swoje. Mają interes w tym, by startować z list PiS w wyborach samorządowych, a potem jeszcze do Parlamentu Europejskiego, bo mają tam znaną dwójkę – Beatę Kempę i Patryka Jakiego w Brukseli, i zapewne chcieliby ją pozostawić.

Ziobryści w zamian za trwanie przy PiS postawili warunek: szefem nowego klubu w Sejmie nie może być Mateusz Morawiecki. Fotel po Ryszardzie Terleckim zajmie więc Mariusz Błaszczak. Także Paweł

Kukiz z kilkoma posłami sposobił się, by zakładać własne koło – Nowogrodzka na razie odwołała go od tego pomysłu.

Morawiecki dostał inne zadanie: ma stworzyć zespół, który będzie kontrolował – wszystko na to wskazuje – nowy rząd Donalda Tuska. To jasno pokazuje, że wszelkie próby przekonywania, iż PiS jest zdolny zbudować większość w Sejmie, są groteskową szopką.

Premier był twarzą kampanii i dziś inne frakcje w obozie chciałyby go obciążyć winą. Przekonują, że miał być otwarciem na umiarkowanych wyborców, a tylko okopał się w twardym elektoracie, z Unią Europejską konflikt zaś nawet zaognił. Na razie jednak Kaczyński trzyma parasol ochronny nad Morawieckim.

Prezes PiS na drodze powrotu do władzy stawia sobie oprócz konsolidacji obozu inne ważne zadanie: zbudować masowe media krzewiące narrację prawicy – media, które będą równoważyć sytuację, jaka pojawi się po przejściu władzy przez opozycję. Kaczyński potrzebuje dziś szerokiego frontu, bo chce przebić – jak sam mówi – „bańkę medialną” TVN. Gorzkie to podsumowanie własnych rządów – będąc u władzy przez osiem lat PiS nie zdołał zbudować silnych i bliskich sobie prywatnych mediów.

Owszem, podporządkował partii TVP i Polskie Radio, ale po przejściu władzy przez ekipę Donalda Tuska nominaci PiS zostaną wymieceni. Przejęte przez PKN Orlen od Polska Press gazety i portale regionalne też mogą zostać szybko odbite z rąk ludzi wiernych PiS-owi (o ile nie sprawdzą się doniesienia o nagłej sprzedaży koncernu nieznanemu na razie podmiotowi). A prywatne media wspierające wizję PiS mają znaczenie marginalne i osiem lat spędziły często w roli klakierów i biorców reklam, nie walcząc o nowych odbiorców treści.

Plan na przyszłość

Dzień po porażce, na przywołanym już spotkaniu ze sztabem Kaczyński miał zapowiedzieć kongres PiS, który zaordynuje partii zmiany. Na razie w ramach odnowy wierchuszka PiS postanowiła... wrócić do starej struktury. W 2022 r. Kaczyński prze-forsował podział partii na 94 okręgi i wymiół z foteli lokalnych baronów. Ale to się zupełnie nie sprawdziło, a wręcz okazało jedną z przyczyn porażki.



By namiot Zjednoczonej
Prawicy nie posypał się
jak domek z kart,
**prezes PiS powstrzymał
rozliczenia na dużą skalę.**
Odsuwa je w czasie,
by frakcje się nie zagryzły.

Pierwszym testem na drodze do odnowy w partii jest przygotowanie się do wyborów samorządowych (wiosną 2024 r.) i do europarlamentu (w czerwcu 2024 r.). Ale kluczowa dla prezesa PiS jest elekcja prezydenta w połowie 2025 r. Na Nowogrodzkiej trwają już dyskusje o tym, kto miałby wystartować. Dyżurnych kandydatur jest sporo: Beata Szydło, Elżbieta Witek, Mateusz Morawiecki, Mariusz Błaszczak. Ale Kaczyński szuka nowej, niezmućzonej władzą twarzy – jakiegoś 40-latkę z umiarkowanego skrzydła prawicy. „Nowego Dudy”, który w tej zmienionej Polsce mógłby powalczyć o zwycięstwo.

Wygranie wyborów prezydenckich ma uruchomić nową dynamikę – tak jak w 2015 r., gdy zwycięstwo Andrzeja Dudy zaczęło triumfalny pochód prawicy. Wśród potencjalnych kandydatów są wymieniani: nieznany szerzej wojewoda mazowiecki Tobiasz Bocheński i poseł PiS z Gdańska Kacper Płażyński (syn niezującego współtwórcy PO). To jednak dopiero początek „castingu”.

Jeszcze przez 20 miesięcy prezydentem będzie Andrzej Duda. Dla Kaczyńskiego

to trudne: Pałac Prezydencki stanie się jedynym przyczółkiem prawicy na wysokich szczeblach władzy. Co ważne: nie przyczółkiem PiS czy Kaczyńskiego, ale prawicy. Prosta teza, że Duda to „długopis” Kaczyńskiego, jest nieprawdziwa od weta do „lex TVN”. A i w pierwszej kadencji prezydent czasami wetował arcyważne dla PiS ustawy.

Kaczyński z Dudą w zasadzie nie rozmawia od trzech lat. Prezes gardzi prezydentem, uważając go za niegodnego następcę Lecha Kaczyńskiego, którego pamięci – wedle szefa PiS – się sprzeniewierzył. Ma Dudę za słabeusza, który popełnił kardynalne błędy, przyczyniające się do dzisiejszej porażki obozu.

Dla Pałacu wybory oznaczały przeciąg – dwóch ministrów i jeden etatowy doradca zostało posłami. Ale jest i jeden ważny powrót, Marcina Mastalerka, prywatnie przyjaciela Dudy. Mastalerek zostawił posadę w biznesie (wiceprezesa spółki Ekstraklasa S.A.) i przejął zwolniony fotel szefa gabinetu prezydenta RP. Co znamienne: Mastalerek z wielkim ceremoniałem odebrał nominację na ministra dosłownie na minuty przed rozpoczęciem konsultacji prezydenta z wszystkimi siłami politycznymi. W czasie rozmów z delegacją PiS siedział już przy Dudzie.

Mastalerek, do tej pory doradca społeczny, będzie teraz kreował politykę prezydenta w dużo większym stopniu. Kaczyński absolutnie nie znosi Mastalerka, który ma opinię bardzo twardego polityka. Zresztą nowy szef gabinetu Dudy publicznie, podczas radiowego wywiadu odesłał już Kaczyńskiego na polityczną emeryturę (choć dodał, że sam prezes wspominał o abdykacji w 2025 r.) i wskazywał go jako winnego przegranej PiS. Słowa Mastalerka odbijają się echem w całej partii – tak zresztą było i w czasie kampanii, gdy recenzował ją jako beznadziejną i przekonywał prezesa w mediach, by nie wierzył klakierom mówiącym, jak to świetnie im idzie.

Czy prezydent – który jest najpopularniejszym politykiem prawicy w Polsce – będzie próbował po zakończeniu drugiej kadencji przejąć obóz PiS? Zdania na ten temat są różne. Ci, którzy znają Dudę, powtarzają: do partyjnej roboty, gdzie trzeba trzymać całą strukturę i masę ludzi za twarz, Duda się nie nadaje. Ludzie prezydenta jak mantrę powtarzają, że Duda chce dokończyć prezydenturę →

→ w dobrym stylu, a o tym, co potem, ponoć teraz nie myśleli.

Żarty na koniec

Pewne jest coś innego: Duda nie jest żołnierzem Kaczyńskiego. Pałac utrzymuje Nowogrodzką w niepewności, czy zdecyduje się w pierwszym kroku powierzyć straceńczą misję stworzenia nowego rządu Morawieckiemu. Prezydent jest jednak w kłopotliwej sytuacji. W kampanii mówił, że powierzy tekę premiera przedstawicielowi zwycięskiej formacji, a najwięcej głosów zdobył przecież PiS. Duda wie, że dalsze rządy tej partii są iluzją, i stara się z powagą wybrnąć z sytuacji, ale samemu nie chce się wyrwać z namaszczeniem Tuska, bo złamałby słowo, a dla elektoratu prawicowego (karmionego propagandą TVP o wygranej PiS w wyborach) byłoby to niezrozumiałe.

Przejście PiS do opozycji staje się jednak faktem. – *Nihil novi*. Bierzemy się za ładowanie w rządzących. Prezes lubi pracę, gdy jest w opozycji, więc będą rady programowe i kongresy – mówi polityk bliski Nowogrodzkiej. PiS dostanie na to 25,9 mln zł rocznej subwencji, ale i tak po ośmiu latach obratania w tłuszczy upadek na ziemię będzie twardy. Prezes liczy jednak na potknięcia i konflikty w obozie nowej, wielobarwnej władzy, grupującej polityków od krwistej lewicy, przez liberałów, po konserwatystów.

Kaczyński, zarządzając odwrót z ministerstw do okopów, nie traci też humoru. Na spotkaniu z „GP” sypał żartami i wzbudzał salwy śmiechu. A to, że niby na granicy migranci musieli za nielegalne przekroczenie granicy odpalić działkę Kaczyńskiemu, a to, że podejrzewa Bałtyk – a nie tylko Rosję i Niemcy – o wpływanie na polską politykę. Tak jak na stypie, gdzie mimo smutku próbuje się czasami rzucić dykteryjkę z życia tego, kogo się straciło.

– Sam wynik wyborów, że oni przejmują władzę, jest całkowitym zdemaskowaniem, sfałsyfikowaniem tezy o dyktaturze. Żadna dyktatura nie upada na skutek wyborów przeprowadzonych w warunkach wolności – rzucił Kaczyński na pożegnanie. Z władzą.

© JACEK GADEK

Autor jest dziennikarzem Gazeta.pl

Nowa większość na starych śmieciach

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Przed kończącą negocjacje nową koalicją stoją rewolucyjne wyzwania w dwóch sferach – mediów publicznych i wymiaru sprawiedliwości. Czy zmian tych można dokonać bez naginania prawa?

JESZCZE PRZED SOBOTNIMI OBCHODAMI Świąta Niepodległości Koalicja Obywatelska, Trzecia Droga i Lewica przypieczętują komplet najważniejszych ustaleń programowych i personalnych. Porozumienie o utworzeniu nowego rządu jest przesądzone, do dogrania pozostały już tylko szczegóły. Choć ugrupowania przyszłej koalicji rządzącej dzielą istotne różnice ideowe, to negocjacje, jak informują nas ich uczestnicy, szły zaskakująco gładko. Ustalono stosunkowo szczegółowy program, zgodnie z wolą Trzeciej Drogi to „nie jedna stroniczka, ale kilkanaście stron”.

Każdy musiał ustąpić

Uczestnikom sojuszu nie udało się przeforsować wszystkich pomysłów, zwłaszcza tych ideologicznych. Nie będzie więc wśród ustaleń postulowanego przez Lewicę usunięcia religii ze szkół. Trzeciej Drodze nie udało się przeforsować nawet częściowego odstąpienia od zakazu handlu w niedzielę. W najbardziej drażliwym temacie aborcji zawarto kompromis: wszyscy partnerzy zgodzą się na jej depenalizację poprzez odpowiednią nowelizację kodeksu karnego. – Nie ma mowy, byśmy się zgodzili na dopuszczenie aborcji do 12. tygodnia ciąży – przyznaje przedstawiciel Trzeciej Drogi.

Znacznie trudniej szły negocjacje personalne. Sprawcą największych kłopotów była dysponująca jedynie 26 posłami Lewica (Trzecia Droga ma ich 65, a KO – 157). Jej lider Włodzimierz Czarzasty uparł się bowiem, że musi być marszałkiem Sejmu, a na to stanowisko ogromną ochotę ma też Szymon Hołowni,

uważający je za dobrą trampolinę do startu w wyborach prezydenckich – jest zarazem prestiżowe i mniej „zużywające” popularność niż posada w rządzie. Czarzasty postawił jednak weto i nie chciał się zgodzić nawet na to, by Lewica zamiast marszałka Sejmu otrzymała fotel marszałka Senatu. Stanowiło to miałoby bowiem przypaść Magdalenie Biejał z Partii Razem, konkurencyjnej wobec Nowej Lewicy Czarzastego.

Właśnie dlatego w końcu pojawił się pomysł rotacyjnego marszałka, który zmieniałby się w czasie kadencji. Choć sceptyczna wobec tego rozwiązania była Trzecia Droga, a zwłaszcza PSL (wice-marszałek Piotr Zgorzelski kpił, że rotacyjna to może być kosiarka, a nie funkcja marszałka), jest bardzo prawdopodobne, że takie będzie ostateczne ustalenie. Trzecia Droga zadeklarowała zgodę, ale tylko przy założeniu, że jedynym wicepremierem będzie lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. Lewica bowiem oprócz fotela marszałka chciała mieć też swojego wicepremiera, konkretnie Krzysztofa Gawkowskiego. – Nie ma mowy, byśmy się na to zgodzili – przekonuje polityk Trzeciej Drogi.

Najprawdopodobniej więc funkcja marszałka Sejmu przypadnie w pierwszej połowie kadencji Szymonowi Hołowni, a w drugiej – Włodzimierzowi Czarzastemu. W tej sytuacji stanowisko marszałka Senatu też będzie obsadzone w czasie całej kadencji przez dwie osoby. Według jednej z koncepcji byłoby to dwaj senatorowie Koalicji Obywatelskiej, a według drugiej: przedstawiciele KO i PSL. Największe szanse na objęcie funkcji marszałka Senatu w pierwszej



Przedstawiciele Koalicji Obywatelskiej na spotkaniu powyborczym z prezydentem Andrzejem Dudą. Warszawa, 24 października 2023 r.

części kadencji ma Małgorzata Kidawa-Błońska z KO.

Sporów nie ma natomiast w kwestii tego, co należy zrobić w dwóch kluczowych i najpilniejszych do załatwienia sferach – mediów publicznych i wymiaru sprawiedliwości. „Depisyzacja” TVP i Polskiego Radia to jeden z tych punktów, w sprawie którego panuje w całej opozycji zarówno zgoda, jak i determinacja. Podobnie jest z wolą cofnięcia zmian wprowadzonych przez PiS w wymiarze sprawiedliwości. Problem z tym, że oba te obszary, kluczowe dla przywrócenia w Polsce prawdziwie demokratycznych reguł gry, nowa koalicja może szybko zreformować wyłącznie naruszając jeśli nie li-
terę, to przynajmniej ducha prawa.

Odkleić media od Kaczyńskiego

Przyszły premier Donald Tusk na licznych przedwyborczych spotkaniach deklarował wyczyszczenie sytuacji w mediach publicznych w ciągu 24 godzin od objęcia władzy. Zdecydowanie wypowiadał się także o wymiarze sprawiedliwości, zapowiadając odsunięcie od orzekania tzw. neo-sędziów. Jednocześnie, często podczas tych samych spotkań wyborczych, podkreślał, że jego zadaniem jako lidera politycznego jest skończenie z podziałem polskiego społeczeństwa na dwa skłócone plemiona i zasypianie dzielącej je przepaści. Czy można to ze sobą pogodzić?

Tego, że głębokie zmiany są potrzebne, nie kwestionuje prawie nikt. PiS zawłaszczył w niespotykanym dotąd stopniu całe państwo, ale media publiczne zdominował całkowicie (wymiar sprawiedliwości zaś w dużej części, planując domknąć „reformy” w trzeciej kadencji). Przede

wszystkim TVP stała się instrumentem topornej partyjnej propagandy i totalnego dyskredytowania opozycji. Zresztą, sama konstrukcja wdrożonego przez PiS systemu nadzoru nad mediami – ich władze od 2016 r. powoływane są przez Radę Mediów Narodowych, w której większość mają ludzie związani z PiS, na ogół zresztą posłowie – zdradzała od początku zamiary tej partii. Chodziło o to, by prezesów TVP, Polskiego Radia i PAP pozbawić jakiegokolwiek niezależności i całkowicie podporządkować czynnikowi politycznemu.

Nie tylko więc odebrano kompetencje Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji do powoływania władz mediów publicznych, ale i zniesiono zasadę pośredniego mianowania władz medialnych spółek – dotąd KRRiT (w przypadku PAP minister skarbu państwa jako organ właścicielski) powoływała tylko rady nadzorcze spółek, a dopiero te powoływały zarządy, dodatkowo zabezpieczone ustawowo określoną kadencją. Nowy mechanizm nadzoru nad mediami, w ramach którego RMN mogła w każdej chwili powołać lub odwołać szefa np. TVP, ułatwiał ręczne sterowanie, bo żaden z tak uzależnionych od PiS prezesów nie był skłonny do jakichkolwiek gestów niezależności.

Przykładów stronniczego działania mediów publicznych w ciągu ostatnich ośmiu lat są setki – nie zdarzyło się np., by TVP Info transmitowała na żywo kongresy lub konferencje prasowe przedstawicieli partii opozycyjnych. Ale np. w TVN24, uznawanej przez PiS za stację tej partii skrajnie nieprzychylną (choć o zasięgu po stokroć niższym od TVP Info), konferencje premiera czy też kon-

wencje wyborcze partii rządzącej były z zasady transmitowane.

– Media publiczne permanentnie łamią prawo i nawet się z tym nie kryją. Zmiana obecnego stanu nie jest naruszeniem prawa, tylko przywróceniem stanu zgodnego z prawem – mówi były członek KRRiT Krzysztof Luft.

Pomysłów na zakończenie władzy PiS w mediach publicznych jest kilka; nie wszystkie ujawniono. Najczęściej słyszeliśmy o postawieniu spółek, którymi są media publiczne, w stan likwidacji. Nowa większość jednak zarzuciła ten pomysł, m.in. z uwagi na obawy o legalność takiego posunięcia. Mówi się też, że nowa władza może powołać się na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z grudnia 2016 r., w którym stwierdzono, iż odbieranie uprawnień Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji jest niezgodne z ustawą zasadniczą. Orzeczenie to nigdy przez PiS nie zostało wdrożone, ale dziś na jego podstawie można uznać całą RMN za nielegalną. Tyle że wykonać orzeczenie TK *lege artis* można tylko zmieniając ustawę o RMN i ustawowo likwidując radę, a to wymaga zmierzania się z prawdopodobnym wetem prezydenta.

W mediach pojawiają się co prawda spekulacje, że orzeczenie TK dałoby nowemu ministrowi kultury, który pełni obowiązki organu właścicielskiego mediów publicznych, prawo do powołania zarządów komisarycznych (lub przynajmniej zawieszenia obecnych władz). Minister miałby w tym przypadku użyć argumentu z kodeksu spółek handlowych, że władze powołane przez niekonstytucyjny organ nie dają rękojmi gospodarności. Jednak wejście na taką drogę →

→ uruchamia prawo do zaskarżania decyzji na drodze sądowej, a przede wszystkim jest wyraźnym działaniem na granicy prawa, czyli wejściem w buty PiS.

Historia medialnej przemocy

Właściwie jednak plany opozycji nie powinny nas dziwić, i to nie tylko w kontekście tego, co robił PiS po 2015 r. Całe ostatnie 30 lat to, z niewielkimi wyjątkami, czas postępującego i coraz bardziej bezpośredniego podporządkowywania mediów publicznych rządzącym formacjom politycznym.

Początkowe zamiary były inne. Uchwalona w 1992 r. ustawa o radiofonii i telewizji konstruowała tak medialny ład, by maksymalnie utrudnić przejęcie władzy nad informacjami przez jedną siłę polityczną. Pierwsza ekipa KRRiT, która miała nadzorować rynek mediów elektronicznych, składała się z przedstawicieli wszystkich sił rozdrobnionego wówczas Sejmu. W dodatku kadencje różnych członków rady były odmiennie długości – właśnie po to, by ich następców wybierały różne parlamenty i by dzięki temu maksymalnie zachować pluralizm.

Ten stan prawny przetrwał do 2005 r., kiedy podczas pierwszych rządów PiS ustawą skrócono naraz kadencję wszystkich członków KRRiT, odchodząc od filozofii zachodzenia się kadencji i wybierając do rady „swoich”, a także przedstawicieli „przystawek”: LPR i Samoobrony.

Oczywiście i wcześniejsze ekipy polityczne, a zwłaszcza rządzące w latach 90. XX wieku SLD i PSL, wykorzystywały istniejące przepisy, by zawłaszczać media. I tylko raz zasada ta została zakwestionowana, gdy po szoku wywołanym aferą Rywina, z inspiracji prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego związana z nim szefowa KRRiT Danuta Waniek dopuściła do władz mediów publicznych przedstawicieli różnych sił politycznych, także prawicy. A prezesem TVP w 2004 r., w wyniku transparentnego konkursu, został kojarzony z opozycyjną wtedy PO Jan Dworak.

Powołanie w 2016 r. Rady Mediów Narodowych przez posiadający sejmową większość PiS było kolejną ważną cezurą. Stanowiło dużo głębszy etap zawłaszczania mediów, które skutkuje dziś przekształcaniem się TVP i Polskiego Radia w instytucje będące zaprzeczeniem ich publicznego charakteru.

Nowy rząd powinien stworzyć system nadzoru, który w maksymalny sposób odseparuje media publiczne od władzy.

Taki gest wprowadzałby **nową jakość do logiki plemiennej polaryzacji.**

Zdominowana przez polityków PiS RMN przestrzega dziś, że zmiana jej składu za pomocą uchwały sejmowej (to kolejny z rozpatrywanych pomysłów) albo postawienie spółek medialnych w stan likwidacji byłoby „otwartym łamaniem prawa”. Protestują związani z PiS dziennikarze, którzy opublikowali nawet list „w obronie wolności słowa”.

Dogadać się z Dudą

Po drugiej stronie politycznego sporu głosy te traktowane są wyłącznie jako oręż w politycznej walce. To oczywiście prawda. Czy jednak to, że protestują osoby zaangażowane w niszczenie mediów publicznych, oznacza, że we wszystkim, co piszą, się mylą?

Może sytuację, w której trudno dokonać szybkich zmian w mediach publicznych, opozycja powinna przekuć w swój atut? I założyć, że jeżeli da się przeprowadzić doraźną „czystkę” zgodnie z literą i duchem prawa, należy jej dokonać. Jeśli jednak się to nie uda, pozwolić jeszcze przez jakiś czas pracować PiS-owskiemu propagandystom. A docelowo stworzyć taki system nadzoru, który w maksymalny sposób odseparuje media publiczne od ludzi sprawujących władzę. Taki gest wprowadzałby nową jakość do logiki plemiennej polaryzacji, którą rządzi się polska polityka. I byłby krokiem w kierunku zasypywania politycznych rowów, o czym mówił w kampanii Tusk.

– Wszystkie deklaracje, które składał pan premier Donald Tusk w sprawie mediów, są aktualne. Wiemy dobrze, że zło w Polsce zaczęło się między innymi od wyrzucenia dziesiątek dziennikarzy z TVP i uczynienia z niej medium jednej partii. Każdy Polak płacąc podatki

składa się na media publiczne, więc TVP musi zostać oczyszczona z polityków, muszą zasiadać tam prawdziwi dziennikarze, postępujący zgodnie z etosem swojej pracy – mówi wiceprzewodniczący PO Cezary Tomczyk, który według kuluarowych pogłosek pracuje nad zmianami w przepisach o mediach publicznych.

Działanie pozbawione logiki odbijania politycznych łupów dawałoby nowej większości szanse na szukanie porozumienia z prezydentem Andrzejem Dudą. Dziś przez trzy formacje przyszłego rządu traktowany jest jako potencjalny hamulcowy niezbędnych zmian w mediach publicznych. Może jednak są jakieś płaszczyzny porozumienia z nim i w tej sprawie – w końcu Duda również był krytykiem tego, co się działo w TVP, a w 2020 r. nawet sprawcą krótkotrwałego odwołania ze stanowiska prezesa TVP Jacka Kurskiego (jego powrót był formą upokorzenia prezydenta ze strony prezesa PiS).

Porozumienie z Dudą w sprawie mediów mogłoby się nowej większości opłacać także w kontekście planowanych zmian w innych sferach, zwłaszcza w wymiarze sprawiedliwości. Tu winy PiS są równie ewidentne. To ta partia zrobiła w 2015 r. zamach na Trybunał Konstytucyjny, a w roku 2017 przyjęła ustawę o KRS, powierzając prawo do wyboru dużej części jej składu parlamentarzystom, co było naruszeniem konstytucji. PiS stworzył zarazem restrykcyjny system dyscyplinowania sędziów, umożliwiając karanie ich za treść wydawanych orzeczeń, zwłaszcza uwzględniających wyroki TSUE. Zarzuty, że pod rządami PiS poważnie naruszono trójpodział władzy, są całkowicie uzasadnione. Spowodowały one zresztą kłopoty rządu na forum UE – niekorzystne dla Polski orzeczenia i wstrzymanie środków z KPO.

Grzech pierworodny Trybunału

Tym niemniej patologia także w tej sferze nie zaczęła się od rządów PiS. W 2015 r., tuż przed wyborami ówczesna większość, tworzona przez PO i PSL, wybrała pięciu sędziów Trybunału Konstytucyjnego przed upływem kadencji tych sędziów, których mieli oni zastąpić. Zrobiono tak, mimo że kadencja dwóch z nich kończyła się w momencie, gdy działać miał już kolejny Sejm. Jeszcze w tym samym roku wybór tej dwójki został zakwestionowany przez sam Trybunał, ale fortel

większości PO-PSL dał PiS po wygranych wyborach pretekst, by „pójść po bandzie” i na miejsce całej piątki wybrać pięciu swoich sędziów. A to definitywnie przekreśliło szanse, by TK, w którym zasiadało trzech „dublerów”, mógł być uznany za organ wypełniający legalnie swoje funkcje.

Forma wdrożonej przez PiS „reformy sądownictwa” zmusiła ugrupowania opozycyjne do obrony *status quo* w tej sferze. Tym niemniej już w czasach rządów koalicji PO-PSL (2007-2015) dostrzegano konieczność zmian w strukturze wymiaru sprawiedliwości, a nawet podejmowano próby reform, jak likwidacja części małych sądów przez ministra sprawiedliwości Jarosława Gowina. Jednak głębsze zmiany, nad którymi pracował kolejny minister Cezary Grabarczyk, zostały wstrzymane pod naciskiem środowisk sędziowskich.

Dzisiaj część planowanych przez nową ekipę reform, jak rozdzielenie funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, czy powrót do konstytucyjnego sposobu wyłaniania Krajowej Rady Sądownictwa, jest oczywista. Zmianą na korzyść byłoby też uchwalenie ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, firmowanej przez Fundację Batorego, a zakładającej np. wybór w Sejmie członków TK większością trzech piątych. Natomiast pomysły podważania nominacji sędziów wybranych z rekomendacji tzw. neo-KRS, a tym samym wydanych przez nich wyroków, według sporej części ekspertów nie będą umacniać zaufania do państwa. Wzruszenie decyzji prawnych wydanych wadliwie może wywołać więcej szkód niż korzyści. Bo uczestnicy postępowania, którzy zdali się na werdykt państwa, nie mieli przecież wpływu na to, że akurat ich sprawę rozpatrywał jakiś neo-sędzia. Podobną logiką kierowały się zresztą władze III RP po 1989 r. i zaniechały kwestionowania zdecydowanej większości aktów prawnych wydanych w czasach autorytarnej PRL.

Czy nowa większość będzie kierować się logiką kompromisu, czy raczej rewolucyjnym zapałem? Jeżeli jej zamiarem jest rzeczywiście zasypywanie podziałów społecznych, wskazane byłoby raczej to pierwsze.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ



MAREK BAZAK / EAST NEWS

„Bezpieczny pokój” może być obszarem najbardziej traumatycznych dla dziecka doświadczeń.

Cyfrowe getta

PROF. JAKUB ANDRZEJCZAK, SOCJOLOG:

Młody człowiek korzysta z urządzeń cyfrowych około siedmiu godzin dziennie, a podczas wakacji nawet czternaście godzin. Z tego świata czerpie poglądy, postawy, wzory zachowań, a także reakcje emocjonalne.

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK:

Czy świadomy rodzic może uchronić dziecko przed zagrożeniami, jakie niesie cyfrowa rzeczywistość?

JAKUB ANDRZEJCZAK: Nie zawsze jest to możliwe, ale zakładam, że taki dorosły jest otwarty na rozmowę z dzieckiem o przemocy cyfrowej i niebezpiecznych interakcjach, które mogą go spotkać w sieci. Nie boi się poruszać tematów trudnych, a nawet sam pokazuje zagrożenia, jakie widzi w tej przestrzeni.

Wielu rodziców instaluje na urządzeniach używanych przez dzieci

aplikacje pozwalające na kontrolę rodzicielską. Myślą, że to wystarczy.

Do czego przyda nam się informacja, że nasze dziecko próbowało odwiedzić witryny pornograficzne, skoro nie będziemy posiadali umiejętności i odwagi, by o tym porozmawiać? Choćby zresztą na urządzeniu była taka blokada, telefon kolegi może jej nie posiadać i treści, które chcieliśmy mieć pod kontrolą, i tak staną się dostępne dla naszego dziecka. Ich źródeł jest wiele. Granica wieku wejścia w media społecznościowe z roku na rok się obniża; już dawno istnieje ciche przyzwolenie, by



→ dzieci zakładały sobie konta na popularnych platformach przed ukończeniem trzynastego roku życia. Spotykam się z tym, że już siedmio- i ośmiolatkowie mają konta na TikToku.

To w sumie konsekwencja postaw dorosłych. Dzieci mają kontakt ze smartfonem niemal od urodzenia, regularnie słyszą też zdanie: „Obejrzyj bajkę na telefonie, mam coś do zrobienia”.

Zdarza się, że rodzice chwalą się tym, że ich kilkuletnie dzieci świetnie poruszają się w świecie cyfrowym. Czym innym jest jednak oglądanie bajek na telefonie, a czym innym korzystanie z platform społecznościowych. Dzieci mogą się tam zetknąć z treściami, na które nie będą przygotowane. Znajdą je w pozornie niewinnych grach albo filmach na YouTube i na TikToku. Z badań brytyjskiej organizacji Internet Watch Foundation wynika, że znacznie obniżył się wiek inicjacji, jeśli chodzi o kontakt z treściami pornograficznymi. Dzieci w wieku dziesięciu lat i młodsze odpowiadają za 10 procent ruchu na stronach pornograficznych; najpopularniejszą witrynę odwiedziły na przestrzeni dwunastu miesięcy ponad cztery miliardy razy. Czas spędzany w ten sposób mógłby być spożytkowany na interakcje społeczne, które są niezbędne do prawidłowego funkcjonowania dziecka w świecie.

Ile czasu spędzają dzieci z telefonem komórkowym w ręce? Choć może wypadałoby już powiedzieć: „w rzeczywistości online”?

Przeciętny młody człowiek korzysta z urządzeń cyfrowych około siedmiu godzin dziennie, a podczas wakacji nawet

czternaście. Informacje te zdobywam m.in. podczas bezpośrednich rozmów z młodzieżą, która pokazuje mi dane ze swoich smartfonów. Jeśli odliczyć średnio osiem godzin przeznaczone na sen, okazuje się, że to ponad 40 procent czasu dziennej aktywności. Co oznacza, że socjalizują się w tym świecie, czerpią z niego opinie, poglądy, postawy, wzory zachowań, a także reakcje emocjonalne.

Rodzice wciąż na to narzekają.

I nic z tego nie wynika, bo nic się nie zmieni w życiu dziecka, kiedy rodzic wpadnie do pokoju z krzykiem: „No, ile można?!”, „Przestań wreszcie grać, zabierz się za naukę!”. O wiele lepiej byłoby, gdyby ojciec zainteresował się tym, co robi syn, w co gra, na jakie strony wchodzi. Porozmawiał, zamiast krzyczeć. Jako rodzice musimy podjąć to wyzwanie, bo nikt tego nie robi za nas. Pokazujemy dzieciom, że treści publikowane na stronach internetowych nie muszą być prawdziwe, uczymy je krytycyzmu wobec tego, z czym się stykają, by miały świadomość, jakich przemysłowych technik używa przemysł cyfrowy, by zatrzymać ich w rzeczywistości „online”.

Podczas mojej pracy badawczej obserwowałem dzieci, które z lękiem wyrażały się o życiu „offline”. Bały się realnych kontaktów i rozmów. Technologia, która zbyt wcześnie i agresywnie wkracza w rozwój dziecka, uniemożliwia zdobywanie umiejętności społecznych, zakłóca jego dobrostan emocjonalny.

A jednak wciąż panuje przekonanie, że jeśli dziecko nie biega po nocy, nie spotyka się z podejrzanym towarzystwem, tylko siedzi w domu, to rodzice mogą spać spokojnie.

Tak się składa, że ten „bezpieczny pokój”, w którym przed komputerem siedzi nasze dziecko, może być obszarem najbardziej traumatycznych i trudnych do przepracowania doświadczeń. Od wielu lat zajmuję się wpływem technologii cyfrowej na socjalizację i edukację młodych ludzi, prowadząc obserwacje na podstawie badań środowiskowych. Mam ponad 200 fikcyjnych kont i około 500 profili w mediach społecznościowych. Dzięki temu dotarłem do głębokich piwnic tego świata, zamkniętych przestrzeni, które nazywam: „cyfrowe getta”, bo przenikalność tej rzeczywistości jest ograniczona. Wielu grup nie można znaleźć poprzez wyszukiwarkę, można tam wejść na podstawie linków, które sobie młodzi ludzie przesyłają. Trzeba znać specjalne hasła, by zostać przyjętym do takiej grupy.

Dlaczego młodzi ludzie szukają drogi do tych gett?

Najczęściej w dziecku jest potrzeba poszukiwania określonych treści, czasami nie intencjonalna, a czasami wynikająca z kompleksów i deficytów społeczno-wychowawczych. Po kilku wyszukiwaniach algorytmy podsuwają mu strony, które tematycznie mieszczą się w strefie jego zainteresowań, tam poznaje podobnie myślących ludzi, którzy kierują go dalej, do zamkniętych grup. Tam dziecko traci czujność, a treści, które jeszcze dwa tygodnie wcześniej uznawało za niedopuszczalne, przestają je szokować. Dochodzi do normalizacji pewnych zachowań i sposobów myślenia.

Znam przypadek jedenastolatka, który trafił do grupy epatującej nienawiścią do niepełnosprawnych. Dyskutowano o tym, jak skutecznie

TP JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU DODATEK SPECJALNY

„Jedno miasto, dwie historie”

A w nim m.in.:

- Rozmowa z **JACKIEM PURCHŁĄ** o przeszłości i teraźniejszości miasta.
- Tekst **KATARZYN KOBYLARYCZK** o tym, dlaczego Nowa Huta to wciąż jedno z najciekawszych miejsc do życia w Polsce.

Zapraszamy do lektury!

PARTNERZY DODATKU:

 **Kraków**

 **KRAKÓW NOWA HUTA PRZYSZŁOŚCI S.A.**

 **KHK**
Krakowski Holding Komunalny S.A.

„Tygodnik” z dodatkiem w kioskach od środy 15 listopada

zrzucić kalekę z wózka inwalidzkiego. Chłopiec rozpowszechniał te informacje w klasie. Jak szybko odbywa się zmiana postaw pod wpływem internetu?

To nawet nie jest sprawa tygodni. Intensywność korzystania przez młodych ludzi z sieci jest tak duża, że w ciągu kilku godzin mogą dotrzeć do interesujących ich treści. Algorytmy nowych mediów społecznościowych działają niebywale sprawnie i szybko „uczą się nas” na podstawie nawet relatywnie krótkiej obecności na danej stronie. Najszybszy jest algorytm TikToka, który błyskawicznie przekierowuje nas na konta użytkowników zbliżonych pod względem zainteresowań. Proszę sobie wyobrazić piętnastolatkę, która szuka treści związanych z dietą, trafia do grup dyskusyjnych, a ponieważ świat internetu skupia się na przekazywaniu treści bardzo radykalnych, bo to one generują „klikalność” i przyciągają uwagę, dziewczyna zaczyna trafiać na filmy pokazujące zalety anoreksji.

Czy wśród tych historii jest taka, która szczególnie Pana poruszyła?

To historia nastolatki, która przez kilka miesięcy funkcjonowała w grupie zainteresowanej popkulturą koreańską. Później trafiła na osoby, które zaczęły sobie przekazywać treści depresyjne, a w końcu dostała instrukcję, jak popełnić samobójstwo. I zrobiła to. Miała trzynaście lat.

Nie da się pomóc takim osobom?

Kiedyś próbowałem to zrobić wobec dziewczyny, która zmagala się z problemami osobistymi, ale odpisała, że „nie rozmawia z nieznajomymi”. To w gruncie rzeczy efekt nauki, jaką dorosli od najmłodszych lat przekazują dzieciom. Chciałem tej dziewczynie przekazać informacje na temat miejsc udzielających pomocy, powiedzieć, że istnieją instytucje, które mogą realnie poprawić jej sytuację, ona jednak wolała dalej szukać wsparcia w mediach społecznościowych.

Czy policja monitoruje te ciemne piwnice internetu?

Z mojego doświadczenia wynika, że w bardzo ograniczonym stopniu. Pewne przestrzenie świata wirtualnego są monitorowane choćby przez wydziały do



KINGA PIOTROWSKA / ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. JAKUB ANDRZEJCZAK jest kierownikiem Zakładu Socjologii Wychowania Wielkopolskiej Akademii Społeczno-Ekonomicznej. Od wielu lat zajmuje się wpływem technologii cyfrowej na społeczeństwo, jest autorem wielu kampanii profilaktycznych.

walki z cyberprzestępczością, ale to nie są te obszary, w których gromadzą się dzieci. Poza tym, nawet gdy rodzice zgłaszają sprawę przemocy w sieci, spotykają się ze stwierdzeniem o „niskiej szkodliwości czynu”. Ostatnio poznałem historię, która dzieje się w małym miasteczku. Jakiś człowiek założył tam profil publiczny, który miał koncentrować się wokół wydarzeń lokalnych, ale on szkaluje za pośrednictwem tej strony ludzi, których nie lubi, upublicznia konwersacje i przerbione zdjęcia tych osób. I nikt z tym nic nie umie zrobić.

Mimo że to nie jest grupa zamknięta, tylko ogólnie dostępna?

Współpraca służb w Polsce i na świecie z mediami społecznościowymi jest bardzo trudna i wciąż na bardzo niskim poziomie.

Także otwarte grupy funkcjonujące w sieci stały się miejscem dystrybucji środków psychoaktywnych: leków i narkotyków.

Nie śledzę tego wątku, bo nie zajmuję się nim w swojej pracy badawczej, ale wiem, że tak się dzieje. W pewnych kręgach jest to zresztą wiedza powszechna. Proceder

sprzedawania narkotyków odbywa się dzisiaj za pomocą legalnych mediów społecznościowych i komunikatorów.

Co było powodem ataku spawerskiego, który młodzi ludzie przypuścili na Pana konto?

Postanowiłem zareagować i ujawniłem dorosłym informacje na temat istnienia grup zamkniętych. Opisałem, co jest tematem prowadzonych tam rozmów i jakie niebezpieczeństwa z tego wynikają. Reakcja była natychmiastowa. Dzieciaki umówiły się na konkretny dzień i godzinę, żeby mój profil „spadł z rowerka”. Dostałem ogromną liczbę wiadomości, maili, ale także gróźb pod adresem mojej rodziny. Dzieciaki w wieku od ośmiu do piętnastu lat sparaliżowały mi konto; utraciłem ważne informacje. Wiele z tych działań nosiło wręcz znamiona przestępstwa.

Zawiadomił Pan policję?

Jestem pedagogiem i socjologiem, nie chciałem uruchamiać całej lawiny, wolałem dotrzeć do moderatorów i administratorów tych stron. Młodym ludziom wydaje się, że są anonimowi, jeśli nie publikują zdjęć, nie oznaczają znajomych. Ale nie są nieuchwytni. Najlepszym skutkiem mojej historii było to, że dotarłem do ich szkół i do rodziców. Prosiłem, żeby w tych rozmowach brały udział dzieci, i czasem trwały one nawet półtorej godziny. Poświęciłem na to wiele czasu, ale uznałem, że tylko w ten sposób mogę coś zmienić i przerwać ten ciąg zdarzeń.

To były trudne rozmowy. Rodzice wstydzieli się, dzieci płakały. Pamiętam spotkanie z ojcem, z zawodu informatykiem, który nie miał świadomości, że jego nastoletnia córka funkcjonuje w kilku zamkniętych grupach, m.in. w takiej, gdzie była mowa o przemocy wobec dzieci do czwartego roku życia.

Czy istnieją konstruktywne rozwiązania, które pozwolą uchronić młodych ludzi przed zagrożeniami, jakie niosą media społecznościowe?

Z tym problemem zmagamy się wszyscy, choć nie każdy w dostatecznym stopniu zdaje sobie sprawę z zagrożeń. Australia i Nowa Zelandia najlepiej radzą sobie z przeciwdziałaniem problemom, jakie niesie funkcjonowanie dziecka →

→ w sieci. W Polsce także powstają inicjatywy takie jak Heroo Mobile, oferujące bezpieczne aplikacje dla dzieci. Staramy się zmieniać internet, by był przyjazny dla dzieci i dla rodziców. Nie ma się co jednak oszukiwać – żeby doprowadzić do rewolucyjnych przemian, musi dojść do współpracy z wielkimi korporacjami, które tworzą media społecznościowe.

Właściciele Facebooka i Instagrama od lat wiedzą, że zbyt długie przebywanie dzieci w sieci nie kończy się dla nich dobrze. Wzorce propagowane w mediach społecznościowych zmniejszają zwłaszcza dobrostan dziewczynek, mają związek z depresją, która jest plagą wśród nastolatków. Szefowie wielkich korporacji muszą przejąć część odpowiedzialności za te zjawiska. Musimy wywierać presję na przemysł cyfrowy [33 stany USA pozwały właśnie właścicieli Instagrama za celowe manipulowanie młodzieżą – red.], tworzyć oddolne inicjatywy. Bez tego będzie nam trudno działać.

Prowadzi Pan szkolenia dla pedagogicznych i ma Pan kontakt z nauczycielami. Czy polska szkoła jest przygotowana i reaguje na rewolucję, jaką wprowadził w życie dzieci internet?

Polska szkoła od dwudziestu lat przeżywa ideę kształtowania obywatelstwa cyfrowego. Budzi się w „dzień bezpiecznego internetu” i wtedy organizuje po-

Nawiązujemy
znajomość na portalu
społecznościowym?

W porządku,
ale przenieśmy ją
do świata realnego.

**To bezpośrednie relacje
budują więzi i świadczą
o naszym człowieczeństwie.**

gadanki, pokazowe lekcje i konkursy dla dzieci. To nie jest dobra droga, potrzebujemy systemowych rozwiązań, a nie okazjonalnych wydarzeń. Potrzebujemy edukacji cyfrowej z prawdziwego zdarzenia. Nie mam tu na myśli osobnego przedmiotu, te treści można swobodnie wpleść w podstawę programową każdego z nich. To jest zupełnie nowa rzeczywistość, dlatego więc nie mogłyby być elementem edukacji na języku polskim, np. gdy mówimy o tym, co jest prawdą, a co kreacją? Od dawna istnieją w sieci aplikacje, które mogą dowolnie przerobić zdjęcie wybranej osoby. Czemu do tego nie nawiązać podczas lekcji?

Pokazywanie tych zjawisk uczy krytycznego myślenia. Edukacja cyfrowa doskonale sprawdzi się też na biologii czy chemii, kiedy mówimy o działaniu ludzkiego mózgu, bo to wiedza konieczna do funkcjonowania w internecie. Nawet na matematyce można nawiązać do edukacji cyfrowej, bo rozumienie rzeczywistości „online” ma ścisły związek z algorytmami.

A jak Pan kształtuje świadomość cyfrową swoich dzieci?

Polegam na własnej wiedzy. Kiedy zdarzył się atak spamerski na mój profil, pokazywałem mojemu dwunastoletniemu synowi, jak funkcjonuje ten świat i do czego prowadzą nieprześlane decyzje. To była najlepsza lekcja, jaką mógł dostać, bo zobaczył, że trzeba być ostrożnym i krytycznym wobec tego, co się dzieje na portalach społecznościowych. Bardzo ważne wydaje mi się to, żeby wyprowadzać młodych ludzi z przekonania, że rzeczy, które zostały zainicjowane online, muszą się toczyć w zamkniętych, wirtualnych pokojach. Nawiązujemy znajomość na portalu społecznościowym? W porządku, ale przenieśmy ją do świata realnego. To bezpośrednie relacje sprzyjają budowaniu więzi i świadczą o naszym człowieczeństwie niezależnie od tego, na jakim etapie rozwoju cywilizacji jesteśmy.

© Rozmawiała

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabin, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła
Fotoreportaż: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (kierowniczka),
Michał Kuźmiński, Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejewska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziół, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałka,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adert,
Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TOMASZ

Stawiszyński: Frekwencyjna ambiwalencja



CZY REKORDOWA FREKWENCJA W PAŹDZIERNIKOWYCH wyborach parlamentarnych to faktycznie – jak mogliśmy przeczytać, kiedy tylko pierwsze informacje na ten temat przedostały się do mediów – „przebudzenie społeczeństwa obywatelskiego”?

Bezsporny dowód, że wyborcy odznaczający się dotąd pewnym nienaruszalnym zasobem bierności postanowili nareszcie wziąć sprawy w swoje ręce? Ekspresja głębokiej, uświadomionej odpowiedzialności za państwo, jego instytucje, sferę publiczną? Konsekwencja niewczesnego dostrzeżenia własnej sprawczości? (Choć w końcu lepiej późno niż wcale, nieprawdaż?)

Być może tak się właśnie sprawy mają i w tym sensie rok 2023 rzeczywiście okaże się w polskiej historii społecznej momentem więcej niż przełomowym. Trzymam kciuki, bardzo bym chciał, żeby tak było. Być może jednak – proszę pozwolić mi na szczyptę sceptycyzmu, ostatecznie rolę specyficznego pisarstwa, jakie na tych łamach uprawiam, jest uporczywe poszukiwanie (również w sobie) spraw (nie)świadomie ignorowanych, marginalizowanych, niedopuszczanych do świadomości – wcale nie o to w tej imponującej frekwencji chodzi. I być może niekoniecznie jest ona przyczynkiem do aż takiego optymizmu. A w każdym razie – nie od razu. Powiedzmy, że mamy tu dopiero potencjał do ewentualnej radości. Ale – jak to z potencjałem bywa – istnieje także ryzyko, że nigdy nie przekroczy on fazy potencjalnej. A nawet – jest i takie niebezpieczeństwo – że się rozwinie w innym zgoła kierunku, niż to jego wyjściowa natura zapowiada. Mówiąc krótko: uznaję tę frekwencję za potencjał w każdym razie ambiwalentny. Co się z niego realnie wyłoni, to się dopiero okaże, a zatem przynajmniej chwilowo wstrzymałbym się z wiwatami.

Dlatego w tonie cokolwiek defetystycznym próbuję zakłócać powszechne (przynajmniej po stronie niedawnej opozycji) przekonanie, że rekordowa frekwencja wyborcza jest symptomem wyłącznie dobrego? Dlatego mianowicie, że październikowe wybory poprzedzała bezprecedensowo brutalna kampania wyborcza, której zasadniczym motorem napędowym było prowokowanie – po obu zresztą stronach – intensywnych, apokaliptycznych fantazji i emocji (pisałem o tym

więcej na łamach „TP” nr 43/2023). Czymże nas nie straszono! Hordy rozwścieczonych migrantów najeżdżających Polskę. Totalitarno-mafijne rządy ukrytych rosyjskich agentów, dławiących demokrację i gruntujących teren pod wprowadzenie nadwiślańskiej wersji putinizmu. Do tego nieustanne wzajemne oskarżenia o mataczenie, oszukiwanie, złą wolę, złodziejstwo, zdradę, zaprzaństwo, sprzedawczykowstwo, korupcję oraz wszelkie możliwe grzechy, zaniedbania, przekroczenia i przestępstwa. I jeszcze: potężna presja, nawoływanie do pospolitego ruszenia. Tysiące wzmożonych komentarzy w mediach społecznościowych. Bezalternatywność. Wzywanie do zwierania szeregów, ratowania kraju przed definitywną zgubą. Zachęta, ba, nakaz głosowania przeciw tym lub tamtym. No i żywiołowe potępienie każdego, kto się z tej mobilizacji wyłamywał, miał jakieś wątpliwości, usiłował podważać te lub tamte dogmatyzmy. Albo, o zgrozo, dawał do zrozumienia, że się waha, czy w ogóle 15 października wychodzić z domu. Choć przecież, przypomnę, udział w wyborach – jak stanowi konstytucja – jest prawem każdego obywatela, nie zaś jego obowiązkiem.

Innymi słowy, mam obawy, a nawet podejrzenia, że istotnym paliwem tegorocznych wyborów – a więc i towarzyszącej im frekwencji – były silne negatywne emocje, z tego zaś budulca rzadko kiedy da się uformować społeczeństwo obywatelskie. Czy te podejrzenia są uzasadnione – o tym się oczywiście już niebawem przekonamy. Nie tylko podczas kolejnych wyborów, ale także w codziennej, życiowej praktyce. Jak będzie wyglądał emocjonalny krajobraz polskiego społeczeństwa miesiąc, dwa, pół roku, rok po tych wyborach? Czy intensywna polaryzacja stopniowo osłabnie, czy też przeciwnie: wybuchnie ze zwielokrotnioną siłą? Czy nastąpi ogólnopolskie ukojenie rozwibrowanych do granic możliwości serc i umysłów, kiedy już każda ze stron przyjmie do wiadomości, że dominująca w ich bańce apokaliptyczna fantazja jednak się nie spełniła? Czy może politycy i propagandyści obu skłóconych obozów zdecydują się dalej korzystać z tego poręcznego narzędzia, które tyle przecież ułatwia? Odchodzącej władzy – konsolidację we własnych szeregach zagrożonych rozpadem. Nowej władzy, która jest pod wielką presją oczekiwań – usprawiedliwianie rozmaitych niedociągnięć, obstrukcji, a także, *last but not least*, ociągania się z realizowaniem wyjątkowo hojnych i rozległych obietnic? A każdemu z osobna – mobilizację elektoratu poprzez stary, dobry alarmizm: oto nadeszły czasy ostateczne?

Znowu – niebawem się przekonamy. Tymczasem dobrze by było ochłonąć i na spokojnie rozejrzeć się dookoła, otacza nas bowiem świat coraz bardziej skomplikowany, mroczny i niebezpieczny. Na stole są więc faktyczne apokalipsy, zupełnie inne niż te, którymi się tutaj przez ostatnie miesiące ekstatycznie okładaliśmy po głowach. I zdecydowanie od tamtych groźniejsze, przede wszystkim dlatego, że się wiążą z realnym, nie zaś wyobrażonym zagrożeniem. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/

Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na powszech.net/wspieram

faniMani.pl

KOŚCIÓŁ RÓŻNYCH PRĘDKOŚCI

KARD. GRZEGORZ RYŚ, UCZESTNIK SYNODU O SYNODALNOŚCI:

Kościół opiera się na zasadach, które wynikają z objawienia. Trzeba je dobrze opisywać i w ich ramach otwierać przestrzenie dla wszystkich. Równość nie polega na tym, że wszyscy mogą to samo.

ZUZANNA RADZIK: Synod polegał głównie na słuchaniu. Co Ksiądz Kardynał usłyszał?

KARD. GRZEGORZ RYŚ: Wiele. Synod na prawdę był przestrzenią powszechnego spotkania. Czterokrotnie zmienialiśmy grupy i za każdym razem to było 8-10 nowych, bardzo różnorodnych osób. Mam wcześniejsze doświadczenie synodu o młodzię, ale tam było więcej spotkań plenarnych i mało czasu w jednej, mniejszej grupie.

Co daje ta różnorodność?

To ważne doświadczenie, być może szczególnie cenne dla nas, Europejczyków, bo mamy europocentryczną wizję Kościoła. W grupie dyskusyjnej spotykały się osoby świeckie, konsekrowane, ale też biskup czy kardynał, a do tego dochodziła różnorodność geograficzna. Katolicy z Hongkongu czy z Korei inaczej podchodzą do pytań i do rozwiązań. To nakazuje też pewną wrażliwość, kiedy rozmawiamy o ważnych tematach.

Ważnych, czyli jakich?

Synod dotyczył synodalności i będzie dalej dyskusją na ten temat. Czym innym jest rozmowa o synodalności w europejskim Kościele, gdzie żyjemy sobie jak u Pana Boga za piecem i rozważamy rozmaite teoretyczne kwestie. A czym innym jest rozma-

wianie o synodalności na przykład z katolikami z Syrii albo Libanu lub Ukrainy, którzy doświadczają wojny i to jest ich największa troska. Jeśli synodalność oznacza skupienie na każdym człowieku, to – konsekwentnie – nie można uciekać od sytuacji, w której ten człowiek się znajduje. W każdym konkretnym kontekście może w danej chwili oznaczać co innego. Inaczej robimy z synodalności jakiś rodzaj ideologii.

W Kościołach Europy jest kryzys, tylko inny.

Jasne, ale to jest jednak różny poziom kryzysów. W tym nie ma żadnego oceniającego, każdy ma swoje wyzwania, swoje krzyże. Natomiast dobrze nam robi nie konfrontacja, tylko świadomość zupełnie różnych perspektyw.

Czego nowego doświadczył Ksiądz Kardynał przez ten miesiąc?

Bardzo ważnym, nowym doświadczeniem na tym synodzie były wspólne rekolekcje. Po tych trzech dniach byliśmy zupełnie innym zgromadzeniem. Już w czasie rekolekcji pracowaliśmy w grupach, co zapowiadało, jak będzie wyglądał synod. Uczyliśmy się metody konwersacji w Duchu Świętym. Z początku towarzyszył nam strach i dystans. Myślę, że Duch Święty próbował budować z nas wspólnotę zgroma-



dzoną wokół istotnych pytań, na które razem spróbujemy szukać odpowiedzi. Nikt do końca nie wiedział, co z tego wyniknie. Myślę, że dzięki temu na synodzie spotkaliśmy się w innym rozumieniu siebie nawzajem. Jeśli ktoś myślał, że rekolekcje i liczne modlitwy to zasłona dymna, za którą odbywa się gra interesów, to się głęboko mylił.

Jednak ta ludzka i polityczna strona zgromadzenia też istnieje. Trzysta kilkadziesiąt osób z miliarda trzystu milionów katolików obraduje nad synodalnością, a większość z nas nie rozumie, czym ona ma być.

Niezupełnie się zgadzam. Synod trwa od 2021 r., konsultacje odbyły



ANGELO CARCONI / EPA / PAP

Zgromadzenie ogólne synodu biskupów w Auli Pawła VI. Watykan, 18 października 2023 r.

się w parafiach i diecezjach, czasem w naprawdę małych grupach. W naszej diecezji pracowało 300 grup synodalnych, w które zaangażowało się blisko 7 tysięcy osób. Z tego powstawała synteza, która jakoś uczestniczyła w syntezie krajowej, a ta znów w kontynentalnej. To był narastający proces. Teraz na sesji synodu rozważaliśmy pytania, które powstały w efekcie całego procesu konsultacyjnego. Więc to nie jest tak, że zgromadzeni na sesji synodu rozmawiali sobie o czymś, o czym reszta świata nie ma pojęcia.

Po syntezach diecezjalnych i krajowych widać, że nie wszyscy rozumieli, co robią. Nie wszyscy wierzyli w ten proces.

Nie rozmawiamy o rzeczywistości idealnej. Gdy mówię, że w archidiecezji łódzkiej w tym synodzie brało udział 7 tysięcy osób, to dobrze wiem, że to brzmi imponująco, ale nie jest imponujące. Na milion trzysta tysięcy katolików (tylu liczy moja diecezja) uczestnicy synodu to kropla w morzu potrzeb. Są to jednak ludzie, którzy chcieli się spotkać. Niektórzy mówili, że po raz ostatni próbują rozmawiać w Kościele, a niektórzy mówili, że po raz pierwszy ktoś ich o coś spytał w Kościele. Tego nie wolno przegapić. To zebranie synodu w Rzymie nie wzięło się znikąd. Natomiast w pełni się zgadzam, że ludzie mają prawo nie wiedzieć, co to jest synodalność, i kompletnie nie rozumieć tego tematu. To nasza wina, bo rozma-

wiamy językiem, który jest niezrozumiały i hermetyczny.

To nie jest kwestia języka.

Język jest miarą uważności. Jeśli rozmawiam z człowiekiem i widzę, że nie rozumie, to powinienem szukać spotkania na poziomie języka.

Tak, ale jest też taka grupa ochrzczonych – sama się do niej zaliczam – dla której to kwestia zaufania. Nie wierzymy, że Kościół jest gotów na prawdziwe słuchanie i partycypację.

To są dwie rzeczy. Nie jest tak, że jeśli Kościół nie zrobi tego, o czym mówisz, to znaczy, że cię nie posłuchał. To jest duże uproszczenie. Wolę siedzieć przez miesiąc →

→ przy okrągłym stole z pięcioma grupami różnych ludzi i szukać wspólnie rozeznania co do pytań i być może będzie tak, że to rozeznanie nie będzie wcale po mojej myśli. To nie oznacza, że nie jestem wysłuchany. Przeciwnie, to znaczy, że słuchamy się nawzajem i próbujemy jeszcze usłyszeć nie tylko, co przez każdego przy stole mówi Duch Święty, lecz też co mówi razem w tej grupie.

Nie wierzę wciąż w to nawrócenie Kościoła na słuchanie.

Gdy brałem udział w synodzie o młodości, to na dwa miesiące przed synodem każdy z nas miał wysłać swoje wystąpienie nawiązujące do dokumentu roboczego. Dostawaliśmy odpowiedź: będzie ksiądz biskup przemawiał w trzecim tygodniu synodu. I wygłaszało się tę swoją napisaną wcześniej mowę. Teraz przed przyjazdem znane były tylko pytania. Praca w grupie polegała na tym, że każdy najpierw mówił przez 3-4 minuty, jakie w danej sprawie ma własne doświadczenie, które przynosi ze swojego Kościoła. I po tych 11 wypowiedziach następowała kilkuminutowa cisza, żeby każdy uświadomił sobie, co usłyszał od innych.

A potem?

Druga runda, tylko teraz o tym, co usłyszałem. Bez możliwości dodania tego, co ja jeszcze myślę, bo nie starczyło mi przedtem czasu. Powiedzenie, co usłyszałeś od innych, jest już trudniejsze, a potem jest kolejne 5 minut ciszy i refleksja nad tym, co z tego wynika, w czym się ze sobą różnimy i jakie z tego wynikają pytania, co w tym mówi Duch Święty? W oparciu o to pisaliśmy tekst, który potem sekretarz odczytywał w 3 minuty na zebraniu ogólnym. Na tym nie koniec, bo potem słuchasz raportów kilku innych grup (takich jak twoja) i głosów z sali. Następnie spotykacie się znów i zaczyna się od nowa ten sam proces z uwzględnieniem wszystkiego, co usłyszeliśmy z pozostałych grup i całej plenarii. Dopiero wtedy powstaje ostateczny tekst. Za każdym razem to jest przejście od „ja” do „my”.

Czyli w porównaniu z poprzednim synodem przeżyliście metodologiczną rewolucję?

Skończył się taki synod, na którym każdy wygłaszał swoją przygotowaną wcześniej kwestię, przekonany o tym, że

W synodalności chodzi np. o to, jak sprawić, żeby Konferencja Episkopatu nie była jedynym ciałem, które jest istotne w rozeznawaniu decyzji w Kościele.

jest ważne, co on powie na tym synodzie. Nikt, kto siedział na tej sali, nie powie, że to był zmarnowany czas i że nie słuchaliśmy siebie nawzajem. To było naprawdę intensywne, każdego dnia osiem godzin słuchania! Wszyscy, którzy byli w środku tego procesu, mają przekonanie, że synodalność jest możliwa.

To jest bardzo piękne, ale bardzo ekskluzywne doświadczenie, które ma teraz te trzysta kilkadziesiąt osób. Gdzie Ksiądz Kardynał widzi przestrzeń smakowania synodalności i takiego wysłuchania w polskim Kościele?

Jesteśmy zdeterminowani, żeby to przenieść w lokalne doświadczenie. Jednym z ważniejszych tematów dyskusji było, czy jeśli się nawrócimy na synodalny Kościół, to potrzebujemy nowych struktur i instytucji, czy ożywienia istniejących. W mojej archidiecezji trwa właśnie dwuletni „synod” parafialny. Różnie to oczywiście przebiega, gdzieś się zaczął, gdzieś indziej nie, a są też parafie, gdzie nikt jeszcze nie wie, jak zacząć. Powinna go prowadzić rada parafialna, wobec czego na ponad 200 parafii chyba w 90 powstały z tej okazji rady parafialne. Czyli obligatoryjność jednak działa, ale też uruchomiliśmy tym proces, w którym rada parafialna ma istotne zadanie i jest niezbędna.

A czy na poziomie episkopatu dałoby się wprowadzić synodalność, dzięki której biskupi również słuchają, a nie tylko mówią?

To jest ogromne zagadnienie dotyczące tego, jak ze sobą w praktyce poukładać synodalność, kolegalność i hierarchiczność. Biskup jest członkiem kolegium biskupów, a poza tym jest głową lokalnego Kościoła, którego ciało jest ożywiane przez Ducha Świętego, w każdym członku od

momentu chrztu. Jak stworzyć takie struktury, żeby mogli się wypowiedzieć wszyscy, którzy tworzą ten lokalny Kościół? Jak sprawić, żeby Konferencja Episkopatu nie była jedynym ciałem, które jest istotne w rozeznawaniu decyzji?

Czyli jest jeszcze wiele pytań.

Zapisałem sobie w czasie sesji synodu pytanie: jaka jest różnica między wędrowaniem razem, a przymusem do wędrowania razem? Możemy wszystkie te pytania stawiać i ten synod chyba temu tak naprawdę służył. Synteza oddaje zasadniczo wszystkie pytania i stan debaty. Pokazuje, że na jeden temat padały cztery różne wypowiedzi.

Jak w tej różnorodności realnie możemy podejmować jakieś decyzje i czy jest gotowość, żebyśmy podejmowali decyzje w różnych prędkościach?

Zgoda na te różne prędkości jest oczywista. Dlatego, że w różnych miejscach Kościoła niektóre tematy w ogóle jeszcze nie istnieją, za to istnieją inne. Są też takie miejsca Kościoła, gdzie rozwiązania oczywiste w Europie są nie do przyjęcia z powodu racji kulturowych. W innych roztropność każe nauczyć się cierpliwości we wprowadzaniu samego tematu, a co dopiero rozwiązań.

Czyli będzie diakonat kobiet w Amazonii, a u nas nie?

Diakonat kobiet to jest zupełnie inna kwestia i tu wystarczy poczytać syntezę. Przekłada się ona zasadniczo na dwa poważne pytania. Pierwsze jest takie, w jaki sposób była rozumiana posługa diakonów w starożytnym Kościele.

I już dwie komisje historyczne nie były w stanie tego ustalić.

To nieprawda. Jesteśmy w stanie ustalić to oraz w jaki sposób ta posługa funkcjonuje dalej, np. w niektórych wschodnich Kościołach. Muszę powiedzieć, że biskupi wschodni, i to zarówno katolicy, jak i prawosławni, nie odnajdują się tutaj w naszych interpretacjach.

Wiemy, jak było w historii. Było różnie, zależnie od czasu i miejsca.

Pytanie zawsze będzie takie, czy w którymkolwiek momencie posługa diakonatu dla kobiet miała charakter święceń.

Ale to tak naprawdę nie rozmowa o historii, tylko o Kościele dziś. Wróciliśmy na soborze do diakonatu mężczyzn, który nie istniał jako diakonat stały przez wiele lat, po to, żeby odpowiedzieć na duszpasterskie potrzeby Kościoła.

Nie wróciliśmy do diakonatu stałego dla mężczyzn dlatego, że takie były potrzeby. Mam w swojej archidiecezji 16 diakonów stałych, zaraz będę miał kolejnych dziesięciu i ta liczba będzie rosła. Nie dlatego potrzebuję diakonów stałych, że nie mam księży i że są takie potrzeby Kościoła. To jest niewłaściwe patrzenie na Kościół. Natomiast różnica między diakonem stałym a diakonisą jest taka, że diakon przyjmuje święcenia diakonatu.

Natomiast różnica między mną a moim kolegą, który może zostać stałym diakonem, jest czysto biologiczna.

Uzasadnienie jest takie, że jest siedem sakramentów, a nie dziewięć. Jest jeden sakrament święceń. Nie ma teologicznego argumentu za tym, by ktoś, kto przyjął święcenia diakonatu, nie mógł przyjąć święceń kapłańskich.

Zgadzam się. Nie ma też przekonującego teologicznego uzasadnienia, żeby ktoś nie mógł przyjąć święceń, bo jest kobietą.

Pewnie się tutaj nie zgadzamy, ale w piękny sposób. Staram się słuchać papieża i na ten moment jestem na etapie Jana Pawła II, który o święceniach kobiet powiedział, że...

Obecny papież z kolei powiedział, odpowiadając na *dubia*, że na temat święceń kobiet można rozmawiać.

To postęp od czasów Jana Pawła II.

Toteż rozmawiamy i tłumaczę, jaka jest w tej chwili argumentacja. Jest jeden sakrament święceń i jeśli na ten moment jesteśmy na tym stanowisku, że święcenia kapłańskie może przyjąć mężczyzna, to mocą tej jedności sakramentu święceń nie widać, w jaki sposób diakonat mogłaby przyjmować kobieta.

Czyli zmarnowaliście czas, rozmawiając na synodzie o diakonacie kobiet, i zmarnowały go kobiety, które mówiły o tym w konsultacjach synodalnych.



„Pierwszy i ostatni raz w takim stroju” – zarzekł się kard. Grzegorz Rys chwilę po konsystorzu, na którym otrzymał czerwony biret. Pałac Apostolski w Watykanie, 30 września 2023 r.

Nie sądzę. Według syntezy jest otwarta przestrzeń do rozmowy i rozeznawania. Mam troszkę więcej wiary w ten Kościół niż ty. Na plenarii profesor Renée Köhler-Ryan z Australii powiedziała: Jeśli wam się wydaje, że moja godność zależy od tego, czy będę mogła być diakonem, czy prezbiterem, to mnie obrażacie. I to był bardzo mocny głos. Chciała pokazać, że kluczem do uznania godności kobiety nie jest wymiennosc funkcji. Niesamowite było to, że to był właśnie głos kobiety.

Czy dzięki temu głosowi czujecie się rozgrzeszeni z systemowej mizoginii w Kościele? Na razie synteza synodalna nawet nie używa słowa równość, tylko mówi o chęci promowania dialogu kobiet i mężczyzn bez subordynacji, wykluczania i konkurencji.

Nie czujemy się rozgrzeszeni, tylko chcemy powiedzieć, że niekoniecznie równości w Kościele służy klerykalizacja kobiety. Klerykalizm jest największą możliwą karykaturą Kościoła. Słowo równość nie padło, bo nie trzeba mówić o rzeczach oczywistych.

Równość płci nie jest oczywista w Kościele.

Ważne jest pytanie o to, jaki obszar podejmowania decyzji i odpowiedzialności w Kościele nie jest związany ze święceniami. Jeśli ten obszar konkretnie opisujemy, to nie widać powodów, żeby kobieta nie mogła mieć tu pełnej odpowiedzialności. To robi papież Franciszek, mianując kobiety na podsekretarzy. To jest urząd, który zwykle był związany z godnością biskupią i kiedyś nominacja na niego zapowiadała sakrę biskupią.

To taki przełom, jakby kobieta została wiceministrem. To nie skala zmiany na te czasy.

Kościół ma swoje zasady, których nie da się przekroczyć. Trzeba wyznaczyć, które wynikają z objawienia. Nie można go uzdrawiać, kwestionując te zasady. Trzeba je dobrze opisywać i w ramach tego, jaka jest ta kościelna konstytucja, otwierać przestrzeń dla wszystkich. Natomiast równość nie polega na tym, że wszyscy mogą to samo.

Przynajmniej nie w Kościele.

Równość polega na komplementarności. Robię rzeczy, których ktoś inny nie robi, a nie robię rzeczy, które ktoś inny robi. Nie chodzi tylko o płeć. Jest komplementarność między świeckimi i duchownymi we wszystkich możliwych wymiarach. Powiedziałbym, że tak samo, jak w tym wypadku, o którym rozmawiamy, jest i jej nie ma. Komplementarność świeckich i duchownych jest bardzo trudna do przeprowadzenia i do życia nią.

Trudna do doświadczenia również.

Rozmawiamy o tym Kościele, jaki ma być, a my się na niego ciągle nie potrafimy otworzyć. Wracala mi w czasie synodu myśl, że Pan Jezus daje nam jakąś formę Kościoła, której my stawiamy opór. Tak, rozmawiamy o idealnym Kościele. Znaczący, próbujemy opisać to, jaki ten Kościół po Bożemu ma być. I na szczęście też chyba na tym synodzie było widać, jakimi postawami temu Kościołowi – który jest łaską Boga, obietnicą Boga, darem Boga – my stawiamy opór. Na ile my się na ten obraz Kościoła rzeczywiście nawrócimy. Bo jak się na niego nie nawrócimy, to nic z tego nie będzie.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

Oswojone lęki

EDWARD AUGUSTYN

Jedynym wygranym synodu jest, jak dotąd, sam papież. Któremu udało się zrealizować plan, przekonać do niego większość biskupów i odeprzeć ataki przeciwników.

NIKT NIE WIE, CO MOŻE Z TEGO WYNIKNAĆ. Ale dla nich nie liczy się ani przyszłość, ani przeszłość. Jest tylko teraźniejszość. I całkowite zamieszanie – narzekał Sandro Magister, watykanista tygodnika „L'Espresso”, znany z krytyki synodu i pontyfikatu Franciszka.

Rozmawialiśmy w pierwszym tygodniu obrad. Pomimo medialnego postu nałożonego przez papieża na uczestników synodu, Magister był nadzwyczaj dobrze poinformowany co do nastrojów panujących w Auli Pawła VI. Bo wbrew temu, co podawały oficjalne komunikaty, nie wszyscy uczestnicy byli zachwyceni sytuacją.

Diagnoza rzymskiego watykanisty trafia w sedno. Zwolennicy zmian (zwani czasem postępowcami) nie martwią się o przyszłość, optymistycznie zakładając, że Duch Święty, który – jak wierzą – stoi za ich działaniami, sam zajmie się ciągiem dalszym. Duchowy zamęt ma być jego znakiem rozpoznawczym.

Przeciwnicy – konserwatyści – są z kolei pesymistami (choć sami pewnie nazwaliby się realistami). Przewidują, że przydarzy się wszystko, co najgorsze, i zawczasu biją na alarm. Boją się zmian, tęsknią za tym, co było. Duch Święty na pewno nie jest dla nich patronem spontanicznych, beztroskich i chaotycznych zmian.

Jedni i drudzy zawsze byli w Kościele. Jedni i drudzy na poparcie swojej postawy znajdują wiele teologicznych argumentów. Ale tylko jedni mogą mieć po swej stronie papieża.



Papież Franciszek z uczestniczkami synodu w Auli Pawła VI. Watykan, 28 października 2023 r.

Synod z duchami

„Wszystko było pod kontrolą, zaplanowane i zorganizowane, tak by utrudnić biskupom zabranie głosu na posiedzeniu plenarnym” – mówił w wywiadzie dla konserwatywnego, amerykańskiego portalu National Catholic Register kard. Gerhard Müller, łamiąc – nie po raz pierwszy w czasie synodu – nakaz milczenia. Były prefekt Kongregacji Nauki Wiary miał na myśli przede wszystkim ograniczony do 3 minut czas wystąpień, jednakowy dla biskupów, jak dla świeckich. Ale nie tylko.

Niemiecki hierarcha od dawna krytykował poszerzoną formułę synodu, twierdząc, że decyzje takiego zgromadzenia nie mogą mieć żadnej mocy prawnej. W pierwszych dniach obrad był jeszcze umiarkowanym optymistą, co do metody pracy w grupach roboczych. Potem nie chciał już mieć z synodem nic wspólnego: opuścił obrady pięć dni przed końcem (wyjechał do Polski, gdzie promował swoją najnowszą książkę i udzielił święceń kapłańskich) i nie wziął udziału w głosowaniu.

W wywiadzie wytoczył najcięższe działa, twierdząc, że synod nie ma charakteru katolickiego (jeśli już, to anglikański), wprowadza zamęt w nauce Kościoła, nie mówi o Jezusie Chrystusie (a jeśli już, to tak, „jakby był tylko nauczycielem moralności, jak Gandhi”), kwestionuje Tradycję, skupia się na świadectwach i emocjach, a nie teologii (jeżeli już to robi, to na niskim poziomie, a przecież „synod to nie szkoła dla początkujących”).

Na uwagę dziennikarza, że jednak często odwoływano się do Ducha Świętego, odpowiedział: „Nie mówią o Duchu Świętym, tylko o »Duchu«. A św. Jan mówi na początku swojego Pierwszego Listu: »Umiłowani, nie wiercie każdemu duchowi, ale przetestujcie duchy, aby zobaczyć, czy pochodzą od Boga«. I konkludował: »Ostatecznie i tak wszystkie tzw. refleksje synodalne mają na celu przygotowanie nas do zaakceptowania homoseksualizmu».

Pod opieką papieża

Kard. Müller się mylił. Nie wszystko, co działo się w Auli Pawła VI, było zaplanowane. Ale z pewnością wszystko było pod kontrolą. Papież Franciszek czuwał nad przebiegiem obrad – często osobiście, biorąc udział w większości posiedzeń. Synod o synodalności jest spełnieniem jego marzeń o Kościele otwartym, słuchającym i różnorodnym. Zwieńczeniem jego pontyfikatu.

„Obradujemy *sub tutela Petri* (pod opieką Piotra)” – mówił na jednej z konferencji prasowych abp Daniel Flores z Teksasu, odrzucając zarzuty o manipulację dyskusją, ale przyznając, że papież jest o wszystkim informowany i do niego należy ostatnie słowo. Tak jak w ostatni czwartek synodu, gdy Franciszek zabrał głos na sesji plenarnej – w sposób niezapowiedziany, korzystając z prawa przysługującego każdemu uczestnikowi. W krótkim, emocjonalnym wystąpieniu mówił o Kościele swoich marzeń – two-

rzonym przez prosty i pokorny lud Boży, święty i grzeszny, który chrzci dzieci, grzebie zmarłych i jest nieomylny w wierze, przekazywanej z pokolenia na pokolenie prostym językiem przez kobiety – matki i babcie. Zasugerował biskupom, że jeśli nie będą ludu Bożego słuchać, tenże lud w końcu wygarbuje im skórę.

Rozpoczęły się prace nad ostateczną wersją końcowego dokumentu, do którego zgłoszono 1377 poprawek. Wystąpienie Franciszka miało przywrócić pracom właściwą perspektywę.

Bez różnicy

„Synteza końcowa”, przyjęta w tajnym głosowaniu, jest owocem kompromisu. Była więc w stanie przekonać do siebie synodalną większość, ale nie mogła zadowolić wszystkich. Kto zna język kościelnych dokumentów, przyzna, że autorom udało się nadać wyjątkowo konkretny kształt znanym i od dawna powtarzanym sloganom o Kościele synodalnym, misyjnym, wychodzącym na peryferia, otwartym na świeckich i doceniającym „geniusz kobiety”. Szybko też się zorientuje, że nawet wielu delegatów na synod – w tym biskupów – nie do końca rozumie te pojęcia, czego dowodzą co rusz powtarzające się postulaty o ich wyjaśnienie i teologiczne pogłębienie.

Dokument, podzielony na trzy części (o synodalności, o rolach w Kościele synodalnym i o jego strukturach), ma 20 rozdziałów, których treść zorganizowana została według trzech kryteriów: tematy niebudzące zastrzeżeń („Zbieżności”), problemy, co do których panowała największa różnica zdań („Kwestie do podjęcia”), i „Propozycje”, które należy stopniowo realizować.

– Dokument końcowy pierwszej fazy jest bardzo enigmatyczny i zawiera zapis różnic zdań pomiędzy uczestnikami synodu – mówił mi abp Stanisław Gądecki. Tak zresztą przewidywało wielu jego uczestników, którzy twierdzili, że synteza końcowa o niczym nie będzie rozstrzygać, a jedynie zrelacjonuje przebieg obrad i pokaże „protokół rozbieżności”. Tylko w części okazało się to prawdą, bo zapisu o różnicach zdań pomiędzy uczestnikami synodu – przynajmniej sformułowanego wprost – jednak nie znajdziemy.

„Doszliśmy do wniosku, że niektóre tematy nie tyle nas różnią, co po prostu wymagają głębszego zastanowienia”

– tłumaczył na ostatniej konferencji prasowej kard. Mario Grech, sekretarz synodu.

Ten prosty zabieg sprawił, że nawet najbardziej kontrowersyjne tematy, traktowane jako obce kościelnej narracji czy nauczaniu (i z tego powodu panicznie unikane), weszły do agendy synodalnego Kościoła jako „kwestie do podjęcia”. Choć nie wszystkie.

Ludzie czy ideologia

Trudno nie zauważyć, że w końcowym dokumencie nie pojawia się ani razu akronim LGBTQ+, obecny w *Instrumentum laboris*, w codziennych dyskusjach synodalnych i w wersji roboczej syntezy, przedstawionej uczestnikom na dwa dni przed głosowaniem. Zwolennicy wprowadzenia tego skrótu do oficjalnego dokumentu Kościoła znów przegrali – podobnie jak na poprzednich synodach. Z informacji docierających do dziennikarzy wynika, że określenie „osoby LGBTQ+” usunięto z syntezy na wniosek biskupów z Afryki i Europy Środkowej, którzy uznali je za „ideologiczne”. Nie przeszła też wersja złagodzona, mówiąca o „osobach identyfikujących się jako LGBTQ+”. W głosowanym dokumencie mówi się więc o „osobach, które czują się marginalizowane lub wykluczone z Kościoła ze względu na swoją sytuację małżeńską, tożsamość i seksualność”.

Ale jednocześnie w akapicie o „kwestiach związanych z tożsamością płciową i orientacją seksualną” pojawia się zdanie, że „wypracowane przez nas kategorie antropologiczne nie są wystarczające do ogarnięcia złożoności elementów wynikających z doświadczenia lub wiedzy naukowej i wymagają dopracowania oraz dalszych badań”. Za cenę jednego skrótu wprowadzono etykę katolicką na nową i nieznana jej drogę.

Jest w syntezie wiele innych zaskakujących pomysłów – np. „edukacja seksualna i emocjonalna” dla kleryków i księży (w kontekście celibatu, co do którego zdania były podzielone), reforma seminariów duchownych (wydłużenie nauki o dodatkowy rok, poświęcony „służbie najuboższemu”), zmiany w już istniejących „posługach” świeckich (przyznanie lektorom prawa głoszenia kazań) i kreatywność w tworzeniu nowych (np. „misionarzy digitalnych” czy „religijnych influencerów”), wprowadzenie walidacji pracy księży czy wreszcie dopuszczenie

świeckich do procesu wyłaniania kandydatów na biskupów.

W rozdziale 9, poświęconym roli kobiet w Kościele, synod postuluje teologiczną debatę na temat ich diakonatu (rezultaty mają być przedstawione na przyszłorocznej sesji) oraz „pilne zagwarantowanie kobietom udziału w procesach decyzyjnych i podejmowaniu odpowiedzialnych ról w pracy duszpasterskiej i posłudze”, co będzie się wiązać z wprowadzeniem zmian w prawie kanonicznym. Zwrócono też uwagę, że wiele tekstów liturgicznych i dokumentów Kościoła posługuje się językiem dyskryminującym ze względu na płeć, i zaapelowano o zmianę niewłaściwych sformułowań.

Kto wygrał

Mogłoby się wydawać, że właśnie kobiety są pierwszymi zwyciężczyniami synodu. Były najbardziej widoczne w czasie obrad – dosłownie i w przenośni: ich obecność w gronie „synodalnych ojców” rzuciła się w oczy, z kolei „kwestia kobieca” pojawiała się niemal w każdej dyskusji roboczej i plenarnej, czego efektem jest wiele synodalnych propozycji. Biskupi przekonali się, że panie mogą być dla nich partnerkami w teologicznej dyskusji i kompetentnie prowadzić duszpasterstwo. I że nie trzeba się ich bać, co dla niektórych było odkryciem. W sklerykalizowanym Kościele to zmiany rewolucyjne, choć o co najmniej kilkadziesiąt lat spóźnione. No i liczono na więcej.

Może więc zwyciężcą jest sama synodalność? Wszyscy uczestnicy obrad zgodnie podkreślali, że to jedyna droga dla Kościoła, a synodalna metoda rozwiązywania problemów (zawierająca się w trzech słowach: spotkać, wysłuchać, rozemnać) mogłaby z powodzeniem znaleźć zastosowanie w życiu społecznym i politycznym.

Z entuzjazmem opowiadali też o siostrzano-braterskiej wspólnotcie, jaka panowała na sali obrad, i o radosnym poddawaniu się natchnieniom Ducha Świętego. Chwalili też konkretne, techniczne sposoby wprowadzania synodalności w życie: pracę w małych, 10-, 12-osobowych „grupach roboczych”, przy okrągłych stołach, gdzie każdy jest równy, a jednocześnie różny (skład poszczególnych grup musiał odzwierciedlać cały przekrój społeczno-płciowy zgromadzenia), każdy ma jednakową szansę na wypowiedź, z którą nikt

→ bezpośrednio nie polemizuje, ale „rozeznaje ją” w chwili modlitwy i ciszy.

Trudno jednak nie spytać, w jaki sposób synodalne przeżycia 364 uczestników – bez wątpienia ważne, poruszające i przemieniające – przekładają się na życie 1,3 mld katolików w świecie? Jak doświadczenie czterech biskupów z Polski, obecnych na synodzie, ma się przełożyć na pracę pozostałych 40 ordynariuszy diecezji i ponad 50 biskupów pomocniczych? Zwłaszcza że ogromna większość katolików jedynie biernie (o ile w ogóle) interesowała się synodem (w skali świata był to 1 proc. wiernych, w Polsce: 0,3 proc.). W dużej mierze to zresztą „zasługa” księży i biskupów, którzy nie zachęcali wiernych do konsultacji i nie informowali ich o synodzie. Pomysłu papieża nie rozumieli i bali się zmian, albo przynajmniej zamieszania, jakie – w ich przekonaniu – mógł spowodować w doktrynie Kościoła.

Dopóki nie zapadną konkretne decyzje, wprowadzające synodalność w kościelne struktury na wszystkich poziomach, trudno mówić o jej zwycięstwie. Z pewnością kluczowa – i dużo trudniejsza – będzie przyszłoroczna sesja synodu, gdzie trzeba będzie wyciągnąć wnioski i przygotować dokument rozstrzygający w kwestiach, które teraz zostały tylko „rozpoznane”, a w ciągu roku mają być „rozeznane”.

Papież górą

Jedynym pewnym wygranym synodu jest więc, jak dotąd, sam papież, któremu udało się zrealizować swój plan, przekonać do niego większość biskupów (w tym wielu sceptyków) i odeprzeć ataki przeciwników. Zakończony etap pozwala na optymizm – doktryna pozostała nienaruszona, rozmowa

o najważniejszych problemach i spojrzenie na nie z wielu perspektyw okazały się, po pierwsze, możliwe, po drugie – kształtujące, a w dodatku twórcze. Lęki zostały oswojone (co wynika choćby z wywiadu z bp. Andrew Nkeą z Kamerunu, udzielonego w dniu zakończenia synodu francuskojęzycznej edycji Vatican News), a nadzieje podtrzymane (o czym z kolei mówił, tego samego dnia, bp Georg Bätzing, przewodniczący niemieckiego episkopatu i reprezentant Drogi Synodalnej, w wywiadzie dla portalu katholisch.de).

Trudno powiedzieć, czy rozszerzenie synodu podniosło wagę głosu świeckich, czy obniżyło biskupich, ale na pewno wzmocniło głos papieża, pod opieką którego proces się toczy i bez zgody którego żadne rozstrzygnięcia nie zapadną. Mielśmy tego dowód kilkakrotnie w ostatnim miesiącu, gdy Franciszek rozwiązał wątpliwości (*dubia*) niektórych kardynałów, nie czekając z tym na synod. Pod koniec października ukazał się wywiad-rzeka, w którym przedstawił on swoją zdecydowaną opinię na temat opcjonalności celibatu i kapłaństwa kobiet (wykluczając obie możliwości), a tuż po zakończeniu synodu opublikował nowe „wytyczne dla teologii”, rozpoczynając w niej kulturową rewolucję.

Zgłoszonych na synodzie postulatów jest tak dużo, że ich realizację można by rozłożyć na wiele lat (zostawiając, jak na razie, wszystko po staremu, na co pewnie niektórzy liczą). Tyle że mający pełnię władzy papież – nieprzewidywalny, zdeterminowany i coraz bardziej śpieszący się do realizacji swojego marzenia o Kościele synodalnym – dostał właśnie od ludu Bożego wsparcie, którego nie zawaha się użyć. ©© EDWARD AUGUSTYN

Przybysze

KAROL WILCZYŃSKI

Podczas spotkań w szkołach pastor pokazuje zdjęcia osób, które pochował. Mówi o ich marzeniach. Chciałby, abyśmy wszyscy to usłyszeli.

W NEKEMTIE, OKOŁO STUTYSIĘCZNYM mieście w zachodniej Etiopii, na pogrzeby tradycyjnie przynosi się dużo jedzenia. Wszystko po to, by rodzina zmarłego nie musiała zawracać sobie głowy gotowaniem podczas żałoby. Tym razem jedzenie dotarło na stypę aż do podlaskiej Białowieży, która – na wzór etiopski – odbyła się kilka dni przed pogrzebem Abdiego Biratu Fite, 24-letniego aktywisty i absolwenta informatyki z Nekemtie. – Wolałem przygotować się do tego pogrzebu – mówi pastor Krzysztof Flaszka z białostockiego zboru zielonoświątkowego Dobra Nowina, który prowadził pogrzeb. Kolejny, jeśli chodzi o ofiary kryzysu humanitarnego na granicy polsko-białoruskiej.

Abdi

Do pastora zwrócił się o pomoc Piotr Czaban, działający na rzecz ludzi w potrzebie i nagłaśniający ich historie. Czaban zajmował się przypadkiem Abdiego, z którym rodzina i aktywiści stracili kontakt w grudniu. Z Białorusi mężczyzna przedostał się w grupie pięciu Etiopczyków. Polskie służby ich wyrzuciły. Pierwszy z grupy zmarł po białoruskiej stronie. Drugiemu udało się wrócić – w bardzo złym stanie – do ojczyzny.

Abdi nie miał już pieniędzy na łapówkę dla białoruskich służb, więc został zmuszony do przejścia przez polską granicę. W połowie lutego znaleziono jego szczątki, a obok złożone ubrania. – Podczas ostatnich faz hipotermii człowiek czuje takie gorąco, że zaczyna się rozbić – tłumaczy pastor – Abdi zmarł z zimna. Po jego pogrzebie zrozumiałem, jak ważna była to dla mnie uroczystość i że chciałbym uczestniczyć w kolejnych. Niestety następna okazja pojawiła się bardzo szybko.

Księdzu Kazimierzowi,

który niejednokrotnie pomagał naszym bliskim przejść na tamtą stronę, wyrazy najgłębszego współczucia z powodu nagłej śmierci

Mamy

składa

BOŻENA WALTER



AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pogrzeb Cyryla z Kamerunu z udziałem jego matki (na zdjęciu wspierana przez pastora Krzysztofa Flaszę). Krynki, 6 września 2023 r.

Cyryl

Cyryl miał 32 lata, gdy zaplątał się w druty kolczaste w granicznej rzece Świsłocz. Białorusini lubią wpuszczać ludzi właśnie tamtędy, na co wskazuje relatywnie duża liczba przejść granicy – rzeka i mocno bagnisty teren uniemożliwiają kontrolę sytuacji ze strony polskiej. Cyryl pochodził z ogarniętego wojną domową Kamerunu. Próbował dostać się do Francji, gdzie od lat mieszka jego matka.

– Przez 20 lat nie udało się jej legalnie go sprowadzić. Nie ma wyboru, bo w Białorusi, gdzie otrzymał studencką wizę, nie było dla niego życia. Cyryl był kilkakrotnie wyrzucany z Polski przez nasze służby. Jego matka prosiła go wielokrotnie, by tylko nie przechodził przez rzekę, bo nie umie pływać. Niestety spróbował. Pogrzebaliśmy go w Krynkach – mówi pastor Flaszka.

Livine

Pierwszą osobą, od której zaczęły się pogrzeby pastora, była Livine, 44-letnia doktor ekonomii, bizneswoman z Kamerunu. – Jakiś czas temu zacząłem się modlić. Bolało mnie to, że zafiksowaliśmy się na pomocy Ukraińcom, a przecież kry-

zys na granicy polsko-białoruskiej się nie skończył. Wtedy zadzwonił Mirek Miniśzewski, z pytaniem, czy nie mógłbym pochować Livine – mówi pastor Flaszka. – Nie zapomnę tego pogrzebu. Do polski rodzinę zmarłej sprowadziła ambasada Kamerunu. Aktywiści przywieźli ich na pogrzeb. Pamiętam też, jak w czasie pierwszego spotkania na nabożeństwie niedzielnym matka i ojciec Livine śpiewali, że Bóg będzie błogosławił kolejne pokolenia. Ale przecież kolejnego pokolenia już nie ma.

To był moment, w którym pastor Flaszka zwrócił uwagę na potrzebę towarzyszenia rodzinom zmarłych. – Jako duchowny spotkałem się już z tatą Livine, który też jest pastorem, by zapytać o kameruńskie zwyczaje: tak, żeby podczas uroczystości wziąć pod uwagę ich wrażliwość, ale też poznać ich córkę. Dzięki temu nawet aktywiści, myślę, że nastawieni raczej negatywnie do religii, zobaczyli, że jako chrześcijanie nie mamy względu na kolor skóry, gdy wspólnie z rodziną Livine płakaliśmy, przytulaliśmy ich.

Pogrzeby osób szukających schronienia w Polsce na granicy z Białorusią prowadzą do niecodziennych spotkań.

Oprócz pastora i zielonoświątkowców, grupy aktywistów („wiesz, raczej niewieźących”, jak podkreślał pastor), rodziny i bliskich osoby zmarłej, na uroczystości zjawiał się proboszcz z Krynek i grupa katolików. – Wszyscy płakaliśmy tak samo. Myślę, że wszyscy zobaczyliśmy twarz Livine. Nie patrzyliśmy na nią jak na anonimowy numer w statystyce, ale jak na osobę. Teraz rozumiem, że widząc twarz tych osób, tak jak to pokazała choćby Agnieszka Holland w „Zielonej granicy”, możemy zobaczyć więcej. Dziś o tym opowiadam podczas spotkań z uczniami w szkołach. Pokazuję zdjęcia osób, które pochowałem, mówię o marzeniach tych ludzi. Chciałbym, abyśmy wszyscy to zobaczyli – mówi pastor Flaszka.

Pogrzeb Livine, który odbył się 9 maja 2023 r., wzbudził zainteresowanie mediów. – Modliłem się do Ducha Świętego wiedząc, że słuchać tych słów będą osoby, które nie chcą mieć nic wspólnego z Bogiem. Wiedząc, że nie wszyscy chcą słuchać o przybyszach – wspomina pastor Flaszka. – Ale biblijny obraz przybyszów jest bardzo bogaty i poruszający. Doświadczenie wyjścia Izraela z Egiptu uczy nas, by troszczyć się o tych, którzy

→ pielgrzymują, którzy są w drodze. Mówi nam o tym, że nie możemy się zasiedzieć. Ale mówi też, że czasami bycie w drodze kończy się śmiercią. To zresztą poczułem, gdy jadąc dwoma samochodami z pogrzebu – ja, biały, i z mną rodzina Livine, czarnoskóra, zostaliśmy zatrzymani. Funkcjonariusze mnie puścili, zatrzymali jej rodzinę. Na poważnie obawiałem się, że zostaną wywiezieni do Białorusi.

Miłosierdzie

Każdy z pogrzebów to spotkania z rodzinami. – Żeby zidentyfikować zwłoki Abdiego, z Etiopii przyjechał jego brat, Deriba, od którego pobrano próbki DNA. Gdy czekaliśmy na wyniki badań – trwało to kilka tygodni – opiekowaliśmy się Deribą, który w tym czasie stał się właściwie częścią naszej społeczności – mówi pastor Flaszka. – Przed pogrzebem, który odbył się ostatecznie dopiero w maju, dołączyli do nas mieszkający w Polsce Etiopczycy. Podczas kazania mówiłem o tym, że empatia rozumiana jako współczucie nie wystarczy: że nam chodzi o miłosierdzie. Nie wystarczy okazywać uczuć, trzeba działać. Powiedziałem też do niewierzących aktywistów, że to oni są jak chrześcijanie, ponieważ okazują miłosierdzie.

Pogrzeb zielonoświątkowy jest, jak tłumaczy pastor, o wiele radośniejszy niż w innych chrześcijańskich Kościołach. – Nie ma u nas smutku, jest nadzieja. Deriba powiedział po pogrzebie, że czuł się jak na ślubie swojego brata – mówi pastor. – Chciałbym dawać zgromadzonym potężny ładunek nadziei, bardzo jej potrzebujemy.

Nie jest jednak łatwo o nadzieję, gdy stoi się na cmentarzu w Krynkach. Świeże groby uchodźców oraz graniczny, widoczny z miasteczka mur przywołują raczej ciemne myśli. – Ja nie wierzę w te historie o obronie granicy. Widząc zmasakrowane ciało Abdiego zrozumiałem, że ta obrona nie musi tak wyglądać. Że Abdi nie musiałby umierać – kwituje pastor Flaszka. – Jak mówiła Agnieszka Holland podczas premiery „Zielonej granicy”, można bronić polskiej granicy, ale w granicach prawa. Na marginesie: nie dziwię się, że rząd bał się tej niesamowitej, inteligentnej osoby. Ona w swoim filmie daje bardzo dużo nadziei.

Pastor nie bardzo rozumie, o co mi chodzi, gdy pytam, czy musi się ukrywać bądź jaki jest stosunek jego znajomych do jego

Dzisiaj na Podlasiu mamy dwie strony: „zdrajców” i „obrońców granicy”.

Pastor Flaszka chce być ponad tym podziałem.

działalności. – A po co mam się ukrywać? Przecież pomaganie jest legalne – tłumaczy. Co do działalności Kościoła też nie ma wątpliwości, że to wręcz jego obowiązek. – Jako wspólnota zielonoświątkowa odpowiadaliśmy od początku kryzysu dwutorowo na potrzeby osób potrzebujących. Z jednej strony odpowiadaliśmy na prośby Straży Granicznej lub samorządowców z przygranicznych miejscowości. Jeździliśmy z pomocą nawet na teren stanu wyjątkowego, raz dostaliśmy prośbę z domu dziecka w Białowieży, gdzie trafiły samotne dzieci z Syrii – wspomina.

– Z drugiej strony pomagaliśmy też aktywistom z Grupy Granica. Z naszej perspektywy były to interesujące spotkania. Modlimy się za nich, wspieramy, jak możemy. Wiesz, w tym pomaganiu nie chodzi tylko o pomaganie. Dla nas bardzo ważne jest doświadczenie Boga w codzienności – mówi pastor.

Jak podkreśla, nie jest tu ważny prozelityzm, ale wsparcie. – Jedna z aktywistek była zdziwiona. Powiedziała, że pierwszy raz usłyszała, że ktoś się za nią modli nie po to, żeby się zmieniła, ale żeby wytrzymała to, co dzieje się wokół niej, na granicy.

Strony

Według pastora nie może być tak, by jego Kościół czy jakakolwiek inna grupa „wywyższali się”. – Nie chcieliśmy zaistnieć religijnie, ale pokazać, o co chodzi w chrześcijaństwie. Dla wielu aktywistów był to skok jakościowy, niektórzy mówili, że właściwie do tej pory nigdy nie spotkali chrześcijan. Cieszę się, że możemy zmienić obraz naszej religii. A teraz trzeba też zmienić obraz uchodźcy – mówi pastor.

Jednym z elementów pomocy było również wsparcie dla stacjonujących żołnierzy i funkcjonariuszy Straży Granicznej. W Dubiczach Cerkiewnych, niewiel-

kiej miejscowości przygranicznej, gdzie znajduje się wspólnota zielonoświątkowców oraz placówka Straży Granicznej, jesienią 2021 r. stacjonowało kilkuset żołnierzy. – Jeżdżąc tam do kościoła widziałem, że Dubicze stały się wręcz frontową miejscowością, wszędzie były ciężarówki i namioty wojskowe – opowiada pastor. – Każdy ze stacjonujących żołnierzy dostał od nas Biblię oraz ogrzewacze do rąk. Pomagam aktywistom, pomagam też władzy, gdy ona o tę pomoc prosi. Nie chcę być postrzegany jako wróg lub przyjaciel któregoś ze stron. Dzisiaj na Podlasiu mamy dwie strony: „zdrajców” i „obrońców granicy”. Chcę być ponad tym podziałem. Chcę go zasypywać – dodaje.

Nasze winy

Dopiero po pogrzebie Cyryla pastor zobaczył, że w nabożeństwie uczestniczyli również strażnicy graniczni. – Kazanie było o nadziei. Wspominałem wówczas swojego wujka, który był chory na białaczkę. Pytałem go wtedy, w czym pokłada nadzieję. Wujek powiedział, że może uda się wynaleźć lek i zostanie wyleczony. Wierzę, że ta nadzieja, choć była płonna, trzymała go przy życiu – wspomina pastor. – Mówiłem, że mamy nadzieję, iż zmieni się decyzja władz w związku z tym, co dzieje się na granicy. Mówiłem o murze chińskim, który kosztował tyle, że doprowadził do bankructwa całe cesarstwo. Mówiłem o podzielonym Berlinie, gdzie ludzie, którzy pielgrzymowali do lepszej rzeczywistości, szli pomimo wszelkich przeszkód. I o tym, że ostateczna nadzieja osadza się w Jezusie.

Najbardziej poruszającym momentem pogrzebu Cyryla była dla pastora modlitwa „Ojciec nasz”. – Opuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy. Czy my właściwie rozumiemy te słowa w tym kontekście?

Gdy pytam pastora, dlaczego robi na granicy to, co robi, nie ma wątpliwości. – Chciałem, by to zło na świecie można było naprawić. Gdy dziennikarze pytali, jaki mam stosunek do kryzysu na granicy, odpowiadałem: a jaki mam mieć stosunek, gdy tu umierają ludzie? To dla mnie oczywiste.

– Jednego żałuję – dodaje – że nie zapytałem Agnieszki Holland, dlaczego w swoim filmie pominęła kwestię wiary. Przecież Podlasie to religijny tygiel.

© KAROL WILCZYŃSKI

ZUZANNA

Radzik:

Zatruta tradycja



SPOJRZAŁAM NA MOJĄ NOWO NARODZONĄ córeczkę i pomyślałam: może tak wygląda przyszły papież – opowiada Angielka, której córka ma dziś 37 lat i nie chodzi do kościoła, bo nie ma w nim miejsca dla kobiet.

Scena nad kołyską miała miejsce w latach 80., już po tym, jak ordynację kobiet wprowadzili anglikanie, i zdawało się, że zarówno świat, jak i kościoły zmieniają się, by stawać się życzliwszą przestrzenią dla kobiet. Rozmawiamy na spotkaniu Andante – organizacji zrzeszającej różne kobiece stowarzyszenia katolickie z całej Europy. Właśnie wymienialiśmy uwagi o synodzie, radość z tego, że kobiece tematy są tak obecne w dyskusjach. I obawy, że przecież zawsze da się je unieszkodliwić. Tyle razy się udało.

Synod jest objęty embargiem informacyjnym, więc nie zbyt wiele wiemy o tym, co dzieje się w czasie obrad. Jednak w ostatnim tygodniu posiedzeń podczas konferencji prasowej można było posłuchać świadectwa dwóch kardynałów oraz afrykańskiej teolożki Nory K. Nonterah. Ta ostatnia mówiła, że czuje się na synodzie wysłuchana jako osoba świecka, kobieta i Afrykanka. I dodała: „Przekonałam się w tych dniach, że synodalny Kościół musi chcieć usiąść u stóp kobiet, zwłaszcza świeckich kobiet z globalnego Południa, i nauczyć się, jak odnowić kościelną wyobraźnię skierowaną do Ducha Świętego, który daje wszystkim obfitość życia”.

Przytomny dziennikarz amerykańskiego katolickiego tygodnika dopytał obecnych na konferencji kardynałów – z których jeden to szef kongregacji ds. biskupów Robert Francis Prevost – jak na to odpowiedzą. To znaczy, czy mają konkretne pomysły. Jakby chciał dzięki temu wyczuć tętno synodu, zobaczyć, na ile uczestnicy się słyszą. A może dokładnie: jakby chciał sprawdzić, na ile głosy kobiecej mniejszości na tej wciąż klerykalnej i męskiej imprezie są słyszane i kształtują wnioski innych uczestników.

Czytam to gdzieś w drodze na kobiecą konferencję i czuję się, jakby ktoś znów podstawił mi nogę. Prevost referuje w odpowiedzi trudności, obawę, że święcenia kobiet skleralizują kobiety, ale nie rozwiążą problemu. Mówi, że może trzeba myśleć szerzej o nowych posługach. I w końcu stwierdza: „To nie jest takie proste, że na tym etapie zmienimy w którymś z tych punktów tradycję Kościoła, która ma 2 tysiące lat”. Czyli możemy zatrudnić kobiety tu czy tam, pozwolić uzupełnić braki kadrowe, ale nie będziemy przecież robić rewolucji. Zatruta mizoginią tradycja jest ważniejsza niż żywe członkinie i członkowie Kościoła. W imię czego mielibyśmy się zmienić? Mielibyśmy przewrócić swój świat do góry nogami tylko w imię tego, żeby chrześcijańska wspólnota Kościoła katolickiego nie była przestrzenią doświadczenia strukturalnej dyskryminacji?

Rzecz w tym, że niezmiennianie niczego to nie jest nienaruszalny fundament katolicyzmu i chrześcijaństwa. Zmieniło się sporo w historii, a sztandarowym przykładem jest zmiana stosunku katolicyzmu do judaizmu. Słynny obrót o 180 stopni, swobodnie nazwany przed kard. Waltera Kaspera, kiedyś odpowiedzialnego za relacje z judaizmem, przewrotem i rewolucją. Stać nas zatem na rewolucję nauczania, jeśli jesteśmy wystarczająco przejęci skutkami tegoż nauczania. W przypadku Żydów potrzeba było ludobójstwa milionów w środku chrześcijańskiej Europy, byśmy zaczęli wypracowywać zupełnie nowy język teologii, mówiący o trwałym przymierzu wiernego Boga z ludem Izraela, korzeniach chrześcijaństwa w judaizmie i szczególnej relacji tych dwóch religii. Udało się soborowi porzucić zrodzoną wraz z powstaniem chrześcijaństwa tradycję kwestionującą wartość judaizmu, która miała prawie dwa tysiące lat. W końcu pierwsze teksty tradycji zwanej *adversus Iudaeos* pochodzą z połowy II wieku, a ślady polemik widać już w o kilkadziesiąt lat młodszych Ewangeliach. Zatem była to teologia dobrze osadzona.

Czyli to kwestia motywacji. Oraz przerażenia tym, że nasze wielowiekowe dziedzictwo okazuje się mieć mordercze skutki. Wtedy z tradycją można się skonfrontować. Czy jako katolicy jesteśmy wystarczająco przerażeni wyniszczającymi skutkami hołdowania przez Kościół patriarchatowi? Czy rozmawiając w tym naszym luksusowym szpitalu polowym o zmianach, synodalności, rolach, potrzebach, mamy przed oczami rany, jakie nosimy wszyscy – kobiety i mężczyźni – przez to, że Kościół tkwi w patriarchacie i pcha nas w spolaryzowane role, jakby hierarchia płci była wyznaniem wiary?

Nie mamy dwóch tysięcy lat, żeby czekać. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Marcin Żyła laureatem Nagrody im. Sérgio Vieira de Mello

Z radością informujemy, że **NASZ DZIENNIKARZ I REDAKTOR MARCIN ŻYŁA** został laureatem Nagrody im. Sérgio Vieira de Mello, przyznawanej za szczególne zasługi dla pokojowego współistnienia i współdziałania społeczeństw, religii i kultur. Wśród nominowanych znalazły się osoby i organizacje z różnych stron świata.

Gratulujemy!

KTÓRE DZIECKO NAKARMIC

W czasie pierwszych trzech tygodni konfliktu w Gazie zginęło więcej dzieci niż we wszystkich konfliktach na świecie w ostatnim roku razem wziętych.

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

NAZYWA SIĘ PLESTIA ALAQAD. MA 22 lata i jest palestyńską dziennikarką z Gazy. Jej internetowy pamiętnik z wojny obserwuje 2 mln użytkowników Instagrama. „Jestem zmęczona, ale nie mogę spać. Nie wierzę, że to dwudziesty piąty dzień. Minęło już dwadzieścia pięć dni bez prądu, czystej wody, z resztkami jedzenia i paliwa. (...) Tęsknię za wstawaniem rano, za chodzeniem do pracy. Tęsknię za tym, że mówiłam: nie mam się w co ubrać” – pisze Alaqad.

Prawie każdy poranek w Gazie wygląda tak samo. Najpierw trzeba znaleźć miejsce, które wedle dzisiejszej mapy przewidywanych nalotów jest najmniej narażone na bombardowanie, i zabrać tam rodzinę. Nie ma jednak pewności, że się nie pomylisz. Kolejna misja dnia polega na zdobyciu chleba, co może zająć kilka godzin stania w kolejce. Jeśli uda się znaleźć otwartą piekarnię.

Następnie idziesz na poszukiwanie paliwa do pompy wodnej, aby było co pić. Woda jest już zanieczyszczona albo

słona, bo dawno nie zmieniano filtrów. Ale najważniejsze, że jest – nie można się odwozić. Potem, jeśli będzie dostęp do sieci, sprawdzisz, co się dzieje z resztą rodziny, przyjaciółmi, sąsiadami. Jeśli wszyscy przeżyli, możesz odetchnąć.

Nadszedł moment, by się zdrzemnąć. To prawdopodobnie twoja ostatnia szansa na sen, bo lepiej spać przy świetle dziennym, choćby te dwie godziny. Jeśli będziesz miał szczęście, może uda się cztery. Więcej nie dostaniesz, bo inni też potrzebują snu, a ktoś zawsze musi stać na posterunku w razie, gdyby zagrożenie niespodziewanie przyszło w ciągu dnia. Przez kolejne dwadzieścia godzin trzeba być na nogach.

W nocy nikt nie śpi. W nocy wojna jest wojną najbardziej i wiesz, że musisz pozostać w ukryciu z trzydziestoma, może czterdziestoma innymi osobami w jednym pomieszczeniu. Na zmianę będziecie chodzić do łazienki. Może komuś uda się zasnąć. Dzieci już od dawna się trzęsą bez przerwy. Czasem po przebudzeniu przez chwilę będzie ci się wydawało, że to

wszystko sen. Albo straszny film. Ale to twoje życie. Kolejny etap w konflikcie między Palestyńczykami a Izraelczykami. Jego nowa, najkrwawsza dotąd odsłona.

ABSOLUTNA KATASTROFA | – W każdej minucie dnia chodzi o przetrwanie – mówi mi Ahmed Bayram z Norwegian Refugee Council, organizacji pomocowej, która ma w Gazie 54 lokalnych pracowników. Od trzech tygodni Bayram, który mieszka w Ammanie, stolicy Jordanii, zaczyna dzień od sprawdzenia, czy wszyscy żyją. Nie może zrobić dla nich nic więcej.

– Nigdzie nie jest bezpiecznie – mówi Bayram. – Moja współpracownica straciła jedynego syna. Inni muszą wybrać, które dziecko nakarmić, choć głodne są wszystkie. Nie ma lekarstw. Ranni są operowani bez znieczulenia. Lekarze muszą decydować, kogo leczyć, bo wszystkich się nie da.

– To absolutna katastrofa – uważa Bayram. – Mój zespół mówi mi, że w prowi-



zorycznych schronach, których nie zobaczymy w telewizji, panuje ból i agonia, a dzieci płaczą przez cały dzień.

Bayram twierdzi, że w swojej wieloletniej pracy w organizacjach pomocowych na Bliskim Wschodzie nie widział jeszcze takiej tragedii.

LOGIKA PRZEMOCY | Rano 7 października rządząca w Strefie Gazy organizacja polityczno-militarna Hamas, która odmawia Izraelowi prawa do istnienia, a przez USA i UE uważana jest za organizację terrorystyczną, zaczęła ostrzelać Izraela. Trzy tysiące jej członków przedarło się przez granicę, dokonując brutalnej rzezi izraelskich cywilów i wojskowych. Zabili z wyjątkowym okrucieństwem ok. 1400 ludzi, podpalili ich domy, zmasakrowali zwłoki, a 240 osób wzięli jako zakładników i ukryli w podziemnych tunelach.

Powodem tego działania, jak twierdzi Hamas, było zbezczeszczenie przez Izrael meczetu Al-Aksa, świętego miejsca muzułmanów w Jerozolimie, i nasilające się ostatnio ataki ze strony żydowskich osadników mieszkających w nielegalnych osiedlach na Zachodnim Brzegu, należącym do Autonomii Palestyńskiej. W tle jest blokada Gazy, zarządzana przez Izrael po zwycięstwie Hamasu w tamtejszych wyborach w 2006 r. (później wyborów już nie organizowano); ona sprawiła, że Gaza była tykającą bombą. Lata życia jak w więzieniu – zdany na łaskę Izraela w kwestii dostępu do wody, prądu czy pomocy humanitarnej, bez możliwości wjazdu i wyjazdu – radykalizowały nastroje.

Izrael nie chciał pozostawić brutalnego ataku bez odpowiedzi. Premier Benjamin Netanjahu zarządził najintensywniejsze jak dotąd bombardowania Gazy, jednego z najgęściej zaludnionych miejsc na świe-

cie (na terytorium trochę większym od Krakowa żyło 2,3 mln ludzi). Zanim zaczął inwazję lądową, której celem jest ostateczne rozprawienie się z Hamasem, Izrael zalecił mieszkańcom Gazy przeniesienie się do południowej części enklawy. Jednak ostrzelały także cywilnych obiektów w tym południowym rejonie nie ustały. Izrael nie oszczędza domów mieszkalnych, obozów uchodźców czy miejsc religijnych. Jego generałowie uważają, że ponieważ infrastruktura Hamasu (np. tunele) może być wszędzie, cała Strefa jest uprawnionym celem militarnym.

Tymczasem z Gazy nie ma ucieczki. Jedyny sąsiad na lądzie poza Izraelem, Egipt, długo nie otwierał granicy. Twierdził, że eksodus Palestyńczyków spowodowałby kolejną Nakbę, wielką tragedię, która po raz pierwszy dotknęła ten naród w 1948 r., gdy w wyniku walk z Izraelem przesiedlono 800 tys. ludzi. W Libanie czy Syrii Palestyńczycy do dziś mieszkają w obozach dla uchodźców, marząc o powrocie. Ujawnienie przez izraelskie media rządowe dokumenty, w których rozważany miał być scenariusz przymusowego wysiedlenia wszystkich ludzi z Gazy na egipski półwysep Synaj (tj. faktyczna likwidacja Strefy), musiały potwierdzić obawy Kairu, że Izrael wykorzysta otwarcie granicy do wypchnięcia Gazańczyków do Egiptu.

W końcu po trzech tygodniach pozwolono na wyjazd z Gazy do Egiptu cudzoziemcom i grupie ciężko rannych. Organizacje humanitarne, od których Gaza zależała nawet w czasie pokoju, nadal oczekują na wjazd. Tylko od czasu do czasu granicę przekracza jakiś konwój. To kropla w morzu potrzeb.

TRZY TYSIĄCE | „Pamiętam ten dzień, 9 października, gdy mój dom został częściowo zburzony. Moja rodzina, sąsiedzi i ja, wszyscy spaliliśmy tej nocy w szpitalu. I pomyślałam, że to najgorsze, co mogło się zdarzyć. Potem, 13 października, po-

nad milion ludzi musiało się ewakuować na południe. Miałam załamanie nerwowe, dużo płakałam, poczułam, że jestem uwięziona w Gazie, zginę tu i nikt nigdy o mnie nie usłyszy” – pisze Alaquad.

Według organizacji Save the Children w czasie pierwszych trzech tygodni konfliktu w Gazie zginęło więcej dzieci niż we wszystkich konfliktach na świecie w ostatnim roku razem wziętych. Ministerstwo zdrowia Gazy mówi o ponad 8 tys. zmarłych Palestyńczyków, z których 3 tys. to dzieci. Ministerstwo jest kontrolowane przez Hamas, ale podobne dane podają UNICEF i WHO.

– Wyobraź sobie, że cała populacja jednego z najgęściej zaludnionych miejsc na świecie musi się zmieścić na połowie tego terytorium. Tam nie ma miejsca. Nie ważne, gdzie jesteś w Gazie, wszędzie jest niebezpiecznie. W innych konfliktach ludzie opuszczają domy i przynajmniej wiedzą, że nie będą celem. W Gazie tego nie wiesz. To też pierwszy konflikt, który widziałem, gdzie nie dociera pomoc humanitarna – mówi Ahmed Bayram z Norwegian Refugee Council. – Jest jasne, że izraelscy zakładnicy powinni być wypuszczeni, i że każde życie jest tak samo ważne. Ciągłe wzywanie do zawieszenia broni, bo odpowiedź Izraela jest nieproporcjonalna.

Izrael twierdzi, że nie poprzestanie, dopóki nie zlikwiduje Hamasu. Nawet jeśli to oznacza zamianę Gazy w pył. 2 listopada grupa ekspertów ONZ wezwała Izrael do zawieszenia broni twierdząc, że Palestyńczykom grozi ludobójstwo. Palestyńczycy twierdzą, że ono już się zaczęło.

Jeszcze raz Plestia Alaquad: „Wcześniej przed pójściem spać zawsze miałam czas na autorefleksję, myślałam o tym, jak stać się lepszą wersją siebie. Teraz przed zaśnięciem myślę o innych, o moim narodzie (...). Myślę o ludziach, którzy stracili całe rodziny, i o tym, jak muszą być samotni (...). I myślę o Gazie, jak w mgnieniu oka zamieniła się w wymarłe miasto”. ©

Miasto Gaza widziane z granicy z południowym Izraelem. 1 listopada 2023 r.



Solidarność i nienawiść

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Konflikt bliskowschodni narusza polityczno-ideowe fundamenty niemieckiego państwa.

WBERLIŃSKIEJ DZIELNICY NEUKÖLLN żyje ponad 300 tys. ludzi, z których ponad połowa ma korzenie imigranckie. W okolicach Sonnenallee, alei Słonecznej, jednej z głównych arterii, rdzenni Niemcy stanowią dziś niewielką mniejszość. Dlatego nazywana jest też Schara Al Arab, ulicą Arabską. Szyldy kawiarni i warzywniaków są tu zwykle dwujęzyczne, pisane zarówno alfabetem łacińskim, jak też po arabsku. Syryjczycy, przybyli w ostatniej dekadzie, chwalą sobie, że można tu dostać takie same ubrania, meble i przyprawy, co w Damaszku.

W tych dniach na murach Neukölln często widać hasło „Wolna Palestyna”, liczne są tu też palestyńskie flagi. „Neukölln to Gaza” – czytam na jednym z budynków. To tutaj, na alei Słonecznej, po 7 października wielokrotnie odbyły się propalestyńskie demonstracje. Palestyńczycy zaczęli się osiedlać w tej okolicy jeszcze w latach 90. XX w. (trafiali tu z Libanu). Dziś mogą liczyć na wsparcie kilkuset tysięcy muzułmanów, którzy żyją w Berlinie.

Sonnenallee nie jest wyjątkowa – takie ulice są w każdym większym mieście Niemiec.

CZAS NIENAWIŚCI | Podczas takich protestów wyrazy solidarności z cywilami z Gazy mieszają się z nienawiścią do Izraela i Żydów. Symbolem tej nienawiści stała się baklava, popularne ciasto kuchni arabskiej – wspierający sprawę palestyńską mieszkańcy Neukölln rozdawali je przechodniom w dniu, gdy oddziały Hamasu mordowały Żydów. Dla nich był to powód do świętowania.

Nienawiść to dziś dominująca emocja wśród muzułmańskich mieszkańców niemieckich miast. Dla niemieckich Żydów to z kolei czas strachu (gminy żydowskie liczą tu 91 tys. członków, ale Żydów w Niemczech jest więcej, nie wszyscy należą do gmin). Z obawy przed atakami szkoły żydowskie w Berlinie czasowo zamknięto, podobnie część sklepów należących do Żydów. Drzwi niektórych budynków, gdzie mieszkają Żydzi, nieznanymi sprawcy zaczęli oznaczać gwiazdami Dawida.

Nasuwać się skojarzenia z latami 30. XX w. Jednak dziś dominuje tzw. importowany antysemityzm: nienawiść do Żydów powszechna jest wśród ludności imigranckiej. „W Neukölln niektórzy postrzegają Izrael jak demona, wcielenie zła. Izrael jest wrogiem okupantem, a ataki Hamasu są bagatelizowane, przedstawiane jako walka wyzwolenicza” – mówił w „Die Welt” Martin Hikel, burmistrz dzielnicy.

NA TIKTOKU I W MECZETACH | Arabscy i tureccy mieszkańcy Berlina wiedzą o świecie czerpiąc nie z niemieckich mediów, po-

dających apele polityków o solidarność z Izraelem, lecz z kanałów informacyjnych we własnych językach. A tu, np. na popularnym TikToku, w materiałach Hamasu czy w przemówieniach tureckiego prezydenta Erdoğan, Palestyńczycy mordujący Żydów przedstawiani są jako bojownicy o słuszną sprawę.

Podobny przekaz płynie z meczetów: imamowie tłumaczą wiernym, co się dzieje na Bliskim Wschodzie. Zdecydowana większość meczetów działających w Niemczech jest w rękach tureckich stowarzyszeń religijnych, które z kolei są często pod kontrolą Turcji.

Napięcia przenoszą się na szkolne podwórka. W wielu landach rodzice otrzymali listy od władz, w których prewencyjnie przestrzega się przed antysemitkami wybrykami. Po tym, jak wiele szkół w Nadrenii Północnej-Westfalii po 7 października wywiesiło izraelskie flagi, są one regularnie zrywane i niszczone przez nieznanymi sprawców.

KWESTIA WARTOŚCI | Aparat państwowy zdaje sobie sprawę z zagrożenia, jakim dla sytuacji w Niemczech jest konflikt na Bliskim Wschodzie. Już przed 7 października w kraju zaostrzała się debata wokół imigracji. Dziś niemieckie społeczeństwo tym bardziej nie chce już słyszeć o dalszym przyjmowaniu setek tysięcy ludzi rocznie.

W debacie publicznej pojawiają się postulaty, by od obcokrajowców, którzy chcą dostać obywatelstwo, wymagać odpowiedniej postawy wobec Izraela. Odpowiedniej, czyli zgodnej z wartościami niemieckiego państwa, kształtowanymi przez pamięć o Holokauście. Streszczają się w hasłach „Nigdy więcej” czy „Bezpieczeństwo Izraela to racja stanu Niemiec”.

„Ochrona życia żydowskiego jest obowiązkiem państwa i obowiązkiem obywatelskim” – mówił prezydent Frank-Walter Steinmeier do 10 tys. ludzi, którzy zebrali się przed Bramą Brandenburską, by okazać solidarność z Izraelem. Apelowo o przyjęcie tego obowiązku bez względu na pochodzenie.

Jednak obserwując relacje z tego wydarzenia, widać było, że zebrani to głównie starsi rdzenni Niemcy. Dla nich taki apel to oczywistość. Za to dla wielu mieszkańców Neukölln, tych z korzeniami imigranckimi, ten fundament niemieckiego państwa jest nie do przyjęcia. ©

Demonstracja proizraelska pod Bramą Brandenburską w Berlinie, 22 października 2023 r.





NATHAN LAINE / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Pro palestyńska demonstracja na placu Republiki w Paryżu, 19 października 2023 r.

Gorączka z importu

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Konflikt bliskowschodni toczy się także na francuskich ulicach. Władze próbują uspokoić napięcia, zakazując manifestacji poparcia dla Palestyńczyków. Na darmo.

NAD SEKWANĄ ŻYJĄ OBOK SIEBIE NAJWIĘKSZE W Europie społeczności Żydów (ok. 450 tys.) i muzułmanów (ok. 5,5 mln). To podatny grunt dla napięć. Miejskowa prasa określa je zwykle jako „importowanie” konfliktu z Bliskiego Wschodu.

W niedawnych atakach Hamasu zginęło co najmniej 35 obywateli Francji lub osób mających podwójne obywatelstwo: francuskie i izraelskie. Terrorysty Hamasu trzymają w niewoli zakładników z francuskim obywatelstwem (co najmniej kilkoro). W czasie wizyty w Izraelu prezydent Macron obiecał, że Paryż zrobi wszystko, by ich uwolnić.

POWSZECHNA NERWOWOŚĆ | Tymczasem francuscy Żydzi boją się o swoje bezpieczeństwo. Według danych MSW w ciągu trzech tygodni bliskowschodniej wojennej eskalacji doszło we Francji do ponad 850 aktów antysemityzmu (groźenie śmiercią, nienawistne napisy

na murach). To dwukrotnie więcej niż przez cały rok 2022. W ciągu jednej nocy na murach kamienic i sklepów w Paryżu pojawiło się co najmniej 60 identycznych graffiti z niebieską gwiazdą Dawida. Prokuratura bada, czy mają one antysemicki charakter, czy też są wyrazem poparcia dla Izraela (malowano je przypadkowo, bez związku z pochodzeniem właścicieli budynków).

Wrze na uczelniach, gdzie aktywne są lewicowe organizacje studenckie wspierające sprawę palestyńską. Związek Studentów Żydowskich we Francji (UEJF) mówi o mnożących się – na kampusach i w sieci – inwektywach wobec Francuzów pochodzenia żydowskiego. Do powszechnej nerwowości przyczyniają się liczniejsze niż zwykle fałszywe alarmy bombowe w szkołach, muzeach (w tym w Luwrze) i synagogach na terenie całego kraju.

Francuzami wstrząsnęła śmierć nauczyciela Dominique’a Bernarda z miasta Arras – 13 października zabił go nożem młody islamski radykał pochodzący z Inguszetii. Jednak, wbrew początkowym przypuszczeniom, atak ten nie wiąże się bezpośrednio z konfliktem izraelsko-palestyńskim. Śledztwo wskazuje, że 20-letni napastnik chciał „skopiować” zamach dokonany niemal dokładnie trzy lata wcześniej, gdy 18-letni radykał islamski z Czeczenii zamordował nauczyciela historii Samuela Paty’ego za to, że ten pokazywał uczniom karykatury Mahometa.

ŚWIĘTE PRAWO DO PROTESTU | Gorączkę wywołaną wojną w Gazie widać też na ulicach. W paryskim marszu wsparcia dla Izraela – zorganizowanym 9 października na apel CRIF, głównej organizacji żydowskiej we Francji – udział wzięło kilkanaście tysięcy ludzi. W kolejnych dniach

ulicami stolicy i wielu innych miast przechodziły demonstracje domagające się, jak postulowano, „natychmiastowego wstrzymania ognia” przez Izrael i przerwania blokady Gazy. Prócz hasła wsparcia dla palestyńskich cywilów pojawiły się na nich też hasła antyizraelskie i antyrządowe, np. „Izrael mordercą, Macron współnikiem”.

W rezultacie, obawiając się zamieszek, prefekt paryskiej policji zakazał w stolicy propalestyńskich protestów (choć w wielu innych miastach pozwolono na nie). Mimo to w sobotę 28 października na ulice Paryża wyszły znowu – na ogół pokojowo – tysiące ludzi. Zabranianie demonstracji nie ma chyba większych szans powodzenia w kraju słynącym z upodobania do ulicznych kontestacji.

Apel o natychmiastowy rozejm w Gazie, opublikowany na łamach radykalnie lewicowego dziennika „L’Humanité”, podpisało wiele osobistości, w tym noblistka Annie Ernaux i aktorka Juliette Binoche.

LE PEN FLIRTUJE Z IZRAELEM, LEWICA SIĘ SYPIE | Niespodziewanie na paryskim marszu poparcia dla Izraela zjawili się – obok polityków centrum, prawicy i lewicy – także deputowani ze Zjednoczenia Narodowego (Rassemblement National, RN), skrajnie prawicowej partii Marine Le Pen. Dziennik „Le Figaro” pisze, że przyjęto ich tam owacyjnie. A przecież, jak przypomina gazeta, jeszcze kilka lat temu środowiska żydowskie uważały Marine Le Pen za *persona non grata* ze względu na dawne antysemickie wypowiedzi jej ojca, Jeana-Marie Le Pena, założyciela tej formacji (wtedy pod nazwą Front Narodowy). Jednak od kilku lat liderka RN robi wszystko, by zatrzeć plamy na rodzinnej przeszłości i dziś popiera całkowicie politykę Izraela wobec Palestyńczyków.

Z kolei na drugim biegunie radykał Jean-Luc Mélenchon, lider opozycyjnej lewicowej koalicji Nupes, unika uparcie nazwania Hamasu organizacją terrorystyczną, aby nie drażnić swoich wyborców pochodzenia arabskiego. Stanowisko to doprowadziło do faktycznego rozpadu Nupes: wchodzący w skład tej koalicji socjaliści, Partia Ekologiczna (dawniej Zieloni), a nawet komuniści odcięli się w tej kwestii od Mélenchona. Prasa jest zgodna: Nupes sypie się od środka od wielu miesięcy, a sprawa palestyńska to przypieczętowała. ©



Mural na ścianie byłego getta przedstawiający XVIII-wiecznego uczonego Eliasza ben Salomona Zalmana, zwanego Gaonem Wileńskim. Jego imię nosi litewskie Muzeum Historii Żydowskiej. Wilno, lipiec 2023 r.

Pamięć powraca nad Wilię

TOMASZ OTOCKI Z WILNA

Rezolucja litewskiego Sejmu w 80. rocznicę likwidacji getta w Wilnie była inspirowana polskimi obchodami. Teraz Litwa poszerza program nauczania o Holokauście i planuje kolejne muzea.

WARSZAWA, 19 KWIETNIA 2023 R. Trwają uroczystości na Muranowie, przy pomniku Bohaterów Getta. Chór dzieci i młodzieży wykonuje w trzech językach pieśń powstańców: „Zog nit kejn mol az du geist dem lectn weg” („Nigdy nie mów, że idziesz ostatnią drogą”). Pieśń została napisana w Wilnie, jej autorem był żydowski poeta Hirsch Glik – partyzant, więzień wileńskiego getta. Napisał ją poruszony wieścią o wybuchu powstania w getcie warszawskim.

Wśród zgromadzonych zagranicznych polityków stoi 65-letni poseł li-

tewskiego Sejmu, Emanuelis Zingeris. Jest głównym przedstawicielem Litwy w tym dniu, choć pod pomnikiem wieńiec składa też ambasador Litwy. Zingeris pochodzi z rodziny, która przeżyła Holokaust. W 1989 r. wraz z bratem Markasem, zmarłym w tym roku poetą i pisarzem, zakładał Muzeum Historii Żydowskiej im. Gaona Wileńskiego.

Był to czas, gdy w istniejącym jeszcze Związku Sowieckim społeczność żydowska mogła się już organizować. W tym samym roku w lotewskiej Rydze powstała żydowska szkoła średnia imienia Szymona Dubnowa, Litwaka (Litwakami

nazywano społeczność Żydów z terenów dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego), więźnia getta ryskiego. Była to pierwsza mniejszościowa szkoła na terenie Związku Sowieckiego.

35 lat temu

– Powstanie naszego muzeum to był pewien proces, który zaczął się wraz ze „śpiewającą rewolucją” pod koniec lat 80. Mój młodszy brat, wykładowca Uniwersytetu Wileńskiego, obecnie poseł konserwatystów na Sejm, Emanuelis Zingeris, został wtedy członkiem ścisłego gremium Sajūdisu [litewskiego ruchu narodowego dążącego do niepodległości – red.], czegoś w rodzaju jego „rady rewolucyjnej”. Powstanie tego ruchu było rezultatem naszych dyskusji kuchennych – wspominał w rozmowie ze mną w 2020 r. Markas Zingeris.

– Pamiętam, że z inicjatywy litewskiego geografa Česlovasa Kudaby założono wtedy organizację Poznaj Swój Kraj – mówił Zingeris. – Brat zaproponował, żeby pod parasolem profesora Kudaby powstała grupa, która będzie odkrywać

dziedzictwo żydowskie na Litwie. Zebrał się Kongres Żydowskiej Inteligencji i ta część wileńskich inteligentów narodowości żydowskiej podjęła decyzję o wskrzeszeniu muzeum żydowskiego w Wilnie.

Takie muzeum istniało wcześniej przez krótki okres w litewskiej republice sowieckiej, bezpośrednio po II wojnie światowej. Był to czas, gdy żydowscy działacze zaczęli wygrzebywać z piwnic to, co zostało tam ukryte podczas okupacji. – A więc całe żydowskie dziedzictwo. Obrazy, książki, manuskrypty – kreślił atmosferę tamtych dni zmarły w tym roku poeta i pisarz.

Przerwana pamięć Wilna

12 września 2023 r., Muzeum Historii Żydowskiej im. Gaona Wileńskiego. W tym dniu w litewskiej stolicy zostaje otwarta wystawa „Miasto żywych/Miasto umarłych”, przygotowana przez Muzeum Getta Warszawskiego (we współpracy z Instytutem Polskim w Wilnie). To projekt fotograficzny Roberta Wilczyńskiego poświęcony Warszawie. Autor wystawy połączył archiwalne fotografie osób i miejsc z terenów warszawskiego getta z obrazami współczesnego miasta.

– Litwini niewiele wiedzą o powstaniu w getcie warszawskim, ta wiedza dopiero stopniowo przebija się do społeczeństwa – przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem” prof. Šarūnas Liekis z Uniwersytetu Wiltolda Wielkiego w Kownie, badacz tematyki żydowskiej na Litwie. Podobnie jest zresztą z własną historią. – Polacy bardziej pamiętają getto warszawskie niż Litwini wileńskie. Być może ze względu na powstanie z 1943 r., które w polskiej świadomości zlewa się z tym, które wybuchło rok później, w jeden „polski zryw narodowy”. Wilno nie miało takiego momentu historycznego – dodaje Liekis.

Warto dodać, że o ile w Kownie pamięć historyczna nie została przerwana, o tyle współczesne Wilno jest miastem przyjezdnych: Litwinów, Rosjan i Polaków. To również wpływa na lokalne pamiętanie, a w zasadzie na pewną „niepamięć”. No i rytm stolicy, która podąża za wydarzeniami bardziej współczesnymi.

Pytam prof. Liekisa, co wiedzą jego studenci pierwszego roku na temat żydowskiego Wilna. – Słyszeli o Gaonie Wileńskim [XVIII-wiecznym rabinie i matematyku – red.], o Holokauście, o tym, że było getto. Jednak nie jest to wiedza roz-

budowana – tłumaczy Liekis. O tym, że w 1897 r. właśnie w Wilnie powstał socjalistyczny Bund, mało kto wie. A przecież Wilno było miastem nie tylko bundowców, ale też syjonistów (zwolenników budowy państwa) i folkistów (zwolenników żydowskiej autonomii w ramach carskiej Rosji).

Duże i małe getto

Niemcy założyli getto wileńskie 6 września 1941 r., a zlikwidowali je 23 września 1943 r. (getta w Kownie i Szawłach przetrwały o rok dłużej, stąd większa liczba tych, którym udało się przeżyć). W wileńskim znalazło się ok. 38 tys. Żydów, z tego 9 tys. w tzw. małym getcie, zlikwidowanym już jesienią 1941 r. (trafiły tu osoby niezdolne do pracy). Z licznej społeczności wileńskich Żydów przeżyło tylko dwa tysiące. Zniknęła wspaniała kultura, która wyrażała się nie tylko w tradycji Gaona czy folkisty Cemacha Szabada, ale też założonego w międzywojniu YIVO, Żydowskiego Instytutu Naukowego (swą kontynuację znalazł potem w Nowym Jorku).

Rocznice likwidacji getta uczczono szeregiem wydarzeń. Były wśród nich wystawa i koncert „Żyjemy wiecznie” na dziedzińcu byłej Rady Żydowskiej przy ulicy Žemaitijos, wystawa „Dzieci z getta opowiadają dzisiejszym dzieciom” w Bibliotece im. Mickiewicza, wycieczki z przewodnikami po Ponarach i terenie obu gett, dyskusja „Uciekinierzy, ale nie bezsilni. Polscy żydowscy uchodźcy w Wilnie w latach 1939-1944”. Były też inne koncerty i pokazy filmów.

Główne obchody odbyły się 21 września, gdy zebrał się uroczysty parlament, a politycy i zwykli mieszkańcy wzięli udział w przemarszu na trasie plac Rudnicki–dworzec kolejowy; tą trasą wywózono Żydów do Ponar. Tam, w ponarskim lesie, gdzie w czasie II wojny światowej zginęło 70 tys. Żydów i 20 tys. Polaków, złożono hołd pomordowanej społeczności z udziałem premier Ingridy Šimonytė, przewodniczącej Sejmu Viktoriji Čmilytė-Nielsen i mera Wilna Valdas Benkunskasa.

Upamiętnić bojowców

Kilka dni później Sejm przyjął jednogłośnie rezolucję, w której docenił wielowiekowy wkład Żydów litewskich w kulturę światową i powstanie państwa litewskiego, podkreślił wysiłek bojowców getta

wileńskiego, a także wezwał samorządy, by nadawały szkołom i ulicom patronów w postaci uczestników ruchu oporu w getcie i ludzi, którzy ratowali żydowskich sąsiadów.

„Bojownicy getta są również bohaterami narodu litewskiego, nie tylko żydowskiego” – mówił na placu Rudnickim Emanuelis Zingeris. W rozmowie z „Tygodnikiem” przyznaje: – Zainspirowały mnie obchody 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim, gdy bardzo wyraźnie oddano cześć bojownikom.

W rezolucji, którą przygotowali Zingeris i szef komisji spraw zagranicznych Sejmu Žygmantas Pavilionis (późniejsza uchwała w obronie Izraela po ataku Hamasu też wyszła spod ich pióra, co pokazuje pozytywną ewolucję litewskiej prawicy po 1990 r.), wzywa się, by odejść od anonimowości Holokaustu. „Za przykładem Płungian, Kiejdan i Birż należy rozpocząć oznaczanie miejsc masowych mordów, ujawniając imiona i nazwiska pomordowanych, a nie tylko numery i daty” – postulują posłowie, którzy w uchwale poruszyli też dwa wątki międzynarodowe: wezwali Niemcy do zwrotu Litwie żydowskich pamiątek zabranych przez władze okupacyjne, a Rosję do zwrotu majątku litewskich Żydów wywłaszczonego przez Sowietów oraz aktywów Żydowskiego Banku Ludowego (choć apel do Rosji Putina bez wątpienia pozostanie bez echa).

Nowe miejsca

Muzeum Historii Żydowskiej im. Gaona Wileńskiego ma od niedawna nowego dyrektora; jest nim Simonas Strelcovas. Pierwszym jego szefem był wspomniany Emanuelis Zingeris, później ster przejął jego brat Markas. Dziś muzeum ma trzy oddziały: Muzeum Samuela Baka (żydowskiego malarza z Litwy, tworzącego też we Francji i Izraelu), ekspozycję poświęconą Holokaustowi i Memoriał w Ponarach. Małe muzeum artysty Jacques’a Lipchitza znajduje się też w Druskiennikach (tutejsi Żydzi nie ginęli w Ponarach, lecz w Treblince).

Strelcovas, związany z Szawłami na Żmudzi, podczas rozmowy chętnie opowiada mi o planach: – W listopadzie otwieramy Muzeum Żydowskiej Kultury i Tożsamości, ono nie będzie miało bezpośredniego związku z Holokaustem. Zawsze podkreślam: jeśli chcesz rozmawiać

→ o stratach związanych z Zagładą, musisz najpierw wiedzieć, co utracono.

W tym nowym muzeum mają zostać pokazane religia i języki, którymi posługiwali się przez kilka wieków litewscy Żydzi. – W przyszłym roku otwieramy nasze centrum w Ponarach, ze specjalną wystawą, a także miejsce, gdzie będzie można kupić książki albo napić się kawy. Będą też audioprzewodniki – mówi Strelcovas, wskazując na kolejne ważne miejsca pamięci w Wilnie, jak budynek Judenratu przy dawnej ulicy Straszuna, obecnie Žemaitijos. Tam w 2025 r. powstanie Muzeum Getta Wileńskiego i Holokaustu na Litwie. Wszystkie te placówki będą pododdziałami Muzeum Gaona Wileńskiego.

Na razie Wilno nie może sobie pozwolić na wielkie muzeum w rodzaju Polin (zresztą zarówno Faina Kukliansky, przewodnicząca Litewskiej Wspólnoty Żydów, jak i Markas Zingeris, rozmawiając ze mną w 2020 r. byli wobec Polin sceptyczni; „za duże”, „za mało autentyczne”, „błędy, jeśli chodzi o historię Litwy”, narzekała wtedy Kukliansky).

Kwestia edukacji

Strelcovas informuje też, że w tym roku na Litwie wchodzi program nauczania o Holokauście. Informację potwierdza w rozmowie z „Tygodnikiem” Rimantas Jokimaitis z działu programów edukacyjnych Ministerstwa Oświaty: – Edukacja o Holokauście na Litwie jest obowiązkowa. W 2022 r. dokonano aktualizacji programów w kierunku ich pogłębienia, zarówno gdy mówimy o życiu Żydów na

Litwie przed Holokaustem, jak i o tematyce Zagłady. Zwiedzanie miejsc historycznych, pomników i muzeów będzie integralną częścią nauczania historii.

W programie wyróżniono pomnik Ofiar Holokaustu w Ponarach oraz IX Fort w Kownie, gdzie w czasie II wojny

Współczesne Wilno jest miastem przyjezdnych:

Litwinów, Rosjan i Polaków.

To wpływa na lokalne pamiętanie, a w zasadzie na pewną „niepamięć”.

światowej także ginęli Żydzi. Strelcovas podkreśla, że podczas uroczystości w Ponarach 21 września „było bardzo dużo uczniów, którzy niekoniecznie siedzieli w ławce i czytali książki”.

Historyk Šarūnas Liekis wspomina w rozmowie, że takie zmiany są na pewno słuszne, jednak przeszkadza mu to, że uroczystości w Ponarach, czy też szerzej: całe pamiętanie o historii getta wileńskiego ograniczone jest głównie do elit. – Inaczej niż w Warszawie, gdzie organizuje się spacer, spotkania, wychodzą książki. Zainteresowanie Holokaustem w Polsce wyszło poza uniwersytety i polityków.

Być może taki jest cel nowych regulacji oświatowych: pokazać spuściznę i losy Litwaków szerszemu ogółowi.

Spór o dwa ludobójstwa

Na litewskie pamiętanie o Holokauście narzeka za to w rozmowie z „Tygodnikiem” profesor Dovid Katz, jidyszysta, urodzony w 1956 r. na Brooklynie i przez długi czas mieszkający w Wilnie, dziś w Wielkiej Brytanii: – Żydzi, którzy przeżyli Holokaust, uważali zawsze, że właściwym dniem na jego upamiętnienie na Litwie jest nie wrzesień, lecz 23 czerwca. Tego dnia w roku 1941 sześćsetletni pokój między narodami został przerwany przez wybuch barbarzyństwa w całym kraju – uważa Katz, nawiązując zarówno do masowych mordów na Żydach, które zaczęły się po wejściu Wehrmachtu na Litwę, i w których uczestniczyli też Litwini, jak również do późniejszej litewskiej kolaboracji.

– Skupienie się wyłącznie na getcie wileńskim, a więc dacie wrzesniowej, to próba skoncentrowania się przez państwo jedynie na Niemcach, którzy założyli getto, a nie na tysiącach lokalnych uczestników w całym kraju – uważa Katz.

Dovid Katz od lat krytykuje obchodzenie się Litwinów z własną przeszłością, w tym litewską narrację o tym, że na Litwie były dwa ludobójstwa, sowieckie i nazistowskie. Według Katza ten, jak to ujmie, „znak równości”, pomniejsza znaczenie Holokaustu.

Wydaje się jednak, że w swojej surowej ocenie Litwinów Dovid Katz jest dziś osamotniony.

© TOMASZ OTOCKI





JAGIELSKI STORY

Wszystkie strony świata – podcast naszych reporterów
Wojciecha Jagielskiego i Krzysztofa Storego
TygodnikPowszechny.pl/podcast

Dołącz do społeczności
Patronite.pl/PodcastTygodnikaPowszechnego



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT.: GRZYNA MAKARA



W ostatnich tygodniach dworzec kolejowy Bratysława Hlavná stał się miejscem, gdzie wiele uchodźczych rodzin spędza dni i noce, czekając na możliwość dalszej podróży. Słowacja, 2023 r.

W pułapce

ANNA MIKULSKA Z BRATYSŁAWY

Docierają tu szlakiem z Bliskiego Wschodu: najpierw Turcja, potem Bułgaria lub Grecja i Macedonia. Następnie Serbia, Węgry i Słowacja. Utknęli, ale wierzą, że nie na długo.

NAZWIJMY GO KHALIDEM: – MOJA PODRÓŻ trwa już miesiąc i 16 dni. Była niebezpieczna i trudna, ale nic nie jest tak ciężkie, jak życie w Syrii i Turcji – opowiada 29-letni Syryjczyk. Poznajemy się w Bratysławie. Mówi, że po ucieczce z Syrii spędził w Turcji 7 lat; trafił do ośrodka detencyjnego w Stambule. – To tak naprawdę nie ośrodek, ale więzienie, z którego później deportują Syryjczyków. Nie mamy tam żadnych praw – wspomina.

Potwierdzenie tej historii znajduje później w informacjach organizacji Human Rights Watch. W ciągu kilku miesięcy 2022 roku zamkniętych, a potem deportowanych miały być setki syryjskich uchodźców. Wielu decyduje się więc opuścić Turcję i wyruszyć do Europy, zwłaszcza po trzęsieniu ziemi w lutym 2023 r. Idą szlakiem migracyjnym, który prowadzi przez Słowację.

– Nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z tak dużą liczbą uchodźców, nie licząc tych z Ukrainy – mówi Lukáš Novák, prawnik słowackiej organizacji pozarządowej Human Rights League. To jeden z kilku tutejszych NGO-sów, które niosą pomoc ludziom w drodze.

Z informacji słowackiej policji wynika, że od początku tego roku do września odnotowano ponad 24 tys. cudzoziemców, którzy dostali się do Słowacji niezgodnie z obowiązującym w krajach Unii Europejskiej prawem. 97 proc. z nich deklaruje obywatelstwo syryjskie. Dla porównania w 2015 r., gdy po raz pierwszy uchodźcy i migranci zaczęli docierać do Europy na dużą skalę, w Słowacji zarejestrowano jedynie 779 takich osób.

STAN WYJĄTKOWY | W związku ze zwiększoną liczbą ludzi, którzy próbują przedostać się w głąb Europy, z początkiem października Polska, Czechy i Austria wprowadziły kontrole na granicy ze Słowacją. Część przejść granicznych, pieszych i samochodowych została zamknięta. Również Słowacja, po wyborach parlamentarnych z 30 września, wprowadziła kontrole na swojej granicy z Węgrami.

Doprowadziło to do sytuacji, w której Syryjczycy i inni cudzoziemcy chcący dostać się do Niemiec, Holandii czy Szwecji utknęli w Bratysławie. 7 października miasto to ogłosiło stan wyjątkowy, co ma umożliwić władzom sprawniejsze zapewnienie pomocy setkom osób. Podobne rozwiązanie przyjęła Bańska Bystrzyca w centralnej części kraju, choć cudzoziemców jest tam znacznie mniej. „W związku z zamknięciem granic przez sąsiednie państwa w stolicy zaczynają gromadzić się także większe grupy migrantów, w tym matki z małymi dziećmi” – mówił rzecznik słowackiej stolicy Peter Bubla.

Większość z Syryjczyków, którzy przebywają w Bratysławie, nocuje na placu Wolności – w centrum, przed głównym dworcem kolejowym – lub na trawniku obok siedziby policji ds. cudzoziemców i biura paszportowego. Od policji otrzymują dokument, który umożliwia im

tw. pobyt tolerowany na terenie Słowacji – tak długo, aż z niej nie wyjadą.

Gdy spotykamy ich w połowie października, śpią w cienkich śpiworach lub na gołej ziemi, przykryci kocami albo folią NRC. Wielu ludziom brakuje ciepłych ubrań. Nocą temperatury spadają do trzech-czterech stopni, a z każdym tygodniem będzie coraz zimniej. Z czasem przed siedzibą policji ds. cudzoziemców, tuż obok niewielkich namiotów Syryjczyków, stanęły duże białe namioty Caritasu, w których rodziny spędziły już pierwsze noce. Do użytku zostały też oddane niewielkie ocieplane domki – tymczasowy obóz, postawiony przez słowackie MSW, także przed budynkiem policji ds. cudzoziemców.

DROGA DO POLSKI | Osoby, z którymi rozmawiamy, próbują przedostać się przez granicę czeską – samochodami przemysłowymi lub pociągiem. Nikt nie wspominał o zamiarze dotarcia do Polski, jednak śląski oddział Straży Granicznej poinformował nas o 880 osobach, które od stycznia do października zostały zatrzymane i zawrócone z Polski do Słowacji. Liczba zatrzymań zaczęła rosnąć od lipca: w styczniu było to 12 osób, do lipca 138, w sierpniu już 313. Z doniesień medialnych wiadomo o pierwszych przypadkach przekraczania zielonej granicy do Polski.

Na Podhalu zawiązała się nieformalna grupa aktywistów gotowych nieść pomoc osobom, które docierają do naszego kraju przez południową granicę. „Po tym, jak kolejne grupy wycieńczonych uchodźców pojawiły się z dziećmi u nas w górach, postanowiliśmy się zorganizować – czytamy w opisie zbiórki na stronie Pomagam.pl, założonej przez aktywistkę Karinę Sasin. – Musimy być gotowi do pomocy. Idzie zima, a ta niesie za sobą dodatkowe niebezpieczeństwa”. ©

Kontrolowany poślizg w prawo

AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU

Pod hasłami kontroli granic, zmian w prawie azylowym i ograniczenia imigracji wybory w Szwajcarii wygrała prawica. Co może się zmienić w alpejskiej idylli?

NIEKTÓRZY MAJĄ NARODOWOŚĆ. Polak: zatrzymany za włamanie do łodzi. Tunezyjczyk: obnażający się przed kobietą karmiącą dziecko. Dwóch młodych Bułgarów, którzy ciężko ranili nastolatka. Erytrejczyk atakujący przechodnia nożem. Niemiec brutalnie mordujący swoją partnerkę. Inni są po prostu cudzoziemcami, imigrantami, azylantami. Do tego zdjęcia: noże, krew, złe spojrzenia, łzy. Łącznie 77 scen grozy, składających się na kampanię wyborczą pod hasłem „Nowa normalność?”.

Im bliżej wyborów do parlamentu, tym ostrzej gra szwajcarska prawica, aby przekonać obywateli, że ich kraj – bezpieczny, stabilny i bogaty – za chwilę może przestać takim być. „Tysiące młodych mężczyzn z Afryki, Afganistanu, Turcji itd. przyjeżdża do Szwajcarii i po prostu tu zostaje. Ta polityka kosztuje nas, podatników, rocznie już 4 mld franków. Do tego dochodzą kradzieże, wymuszenia, przemoc” – kampanii w sieci towarzyszy wspomniany slogan-pytanie: czy tak ma wyglądać teraz nasza normalność?

Na tak zadane pytanie odpowiedź może być tylko jedna. 22 października wyborcy dają Szwajcarskiej Partii Ludowej (SVP) drugi najlepszy wynik w historii. Miejsca w parlamencie zyskują też socjaldemokraci, partie centrowe zachowują mocną pozycję, najwięcej tracą Zieloni. Niby rewolucji nie ma, ale w świat idzie przekaz, że Szwajcaria skręca w prawo.

Nie pomaga nieznaczna korekta w dół poparcia dla SVP (ostatecznie 27,9 proc.), gdy kilka dni później okazuje się, że Federalne Biuro Statystyczne pomyliło się w obliczeniach. „W radykalnej, bogatej idylli Szwajcaria pokazuje swoją szpetną twarz” – pisze jeden z niemieckich dzien-

ników. „Niechęć do obcych jest już elementem folkloru” – komentuje inny.

Jak trwoga, to do SVP

To partia weteranka po prawej stronie szwajcarskiej polityki. Korzenie SVP, ugrupowania narodowo-konserwatywnego (jak określają je sami członkowie), sięgają lat 70. XX w. Początkowo reprezentowało interesy rolników i mieszkańców obszarów wiejskich, a pierwszym spektakularnym sukcesem było zmobilizowanie elektoratu do odrzucenia w referendum w 1992 r. akcesji Szwajcarii do Europejskiego Obszaru Gospodarczego. Odtąd SVP zaczęła rosnąć w siłę i pozycjonować się jako partia antyestablishmentowa (choć wielu jej polityków to elita) i wolnościowa, głos zwykłego obywatela. W 200-osobowej Radzie Narodowej (jednej z izb parlamentu) od 2003 r. SVP niezmiennie utrzymuje największą liczbę mandatów. Po ostatnich wyborach ma ich 62, o dziewięć więcej niż cztery lata temu.

Wtedy, w 2019 r., budynek parlamentu w Bernie przewietrzyły zmiany. Sala plenarna stała się bardziej lewicowo-zielona, młodsza i bardziej kobieca. Ale w ostatnich latach kryzys gonił kryzys: pandemia, wojna w Ukrainie, wyzwania związane z bezpieczeństwem energetycznym, rosnące koszty życia. Kilka miesięcy przed wyborami gruchnęła wieść, że populacja Szwajcarii przekroczyła 9 milionów.

– SVP zwyciężyła, gdyż to jej elektorat poszedł do urn. Cztery lata temu toczyliśmy intensywną debatę na temat zmian klimatycznych i ochrony środowiska, aktywne były ruchy kobiece. W tym roku było zupełnie inaczej. Na prawicy toczyła się przede wszystkim debata o migracji, a na lewicy o sile nabywczej pieniądza,

wysokich kosztach życia, drogich ubezpieczeniach zdrowotnych. Wyniki wyborów odzwierciedlają koniunkturę na określone tematy – analizuje w rozmowie z „Tygodnikiem” Sarah Bütikofer, doktorka nauk politycznych Uniwersytetu w Zurychu.

Bez większego sprzeciwu

Ale oprócz zmobilizowania swojego zależnego elektoratu, prawicy udało się też zdobyć nowych wyborców. Mimo (a może dlatego) że jej przekaz i postulaty się zradykalizowały. W swojej retoryce SVP lubi grać *va banque*, a kampania „Nowa normalność?” po raz kolejny pokazała, że eksponowanie tożsamościowych lęków w kraju, w którym co czwarta osoba jest przyjezdna, to oręż, którym zdobywa się dusze wyborców.

W 2015 r. za podobną kampanię, uderzającą wtedy w społeczność albańską (uchodźców z Kosowa), kierownictwo SVP usłyszało wyrok za naruszenie prawa zapobiegającego rasizmowi – grzywna w zawieszeniu. Wyrok podtrzymał Trybunał Federalny. Teraz doniesienie o popełnieniu przestępstwa przez SVP złożył Erytrejski Związek Mediów. „SVP tworzy atmosferę, która znacznie zwiększa dyskryminację osób dotkniętych rasizmem w Szwajcarii” – czytamy w oświadczeniu. Antyimigracyjną kampanię wyborczą jako „rasistowską i ksenofobiczną” skrytykowała też Federalna Komisja przeciw Rasizmowi i nakazała SVP zaprzestania jej prowadzenia. Bez skutku.

W szerszym odbiorze społecznym metody działania prawicy nie budzą większego sprzeciwu. Tak jakby przez lata wszyscy się do nich przyzwyczaili. Zresztą SVP często zwraca się o poparcie dla swoich propozycji bezpośrednio do obywateli, za pomocą jednego z narzędzi demokracji bezpośredniej. Ostatnia inicjatywa obywatelska, dotycząca ograniczenia imigracji, zyskała społeczne poparcie w 2014 r.

Czego chce prawica

Szwajcarska prawica od lat domaga się restrykcyjnego regulowania imigracji, a także zerwania dwustronnych umów z Unią Europejską o swobodnym przepływie osób. Najnowsze jej pomysły to przywrócenie regularnych kontroli na granicach i zmiany w prawie azylowym: wprowadzenie postępowania azylowego



FABRICE COFFRINI / AFP / EAST NEWS

Wybory federalne do szwajcarskiego parlamentu. Berno, 22 października 2023 r.

poza Szwajcarię, tworzenie „obozów tranzytowych” dla uchodźców/imigrantów i zakaz ubiegania się o azyl wobec osób z krajów uznanych za bezpieczne.

Na drodze do realizacji tych celów stoi system szwajcarskiej demokracji, skonstruowany tak, by zapobiec radykalnym skrętom w którąkolwiek ze stron. Podstawą jest sztuka budowania aliansów: nie chodzi o to, aby zniszczyć, ale żeby zjednać sobie przeciwnika. – W parlamencie żadna partia nie ma większości, stąd za każdym razem potrzebna jest koalicja co najmniej dwóch bloków partyjnych. W zależności od ustawy konstelacja tych koalicji może być różna – tłumaczy Sarah Bütikofer.

Wyniki wyborów nie będą też miały wpływu na skład rządu, który jest kolegialny i wybierany tradycyjnie według tzw. magicznej formuły: w siedmioosobowej Radzie Federalnej (Bundesrat; tak nazywa się rząd) po dwa miejsca należą do prawicy, lewicy i liberałów, a jedno do partii centrowej. Decyzje podejmuje się jednomyślnie.

Trudno będzie więc SVP przebić się z propozycjami w obszarze polityki migracyjnej. Nawet jeśli dla części z nich będzie to zmiany, które zaszkodziłyby interesom gospodarczym Szwajcarii. Zdecydowana większość przyjezdnych to imigracja zarobkowa z krajów Unii Europejskiej oraz Europejskiego Stowarzyszenia Wolnego Handlu (EFTA), odpowiadająca na potrzeby rynku zatrudnienia. Bo ręk

do pracy brakuje w wielu branżach: służbie zdrowia, gastronomii, szkolnictwie, nawet sądownictwie.

– Szwajcarska gospodarka leży pracy na sercu, więc nie pozwolą zrobić jej krzywdy – uważa Bütikofer.

Umocnienie się SVP z pewnością nie służy relacjom Szwajcarii z Unią Europejską. Nie chodzi tylko o eurosceptycyzm i niechęć wobec, używając retoryki partii, „obcych sędziów”, ale też o bezkompromisowe podejście SVP do neutralności: jest ona przeciwna jakimkolwiek ustępstwom, gdy idzie o zakaz eksportu czy reeksportu broni dla Ukrainy.

Klimaseniorki idą do Strasburga

Opublikowany tuż przed wyborami tzw. barometr społecznych zmartwień pokazuje, że aktualnie szwajcarską bolączką numer jeden są wysokie koszty ubezpieczenia zdrowotnego, które jest prywatne i obowiązkowe. Tuż za obawą przed drożyzną znalazła się troska o środowisko naturalne. Szwajcarzy mogą obserwować gołym okiem skutki kryzysu klimatycznego – nie ma chyba bardziej dotkliwego symbolu zmian niż topniejące lodowce w Alpach.

Tym bardziej dziwić może słaby wynik w tegorocznych wyborach obu partii z zielenią w nazwie (łącznie straciły 11 miejsc w parlamencie).

– To bolesny cios – nie kryje rozczarowania Pia Hollenstein, aktywistka klimatyczna i była posłanka Zielonych. – Przesunięcie w prawo zagraża postę-

powi w ochronie klimatu. W nowej kadencji prawdopodobnie jeszcze trudniej będzie znaleźć w Bernie większość dla polityki klimatycznej zorientowanej na przyszłość i dla pilnych usprawnień na poziomie legislacyjnym. To tragiczne, że partie liberalne wciąż nie chcą zrozumieć powagi sytuacji. Czy potrzeba kolejnych katastrof, żeby większość się obudziła? – mówi „Tygodnikowi”.

Pia Hollenstein uważa, że Szwajcaria łamie prawa człowieka, nie chroniąc wystarczająco obywateli przed katastrofą klimatyczną. Ona i inne tzw. klimaseniorki (założona w 2016 r. grupa Szwajcarek po 65. roku życia) złożyły pozew przeciw państwu, ale kolejne sądy oddały ich żądania.

Zawiedzione nadzieje w kraju zaprowadziły klimaseniorki do Strasburga. Jako osoby bezpośrednio narażone na zdrowotne konsekwencje zmian klimatycznych (m.in. fale upałów), powołują się na prawo do życia i dobrego samopoczucia, gwarantowane w Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Pod koniec 2020 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka przyjął ich skargę, a wysłuchanie stron odbyło się w marcu 2023 r. Teraz klimaseniorki czekają na wyrok.

– Jestem przekonana, że Trybunał przynajmniej częściowo uzna nasz pozew. Jeżeli tak się stanie, Szwajcaria otrzyma nagane i politycy będą zmuszeni działać. Kraj chroniący prawa człowieka sam nie chciałby przecież ich łamać – mówi Hollenstein.

■ ■ ■

Choć Zieloni stracili najwięcej miejsc w nowym parlamencie, to największą przegraną tych wyborów znowu wydaje się szwajcarska demokracja. Do urn nie pofatygowala się ponad połowa uprawnionych do głosowania. Ostatni raz frekwencja przekroczyła 50 proc. w wyborach do parlamentu w 1975 r.

– Szwajcarzy mogą regularnie wypowiadać się w referendum, które dotyczą konkretnych kwestii, i to te głosowania są uważane za ważniejsze od wyborów parlamentarnych – tłumaczy tę absencję Sarah Bütikofer.

W liczącej 9 mln mieszkańców Szwajcarii prawo do udziału w wyborach i referendach na poziomie federalnym przysługuje tylko niespełna 5 mln osób. Nie mają go m.in. obcokrajowcy. ©

CHLEB NAJLEPSZYM WABIKIEM

W listopadzie 1918 roku polskie formacje mundurowe w Galicji ponosiły większe straty w walce z pospolitymi bandytami niż podczas rozbrajania austriackich garnizonów.

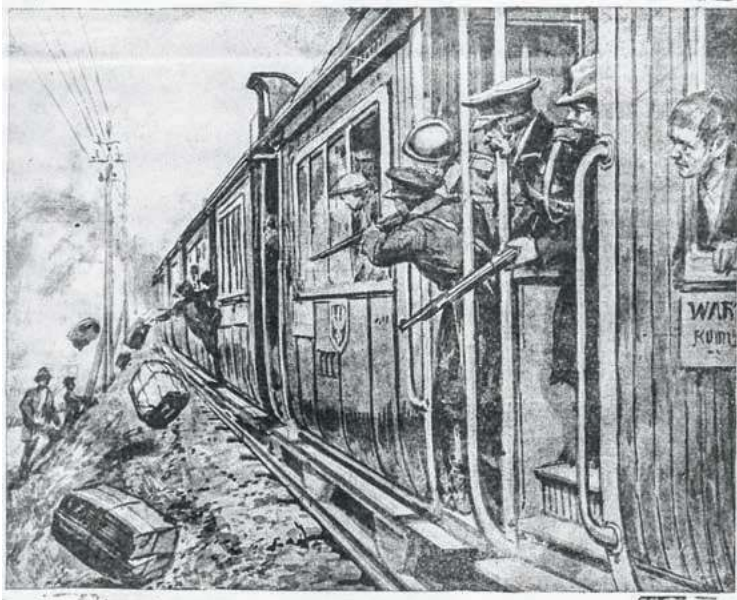
KRZYSZTOF PIĘCIAK

SCHYLEK PIERWSZEJ WOJNY ŚWIATOWEJ TO w Galicji wyjątkowo trudny czas. W zubożonych przedłużającym się konfliktem Austro-Węgrzech brakuje żywności, a ta dostępna drożeje. Wojna osłabia też skrupuły moralne – rośnie przestępczość. O ile po roku 1914 ta zmalała – do armii powołano mężczyzn w sile wieku, czyli tych, którzy statystycznie popełniają najwięcej przestępstw – o tyle od 1917 r. zwłaszcza skala rabunków gwałtownie rośnie.

Wśród polskiej ludności Galicji narastają też nastroje antywojenne i antypaństwowe. Ich kulminacją są rozruchy i demonstracje. Te w styczniu 1918 r. zaczynają się od haseł socjalnych i antywojennych, lecz już protesty

Tak jesienią 1921 r. napady bandyckie portretował rysownik tygodnika „Nowości Illustrowane” (ukazywał się w Krakowie w latach 1904-25).

*Od góry:
uzbrojona grupa plądruje pociąg osobowy,
napad na kasjera kopalni pod Zawierciem,
nocny napad na zagrodę chłopską.*



po podpisanym w lutym 1918 r. traktacie brzeskim (Niemcy i Austriacy oddali w nim nowo powstałej Ukrainie także ziemie polskie) mają charakter wprost antyaustriacki. W Galicji powszechnie uznaje się ten traktat za wymierzony w polskie aspiracje niepodległościowe. Zaufanie do monarchii Habsburgów upada, a entuzjazm z pierwszych dni Wielkiej Wojny to już tylko odległe wspomnienie.

„Zielone kadry” postrachem

W parze z upadkiem morale idą dezercje z wojska. Upada dyscyplina, mnożą się przypadki lekceważenia rozkazów, samowolnego wydłużania urlopów. Kryzys żołnierskich nastrojów pogłębia powrót – po zawarciu traktatu brzeskiego – z rosyjskiej niewoli wielkiej masy 665 tys. jeńców. Ludzie ci są niechętni temu, aby znowu iść na front. Tylko w pierwszej połowie 1918 r. w Galicji aresztowanych zostało ponad 36 tys. dezertersów.

„Dezertery, którzy się ukrywali w lasach, w okolicy Babiej Góry, byli różnej narodowości – Polacy, Słowacy, Czesi, Rusini, Węgrzy, Niemcy, nawet Moskale i wojskowi, którzy wrócili z niewoli bolszewickiej, po części uzbrojeni. Oni to zaczęli rabować przeważnie żywność (bydło, świnie, owce i ziemniaki)” – zanotuje podporucznik Stanisław Brutanek, który, stojąc na czele polskiego już plutonu żandarmerii, stara się utrzymać ład i porządek publiczny w rejonie Jordanowa.

Będąc dziełem wracających do domu żołnierzy, dezertersów i cywilów – zwanych pospół w Galicji „zielonymi kadrami” – fala bandytyzmu nie omija miast, również Lwowa i Krakowa. Dużych echem odbija się dwukrotny napad na dom Tetmajerów w Bronowicach pod Krakowem – nieudany, bo domownicy odpierają napastników ogniem karabinowym. Celem napadów są zamożniejsze gospodarstwa, karczmy, plebanie i sklepy, zwłaszcza żydowskie. Rabowana jest żywność i odzież. Ofiarami rabunków „zielonych kadr” padają też wracający z targów chłopci.

Z końcem lata 1918 r. liczebność „zielonych kadr” w Galicji szacuje się na 40 tys. ludzi. Ukrywają się – niczym bohaterowie filmu „C.K. Dezertery” – we wsiach i w lasach, a szczególnie w Puszczy Niepołomickiej, na mocno zalesionym Roztoczu i nad dolnym Sanem.

„Fale bandyckie rozlewają się”

Gdy jesienią 1918 r. monarchia Habsburgów zaczyna się już sypać, mnożą się bandyckie ataki na obiekty związane z państwem. „Zielone kadry” napadają – bywa, że z udziałem cywilów – nawet na posterunki żandarmerii. Przez Galicję idzie fala rabunków: wielu korzysta ze stanu tymczasowości, gdy władza austriacka upada, a polskiej jeszcze nie ma, i z możliwej w takich realiach bezkarności.

Oswobodzenie Małopolski spod władzy austriackiej na przełomie października i listopada 1918 r. nie zmienia nic w tej mierze. „Fale bandyckie rozlewają się po kraju” – alarmuje „Ilustrowany Kurier Codzienny” w numerze z 10 listopada 1918 r., wzywając odpowiedzialnych za porządek do zwalczania bandytyzmu. Uspokojenie sytuacji staje się jednym z najpoważniejszych problemów wewnętrznych, z którymi muszą radzić sobie nowe polskie władze.

Skalę problemu zna por. Antoni Starwarz, organizator akcji oswobodzenia Krakowa – oddział austriackiej armii, w którym służył, przeznaczono właśnie do tzw. działań asystencyjnych, tj. wsparcia władz cywilnych. Już w pierwszych godzinach swojej akcji dba o to, aby nie rozgrabiono magazynów broni ani żywności. Nie wszędzie to się udaje, zwłaszcza że większość służących w austro-węgierskiej armii Polaków zdejmując mundur i wraca do domów, zamiast wstępować w szeregi nowych polskich formacji (jest to zjawisko powszechne nie tylko wśród rodaków – także większość ukraińskich żołnierzy z armii austriackiej nie ma ochoty uczestniczyć w zaczynającej się wojnie polsko-ukraińskiej).

„Pospolitalicy uciekli” – notuje z goryczą o żołnierzach c.k. Landsturmu kapitan Kazimierz Szczepański, któremu powierzono komendę nad powiatem wielickim, w tym zadanie zabezpieczenia tułtejszych magazynów. Szczepański ma do dyspozycji zaledwie kilkunastu byłych legionistów i kilku peowiaków, a także ochotników do straży (tak zwano formację pełniącą funkcje policyjne; Policja Państwowa powstanie w 1919 r.). Samodzielnie organizują się i dbają o porządek pracownicy wielickich żup solnych.

Legalnie do domów

Potrzeby są pałace: wokół Wieliczki padają strzały, z pobliskiego Gdowa

i Dobczyc nadchodzą wieści o rabunkach. Wieliccy Żydzi proszą o wystawienie wart przed zagrożonymi sklepami i ochronę osady Klasno, zamieszkaną przez ludność żydowską. Otrzymują karabiny dla patrolu zorganizowanego z Żydów-weteranów (Szczepański notuje: „Oburzenie na mnie w mieście”). Patrole na ulicach i plotki o karabinach maszynowych, którymi ma dysponować wojsko, uspokajają nastroje.

„Chleb najlepszy wabik!” – uznaje ppor. Brutanek, szukający sposobu, jak bez rozlewu krwi pozbyć się dezertersów i bandytów z babiogórskich lasów. Wiedząc, że wielu z nich ma broń, wysyła do nich parlamentariuszy. Obiecują żywność i dokumenty – austriackie jeszcze rozkazy wyjazdu, z którymi ukrywający się ludzie różnych narodowości mogliby legalnie wyruszyć do domów. Metoda okazuje się skuteczna, a zdawana broń zasila szczupły dotąd arsenał oddziału Brutanka.

Tam, gdzie nie starcza sił policyjnych – lub gdzie w ogóle ich nie ma – teren zabezpiecza regularne wojsko. Na początku listopada oddział 40 żołnierzy uczestniczy w likwidacji bandy dezertersów niepokojących okolice Wadowic.

Szturmowcy przeciw bandytom

Sytuacja na południu Polski jest na tyle poważna, że w grudniu 1918 r. powstają specjalne lotne oddziały, niektóre wyposażone w auta (wówczas jeszcze rzadkie) i broń maszynową. Do akcji wyrusza elita: teren mają pacyfikować – tj. zwalczać „zielone kadry” i odbierać broń przechowywaną przez cywili – kompanie szturmowe, czyli doborowe oddziały, pierwotnie przeznaczone do przełamania linii wrogich okopów. Działają one m.in. w Zagłębiu Dąbrowskim, pod Bochnią i Brzeskiem oraz na obszarze tzw. republiki tarnobrzelskiej.

Czasem i tych sił nie starcza: w Kolbuszowej 6 maja 1919 r. podczas zamieszek i antyżydowskich rozruchów kilkutyśięcny tłum (jest w nim wielu weteranów wojennych) rozbraja część żołnierzy „szturmówki” z 20. pułku piechoty z Krakowa; pozostali żołnierze wycofują się i muszą czekać na posiłki.

Niejedna banda rabunkowa, zaatakowana przez policję lub wojsko, odpowiada ogniem. Jedna z takich zostaje rozbita w 1919 r. pod Cergową koło Dukli →

To fakt wyjątkowo ponury: nowe polskie formacje mundurowe ponoszą większe straty podczas starć z bandytami, dezertierami i szabrownikami różnej narodowości, niż poniosły wcześniej podczas bezkrwawego rozbrajania austro-węgierskich garnizonów w Galicji Zachodniej i ustanawiania polskiej władzy państwowej.

Galicyjski bandytyzm jest poważnym zjawiskiem jeszcze przez kilka lat po zakończeniu wojen o granice: kilkusobowe grupy rabunkowe złożone są zwy-

„Lud polski przeciw bandytom” – taki tytuł nosi barwny artykuł z ówczesnej prasy, chwalcący postawę mieszkańców podkrakowskiej wsi Korzkiew. Udaremnili oni próbę napadu na miejscową plebanię, choć mało brakowało, a dokonaliby też samosądu – tłum, zanim oddał policji

© KRZYSZTOF PIĘCIAK

Autor jest historykiem, pracuje
w Oddziale IPN w Krakowie.
Wydał m.in. „W oddziale »Babinicza«.
Działalność oddziału Konspiracyjnego
Wojska Polskiego »Jastrzębie«/»Oświęcim«
i losy jego partyzantów”. Przygotowuje pracę
o pospolitym bandytyzmie w Małopolsce
w drugiej połowie lat 40. XX w.

10 XI 2023 – 16 VI 2024



ELIZA

Kącka: Popuścić wodze talentowi



AUTOBUS 116, JAZDA W KIERUNKU uczelni. Wtaczam się z torbą na kółkach i siadam naprzeciw gościa starszego nieco, w kaszkiecie, o miłym uśmiechu. Uśmiech celuje we mnie, najpierw błędnie, ale robi się magnetyczny, gdy wyciągam notes. „Robota wre”. „Ano” – odpowiadam. „Będę w kolejnym odcinku”. U, tknęło. „A chce pan?”. „A jasne”. „No to stoi”. Zadowolony. Plac na Rozdrożu, spory transfer, stoimy. „A wie pani, że my tu siedzimy jak w książce”. „Aha?”. „No, jak bohater z tym, no, jak się nazywa ten nawijacz...”. „Narrator”. „Tak! To jest dziwne wrażenie”. „W sensie?”. „Haha, no nigdy nie siedziałem w tecksie. A zaraz będę wysiadał, jeszcze tylko jeden przystanek”.

PARK MORSKIE OKO, WCZESNY WIECZÓR 17 PAŹDZIERNIKA, ławka. Przystanek w czasie spaceru z Rudą. Ona z telefonem, ja zamykam oczy, sięgam uchem w okolicę. Na sąsiedniej ławce dwóch popija dyskretnie wino z termosu. Świętują powyborczo. „Myślisz, że oddadzą?”. „Co?”. „Władzę”. „Muszą”. „Nie”. „Masz, pij i nie gładź”. „Nie muszą”. „Andrzej! a było tak miło...”. Pauza. „Słuchaj, jest konstytucja”. „Konstytucja jest dla ludzi”. „Haha, a oni to kto?”. „Dobre pytanie”. „Andrzej, zwariowałeś, pij”. „Oni nie miną”. „Wszystko mija”. „Wszystko – tak, ale nie oni”.

DWIE W AUTOBUSIE 168. TA W KURTCE PUCHOWEJ: „A PANI córka głosowała?”. Ta w trenczu: „Tak”. „Dobrze?”. „Czyli...?”. „Tego nie trzeba Polakowi tłumaczyć”. „Ach, rozumiem”. Puchowa na irytacji: „Znaczy się: źle głosowała. Po co się wami tak ten rząd przejmuje? I jeszcze z tego nic nie ma”. „Poza cierpieniem”. Pauza. Trenczowa: „A pani córka dobrze?”. „No oczywiście!”. „Widzi pani, to jednak rodzinne”. „?”. „Bo ja też źle głosowałam”. „Niech się pani tak nie cieszy, przegraliście Polskę”. „Eee, jeśli Polska na tym dobrze wyjdzie, to ja mogę przegrać Polskę”.

DZWONI STARUSZKA OD CIŚNIENIA: „PANI ELIZO, CZY TO możliwe?”. „Ale co?”. „Głupio się pani pyta. Pamięta pani mój zakład: oni albo ja. Kto kogo przeżyje. Stawiałam na onych”. „Czyli na nich”. „Owszem, ale wolę ich sobie inaczej odmieniać. Zyskuję dla nich w ten sposób przestrzeń kosmiczną”. „Haha”. „Nie wiem, co mam zrobić ze swoją wątłą wygraną. Oduczyłam się toastów”. „Hm, nie wiem, chyba wszyscy jesteśmy zmęczeni”. „Zmęczeni? Może pani jest zmęczona. Ja potrzebuję coś zmalować, tylko nie wiem co”. „Aha”. „Tak to jest dożyć, czego nie miało się dożyć. Nie mam, jak by to powiedzieć, sali na bal”. „Hehe”.

„Zawsze gardziłam szkieletonami na andrzejki. Ale tym razem zleciłam wnukowi hurtowy zakup kościotrupów, tak mnie wzięło. Zaproszę dwie koleżanki z Żoliborza. Niech pani przyjdzie, polejemy wosk w intencji”. „Świetnie”. „Trzy staruszki i jedna wariatka”. „Że niby ja?”. „A woli się pani zamienić na fotel staruszki? Wzięłabym”.

FOLDER INNE NAGRADZA: „SZANOWNNA PANI, JEST PANI JEDNĄ z osób czytających literaturę czasem, również medialnie. Naszą specjalizacją są pochówki, jednak uważamy iż nie musimy się ograniczać na standard. Pochówek jest wydarzeniem, które długo się wspomina. Na posiedzeniu Firmy uznaliśmy iż są również ludzie potrzebujący poza słowami księdza także piękna poezji. Uważamy, że Kościołowi to nie koliduje. Chcielibyśmy zaproponować Pani napisanie szablonu mów pogrzebowych w ilości kilku. Bardzo nam zależałoby na wpleceniu cytatów z poezji lub aforyzmów. Szablony proszę dostosować do wieku i rodzaju zgonu. Szablonu na samobójstwo nie zamawiamy, gdyż Firma nasza organizuje pochówki religijne. Poza tym może Pani popuścić wodze talentowi. Temat śmierci zajmuje za mały choryzont w naszej codzienności. Chcemy ten temat poszerzyć, a ceremonie pogrzebowe są dla tego okazją. Poza zapłatą za tekst oferujemy Pani promocję 50% na dowolny pochówek. Jest ona do zrealizowania tylko w obrębie naszego powiatu w dwa lata od wejścia w życie, ale serdecznie Panią do tego zapraszamy”.

DWIE STARSZE W SZATNI PRZYBIBLIOTECZNEJ. „WIDZISZ tego młodego?”. „Z komórką?”. „Z komórką”. „No. I co?”. „A podszedł z płaszczem, ja rozmawiałam akurat z Renią, to mówię: »Sam pan się powieś«. On, że »Aha, taki zgrany dowcip«. »Hm, jaki dowcip?«. »Oj, no że powieś się w szatni«. »Nie znałam«. »A ja znałam, ale co tam. Odbiłam: »Eee, kto by pomyślał, taki młody, a taki dziaderski«. »Skąd ty takie słowa znasz?«. »Skąd? Wiadomo, od wnuczki”.

INSTYTUT ONKOLOGII, CZEKAM POD DYŻURKĄ LEKARSKĄ. Z korytarza leczenia beznadziejnych wychodzą dwie w turbanach, wspierające się na stelażach kroplówkowych. Jedna podchodzi do okna, rozpląszcza się na szybie i stuka palcami w szkło. „Co ty robisz?”. „Wypukuję melodię”. „Aluńka, nikt jej nie pozna”. „Mnie też nikt nie zna”. „Nieprawda, Aluńka, powiedz mi, co to jest za kawałek”. „Nie”. „Dlaczego nie? Może jeszcze zagraasz”. „Zagram, ale nie powiem”. „Bo?”. „Po śmierci wszystko jest anonimowe”.

SKWER CHORWACKI, PÓŹNY WIECZÓR. SIEDZĘ NA ŁAWCE, PATRZĘ W NOC, obok dwóch w stanie równie śniętym. A jednak nie możemy zasnąć, trzeba czuwać. Pierwszy: „Ta pani ma jakiś problem. Już drugą noc tu siedzi i patrzy długo w niebo. Nie ma chłopca albo jakieś szczególne zdolności”. Drugi z ławki: „A pani zawodowo co robi?”. Ja: „Wywołuję duchy, w ramach uniwersytetu”. Pierwszy: „A nie mówiłem”. Drugi: „Dobra jest”. Do mnie: „Można sobie z tym poradzić”. Ja: „Z czym?”. „Że śnimy”. Ja: „Owszem, śnimy, nie wiem, kto nas obudzi”. Drugi: „To może być okrutne”. „Tak, będzie”.

©

KWANTOWA POLSKA

NASI BADACZE WŚRÓD ELITY TECHNOLOGICZNEJ REWOLUCJI

Technologie kwantowe doprowadzą w najbliższych latach do rewolucyjnych zmian w informatyce i telekomunikacji. W ścisłej światowej czołówce badań w tej dziedzinie są polscy badacze.

Prof. dr hab. Marek Żukowski kieruje Międzynarodowym Centrum Teorii Technologii Kwantowych (ICTQT) na Uniwersytecie Gdańskim. Centrum działa w ramach programu Międzynarodowe Agendy Badawcze prowadzonego przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej i finansowanego ze środków pochodzących z funduszy europejskich z programu Inteligentny Rozwój (POIR). Prof. Żukowski, który teoretycznymi podstawami technologii kwantowych zajmuje się od lat 80., widzi w nich wielką szansę na rozwój różnych dziedzin gospodarki.

W 2022 r. Nagrodą Nobla w dziedzinie fizyki uhonorowano Johna Clausera, Alaina Aspecta i Antona Zeilingera za badania, które utorowały drogę dla technologii opartej na informacjach kwantowych. Czy ta nagroda zmieniła coś na Państwa polu badań?

PROF. DR HAB. MAREK

ŻUKOWSKI: Na pewno bardzo zmieniło się życie laureatów. Choć jeden z nich jest moim długoletnim współpracownikiem i przyjacielem, dziś jest tak zajęty, że trudno mu znaleźć czas na rozmowę.

Mam nadzieję, iż nagroda uświadomi przemysłowi i politykom, że fizyka kwantowa stała się trwałym elementem współczesnej nauki i że można z nią wiązać nadzieje także w kwestii zastosowań. To dziedzina, którą przez wiele lat właściwie pogardzano. Doskonałym przykładem może być to, że dr John Clauser, fizyk kwantowy i jeden z trzech laureatów Nagrody z 2022 r., swój pierwszy „noblowski” eksperyment przeprowadził jeszcze w 1972 r. Na Nobla czekał więc pół wieku. Profesury w USA nie doczekał się nigdy.

Jak to?

Musiał założyć własną firmę, John F Clauser Associates, by mieć adres, pod którym mógłby zdobywać granty naukowe. Żadna instytucja nie była zainteresowana tym, by prowadził swoje badania pod jej szyldem.

W Polsce też było tak trudno?

Przez lata odradzano mi zajmowanie się badaniami nad splątaniem kwantowym. Kiedy próbowałem przedstawić na seminarium swoje dość oryginalne wyniki, dopiero za trzecim razem zakończyło się bez awantury. Za pierwszym razem nie wyszedłem poza tytuł, za drugim – poza treści pierwszej strony. Zakrzykiwano mnie, że chyba zwariowałem. Było bardzo, bardzo ciężko.

Mało jest jednak dziedzin, gdzie walidacja po latach byłaby aż tak spektakularna.

Ten spektakularny sukces jest w dużym stopniu zasługą Antona Zeilingera. Badania nad splątaniem kwantowym wydobyły się ze „strefy pogardy”, w jakiej tkwiły do lat 90. Zacząłem się zajmować technologiami kwantowymi w 1987 r. Jakiś czas później zauwa-



MATERIAŁ PRASOWY

PROF. MAREK ŻUKOWSKI, fizyk teoretyk, specjalizuje się w kwantowej optyce, interferometrii i komunikacji. Opracował wraz z laureatem Nagrody Nobla (2022) Antonem Zeilingerem metody otrzymania interferencji wielu fotonów, które umożliwiły m.in. kwantową teleportację.

żył mnie prof. Zeilinger i zaprosił do Innsbrucku w charakterze profesora wizytującego.

Pracowaliśmy nad tym, jak rozszerzyć tzw. eksperymenty bellowskie, aby obejmowały interferencję trój- i więcej cząstkową. Po wielu próbach udało się nam opracować teoretyczne podstawy, które m.in. w 1997 r. pozwoliły Zeilingerowi przeprowadzić przełomowy eksperyment: kwantową teleportację. To zmieniło zupełnie obraz fizyki kwantowej. Ludzie nagle zauważyli, że daje ona szansę na rozwój bardzo interesujących technologii. To wielka zmiana, którą dokonał Zeilinger.

Po 40 latach prac badawczych teraz przechodzimy do praktycznych zastosowań. Wyjaśnijmy, dlaczego technologie kwantowe są tak istotne,

co mogą nam dać w przyszłości, a co dają już teraz.

Pierwsze zastosowania już mamy. Np. dr hab. Marcin Pawłowski, mój były doktorant, profesor Uniwersytetu Gdańskiego, razem z kolegami z uniwersytetu w Chile stworzył firmę, która produkuje kwantowe generatory liczb prawdziwie losowych. Jeden z nich wykorzystywany jest w chilijskiej loterii, która korzysta z niego zamiast z tradycyjnych kulek.

Losowość klasyczna, np. rzut monetą, jest pozorna. Bierze się wyłącznie z tego, że nie jesteśmy w stanie precyzyjnie kontrolować warunków początkowych tego ruchu. Tymczasem losowość kwantowa wynika z praw natury. Generatory liczb prawdziwie losowych są kluczowe w wielu zastosowaniach.

Na przykład?

W wielu metodach kryptograficznych potrzebujemy ciągów liczb prawdziwie losowych. Gdyby ktoś się włączył do nieszyfrowanej rozmowy, poznałby jej treść. Gdybyśmy jednak na każdy bit (bit to 0 lub 1) takiej rozmowy losowo nałożyli jeszcze jeden przypadkowy bit, wówczas przekaz wyglądałby na całkowicie przypadkowy. Jeżeli odbiorca ma kopię tego, co nałożyliśmy, to wie, który bit został zmieniony, a który nie, i wówczas może odczytać wiadomość. W kryptografii bardzo ważne jest więc, by zarówno nadawca, jak i odbiorca posiadali dwie identyczne kopie zupełnie przypadkowych liczb.

Na czym polegają szyfrogramy?

Mamy sensowną informację, np. „Ala ma kota”, a w przekazie jest np. „SERTVNOPLKMD”. Nie znając sposobu szyfrowania, nie poznamy

prawdziwej informacji. Jeśli to szyfrowanie algorytmiczne, a algorytm jest wielokrotnie używany, po pewnym czasie ktoś może nauczyć się odczytywać takie wiadomości (proszę sobie przypomnieć film o Enigmie). Jeśli jednak jest to szyfrowanie zawsze oparte na ciągu na bieżąco jednorazowo generowanych przypadkowych 0 lub 1, o takiej samej długości co kodowana wyrażona bitami wiadomość, nikt nigdy nie będzie w stanie go złamać.

Generacja liczb przypadkowych, które dzięki korelacjom Einsteina, Podolskiego i Rosena mogą być generowane jednocześnie u dwóch osób, pozwala na istnienie dwóch identycznych kopii takich ciągów liczb, co zapewnia nam całkowite bezpieczeństwo.

Gdański ICTQT jest jednym z najważniejszych w Polsce ośrodków prac nad technologiami kwantowymi.

Na czym się skupiacie?

Gdańsk był pierwszym ośrodkiem w Polsce, który na poważnie zajął się technologiami kwantowymi. Do tej pory odczuwamy tego pozytywne skutki, bo udało się nam przeprowadzić wiele fundamentalnych badań, kiedy ta dziedzina się dopiero rodziła. Nasze centrum w coraz większym stopniu zaczyna zajmować się rzeczywistymi zastosowaniami oraz budową urządzeń i sieci komunikacji kwantowych.

Jesteśmy teoretykami, więc współpracujemy z grupami eksperymentalnymi. Naszym oficjalnym partnerem jest instytut IQOQI w Wiedniu, którego założycielem jest prof. Anton Zeilinger. Współdziałamy też m.in. z Uniwersytetem Sztokholmskim, gdzie naszym przyjacielem i współpracownikiem jest prof. Mohamed Bourennane. Współpracujemy także z kilkoma firmami, które chcą wdrażać nasze rozwiązania, takie jak generatory liczb losowych, ogólne idee budowy sieci komunikacji kwantowych oraz wykorzystanie kwantowych własności w sensorach.

To wszystko „gorąca” dziedzina. Rynek technologii kwantowych do końca dekady może być wart ponad 100 mld dolarów. Jest o co walczyć.

To olbrzymia szansa dla rozwoju nauki, gospodarki i biznesu. Z racji tego, że jesteśmy w Gdańsku, chcemy nasze rozwiązania przynajmniej w pewnym stopniu ukierunkować na problematykę morską. Przykładami mogą być: bezpieczna sieć komunikacyjna farm wiatrowych czy zastosowania w infrastrukturze portowej, które będą przewyższać konwencjonalne technologie pod względem ochrony przed zakłóceniami.

Dlaczego tak istotne jest, by te badania prowadzono właśnie w Polsce?

Po pierwsze, szybko stworzyliśmy tu ekspercki zespół. Ja zajmowałem się badaniami dotyczącymi stosowania optyki kwantowej, informacji kwantowej i współpracą z grupami eksperymentalnymi, ale też jest tutaj światowej sławy rodzina Horodeckich, autorów fundamentalnych prac dotyczących teorii matematycznej splątania kwantowego.

Wprawdzie przez pierwszą ponad dekadę mojej pracy nad splątaniem mój budżet naukowy wynosił zero, ale później dostaliśmy wsparcie z FNP i Unii Europejskiej. Potem powstało Narodowe Centrum Nauki, które wprowadziło sensowną i transparentną politykę grantową. Wreszcie Fundacja na rzecz Nauki Polskiej w 2018 r. przekazała nam olbrzymi grant w ramach programu Międzynarodowe Agendy Badawczej, z którego zbudowaliśmy centrum ICTQT. Prawda jest taka, że po prostu jesteśmy dobrzy w tym, co robimy. Jeśli Pol-

ska zmarnuje tę szansę, będziemy mogli powiedzieć sobie: „miałeś chamię złoty róg”.

Po drugie, w tej chwili w dziedzinie zastosowań kwantowych jest jeszcze bardzo dużo pomysłów do wykorzystania. Start-upy, które powstałyby w Polsce czy we współpracy z Polską, mogłyby odegrać w światowej gospodarce znacznie większą rolę niż próby budowy samochodu elektrycznego.

Mamy szansę na stworzenie w Polsce „Doliny Kwantowej”?

Blisko Trójmiasta realizujemy projekt stworzenia niewielkiego laboratorium kwantowego. Ma pracować nad prototypami, które będą miały wartość rynkową. Zorientowaliśmy się, że planowane miejsce jest przy ulicy Krzemowej. Może to dobry znak.

Co nam mogą dać te technologie w perspektywie np. pięciu lat?

Za jakieś pięć lat mogą już istnieć pewne długodystansowe łącza kwantowe, które będą wykorzystywane do przekazywania informacji najwyższego stopnia poufności. Kwantowe generatory liczb losowych będą łatwo dostępne na rynku. Każdy będzie mógł sobie kupić takie urządzenie, podłączyć do komputera i mieć prawdziwą losowość. Nasz kampus położony jest blisko centrum finansowo-biznesowego „Olivia”, gdzie znajduje się mnóstwo biurów. Sądzę, że to właśnie w takich miejscach powinny powstawać łącza kwantowo kryptograficzne, zapewniające całkowite bezpieczeństwo przekazu.

To będzie faktycznie taki przełom, który każdy w jakiś sposób odczuje?

Każdy odczuje, choć nie każdy będzie go świadomy. Ludzie nie są świadomi tego, jak działa telefon komórkowy. Bardzo możliwe, że krótkie, istotne wiadomości, np. PIN-y czy hasła, będą szyfrowane kwantowo. Będzie to zapewniać najlepsze możliwe bezpieczeństwo. ©

Program Międzynarodowe Agendy Badawczej jest realizowany przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej ze środków funduszy strukturalnych w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój (POIR) 2014–2020, Działanie 4.3. Międzynarodowe Agendy Badawczej.



Więcej o wynikach badań z polskich laboratoriów w raporcie pt. „Nauka w czasach przemian. Jak badania finansowane z Funduszy Europejskich pomagają chronić nas przed globalnymi zagrożeniami i wykorzystywać historyczne szanse”: www.fnp.org.pl

DZIEDZICTWO ÖTZIEGO

Nikt inny nie przysłużył się mocniej nauce swoją śmiercią.
Dzięki jego zwłokom lepiej rozumiemy epokę, w której doszło
do największych przemian w dziejach ludzkości.

ŁUKASZ KWIATEK

ÖTZI UMIERAŁ KRÓTKO I SAMOTNIE. W pobliżu musiał znajdować się jego zabójca, ale chyba nie podszedł do swojej ofiary. Może na górskim lodowcu zrobiło się niebezpiecznie – a może nie chciał patrzeć z bliska na człowieka, któremu strzelił z łuku w plecy. W każdym razie zabójca nie ograbił zwłok – dziwi zwłaszcza to, że nie zabrał toporka z miedzianym ostrzem. W środkowej Europie sprzed 5,3 tys. lat, kiedy doszło do tych wydarzeń, toporek musiał być technologiczną nowinką.

Oto człowiek

Może więc to konający Ötzi sam jeszcze wyszarpał promień strzały, która przebiła mu lewą ramię, przecinając jedną z tętnic. Nie miał szans zatrzymać krwotoku – nawet współczesnym lekarzom mogłoby się to nie udać – ale zdołał na dekadę zmylić naukowców. Dopiero tomografia wykonana w 2001 r. pokazała, że w jego ciele nadal znajduje się dwucentymetrowy krzemienisty grot. Wcześniej przypuszczano, że Ötzi mógł zginąć w wyniku upadku czy wyziębienia, albo że złożono go w ofierze podczas religijnej ceremonii.

Na z mumifikowane w lodzie i świetnie zachowane ciało – najstarsze takie znalezisko w historii – natknęła się w 1991 r. para niemieckich wspinaczy pod szczytem Similaun w Alpach Ötz-

talskich, od których Ötzi wziął swoje imię. Zdjęcie wysuszonych zwłok obiegło wówczas świat, podobnie jak artystyczne rekonstrukcje, przedstawiające go jako podstarzałego mężczyznę o jasnej skórze i długich włosach.

W ciągu trzech dekad badań Ötziemu poświęcono kilkadziesiąt publikacji. Dziś wiemy, że dożył ok. 45 lat i był, jak na dzisiejsze standardy, raczej drobnym mężczyzną: ważył ok. 50 kg przy 160 cm wzrostu. Miał wysportowaną sylwetkę, jak przystało na człowieka, któremu nie groził siedzący tryb życia, choć pod koniec swoich dni nie był okazem zdrowia. Miał zwyrodniałe stawy, ślady złamań wielu kości i płuca poczerniałe od dymu, który musiał wdychać, przesiadując przy ogniu. Zęby miał już w opłakanym stanie, a skórę – pokrytą 61 geometrycznymi tatuażami z węgla drzewnego (przypuszcza się, że mogły łagodzić ból) – pogryzły mu pchły. W żołądku toczyła się infekcja bakteryjna, w jelitach zaległy się pasożyty. Jakby tego było mało, Ötzi jest także pierwszym znanym w historii medycyny człowiekiem zakażonym bakteriami *Borellia*, choć nie jest jasne, czy doprowadziły one u niego do którychś z wielu objawów boreliozy.

Gotowy na wszystko

Archeologów najbardziej ucieszył fakt, że w lodzie zachowały się nie tylko zwłoki

Ötziego, ale także należące do niego przedmioty, które dały nam niespotykany wgląd w codzienne życie naszych przodków. Jego ubranie wykonano z płót skóry zwierząt – głównie udomowionych kóz i owiec – zszytych zwierzęcymi ścięgnami. Ötzi otulał się płaszczem sięgającym do kolan, wokół bioder owijał długi pas, do którego przywiązana była niewielka sakiewka z podstawowymi narzędziami – m.in. kamiennym zgrzebłem, szydłem wykonanym z kości oraz drewnianym przyrządem do retuszu (precyzyjnej obróbki narzędzi), zakończonym twardym kawałkiem zwierzęcego rogu. Posiadał też krzemienisty sztylet.

Nogi chroniły mu dwie osobne nogawice, przywiązane do paska. Nosił skórzaną bieliznę i misternie wykonane buty – splecioną z lipowego łyka siatkę pokrywało kilka warstw skóry, a izolację zapewniała warstwa suchej trawy. Na głowę zakładał czapkę z niedźwiedziej skóry, co mogło wskazywać na jego umiejętności łowieckie i odwagę, lub na wysoki status społeczny, jeśli sam jej nie zdarł z ofiary. Miał przy sobie także matę splecioną z trawy – dodatkowe okrycie lub posłanie. Wszystkie elementy stroju były zużyte i nosiły ślady wielokrotnego naprawiania.

Rekonstrukcja Ötziego
autorstwa Alfonsa i Adriege Kennisów.



W pobliżu ciała znaleziono pęk skórzanych sznurków przełożonych przez otwór wydrążony w kamieniu, które mogły służyć do przywiązywania mniejszych zwierząt, a także kołczan z 20 strzałami. Dwie z nich zakończone były grotami, które najwyraźniej były wielokrotnego użytku. Nie wiemy, co stało się z jego poprzednim łukiem – śmierć zastała Ötziego w trakcie wyrobienia nowego.

Swój dobytek przenosił w dużym plecaku, po którym ostał się kawałek drewnianej ramy, oraz w dwóch mniejszych pojemnikach z kory brzoźowej. W jednym z nich trzymał zestaw do szybkiego rozpalania ognia – kawałki żarzącego się węgla drzewnego owinięte w świeże klonowe liście. Miał też podręczną apteczkę – dwa kawałki pniarka brzoźowego. W 2017 r. zespół Małgorzaty Pleszczyńskiej z UMCS w Lublinie ustalił, że ekstrakt z tego grzyba mógł być wykorzystywany do zwalczania pasożytów jelitowych.

Z kolei w 2018 r. badacze z prywatnego Instytutu Badania Mumii w Bolzano – tego samego miasta, w którym znajduje się muzeum Ötziego – opisali jego obfity, ostatni posiłek, spożyty jakąś godzinę przed śmiercią, którego resztki zachowały się w wysuszonym żołądku. Składał się z dużej ilości koziego tłuszczu, kawałków mięsa jelenia – prawdopodobnie wcześniej ususzonego – oraz pszenicy samopszy i liści paproci orlicy. Ta ostatnia jest zwykle opisywana jako roślina trująca, choć bywa spożywana m.in. w Korei i Japonii – namoczenie usuwa z niej część toksycznych substancji i może pomagać na infekcje.

Ostatnia podróż

Wiele spekulowano na temat profesji Ötziego i powodów, dla których stracił życie. Był wędrownym szamanem, który zapuścił się na obce tereny i nie został dobrze przyjęty? Handlarzem? Myśliwym? Hutnikiem? Awanturnikiem? A może wszystkim po trochu?

Na pewno był człowiekiem, który potrafił zadbać o siebie – polował, wyrabiał i naprawiał narzędzia, może nawet metalowe, pokonywał trudny teren, walczył. Kilka dni przed tym, jak wykrwawił się na lodowcu, w dużo

niższych partiach Alp Ötzi znalazł się w pobliżu innych ludzi, a po tym spotkaniu została mu pamiątka w postaci głębokiego nacięcia na prawej dłoni. Andreas G. Nerlich i współpracownicy – autorzy rozdziału poświęconemu zdrowiu Ötziego w wydanym w 2020 r. podręczniku badań nad mumiami – twierdzą, że takie rany są typowe dla sytuacji, gdy ktoś zasłania się dłonią przed ciosem sztyletem. Na jego głowie widać także ślady świadczące o upadku – być może spowodowanym śmiertelnym postrzałem – albo innej stoczonej walce, w której oberwał tym narzędziem.

Jedno z tych starć mogło być powodem, dla którego Ötzi w ostatnich godzinach życia wspiął się na wysokość ok. 3200 m. n.p.m. Trasa jego wędrówki, zrekonstruowana dzięki analizie śladów organicznych roślin, które osiadły na jego ciele i ubraniach, sugeruje, że mógł szukać schronienia w trudnym terenie. Jeśli zabójca ruszył jego tropem z zamiarem zemsty, a nie rabunku, to wyjaśniłoby się pozostawienie w górach cennego toporka. Może więc także i Ötzi mógł mieć czyjeś życie na sumieniu? W taki scenariusz wierzył archeolog Tom Loy – w 2003 r. szkalował dobre imię Ötziego w australijskich mediach, głosząc, że na jego ubraniach i narzędziach znalazł ślady krwi czterech osób. Nigdy nie opublikował jednak na to dowodów, a niedługo potem sam zmarł. Do dzisiaj mordercza natura Ötziego nie została empirycznie potwierdzona.

W 2002 r. w próbkach włosów znalezionych przy mumii wykryto ślady arsenu. To metal często występujący w rudzie miedzi. Takiego sygnału oczekiwaliśmy od kogoś, kto trudnił się obróbką metalu, ale trudno ocenić, jak wiele czasu Ötzi poświęcił temu zajęciu. Wiemy, że całe życie spędził w tym samym regionie, a to podważa inny scenariusz, iż był pionierem nowej technologii, wywodzącej się z odległych krain, który wszedł w konflikt z miejscowymi, ponieważ posługiwał się czymś tajemniczym i niespotykanym. Jego miedziany toporek jest jednak faktycznie niespodziewanym znaleziskiem – archeolodzy sądzili, że obróbka metalu dotarła do środkowej Europy setki lat później.

→ Zrozumienie, kim był ten człowiek, utrudnia fakt, że wiele starszych badań trzeba powtarzać – ze względu na rozwój nowych metod. Tak jest choćby z analizami genetycznymi. Kilka tygodni temu zespół Johannes Krausego z Instytutu Antropologii Ewolucyjnej im. Maxa Plancka w Lipsku wykazał, że pierwsze badanie genomu Ötziego (z 2012 r.) zawierało wiele zanieczyszczeń. Okazało się m.in., że Ötzi nosił mutacje powiązane z ciemniejszą karnacją i łysieniem. Artystyczne rekonstrukcje trzeba więc będzie wykonać od nowa.

Ciekawym odkryciem jest brak u niego genów pochodzących od przybyszów z eurazjatyckich stepów z okolic Morza Czarnego i Kaspijskiego, a takie pochodzenie Ötziego – kłopotliwe do wyjaśnienia ze względu na znane nam daty wielkich migracji – sugerowała wcześniejsza analiza. Zespół Krausego wykazał za to ok. 92-procentowe podobieństwo genetyczne Ötziego do populacji anatolijskich rolników.

Zderzenie światów

Nasi przodkowie przez miliony lat żyli jak ludzie: wędrowali po sawannach i lasach, gdzie podkradali drapieżnikom padlinę, a z czasem sami nauczyli się polować, zbierali także owoce, bulwy czy owady. Mieszkańcy Bliskiego Wschodu ok. 11 tys. lat temu wyrzekli się tego naturalnego dla nas stylu życia i przyjęli całkowicie nam obcy. Pobudowali osady, a swoją dietę zamienili na wegetariańską – spożywali głównie uprawiane rośliny i produkty mleczne.

Tę zmianę umożliwiły czynniki od nas niezależne – klimat się ocieplił, co sprzyjało rozprzestrzenianiu się dzikich zbóż, których ziarnami dało się najeść. Nie trzeba więc było uganiać się za zwierzyną – ale zmiana musiała się też wiązać z jakąś świadomą decyzją. W sąsiedztwie bliskowschodnich pierwszych rolników nadal żyli łowcy-zbieracze, a obie grupy wywodziły się z tej samej genetycznej populacji.

Ok. 8 tys. lat temu ten nowy styl życia dotarł do Europy. Nie była to zmiana czysto kulturowa – rolnictwo nie zo-



Mumia Ötziego w pozycji, w jakiej została znaleziona. Nałożenie zwłok wpłynęło na procesy geologiczne.

Ötzi miał wysportowaną sylwetkę, ale u kresu życia nie był okazem zdrowia.

Miał zwyrodniałe stawy, ślady złamań wielu kości, płuca poczerniałe od dymu i całą masę infekcji.

stało podpatrzone u azjatyckich sąsiadów przez europejskie grupy koczowniców, wówczas dość jednorodne genetycznie. To rozmnażający się szybko rolnicy z Anatolii przywędrowali do Europy i w ciągu kilku tysięcy lat ją opanowali – w tym okresie gwałtownie zmienia się struktura genetyczna europejskiej populacji. Wraz z rolnikami przybyły nowinki techniczne, m.in. ceramika. Anatolijczycy odróżniali się także kolorem skóry – mieli ją jaśniejszą niż łowcy-zbieracze, choć i tak ciemniejszą niż współcześni mieszkańcy kontynentu. Tę zmianę wywołała nowa dieta. Rolnicy rzadziej zjadali mięso czy ryby bogate w witaminę D,

dlatego musieli pozbyć się ze skóry pigmentu. Chroni on skórę przed promieniowaniem słonecznym, ale także ogranicza w organizmie samodzielne wytwarzanie tej witaminy.

Geny łowców-zbieraczy jednak nie zniknęły – do dzisiaj znajdujemy je u mieszkańców Europy. Na trudnych w uprawie terenach (m.in. w Skandynawii) jeszcze przez tysiące lat dominowali łowcy-zbieracze, dochodziło także do krzyżowania się przedstawicieli obu populacji i stylów życia. Co ciekawe, w potomstwie mieszanym, którego szczątki znaleziono m.in. w jaskini Blätterhöhle w Niemczech, nie zachowało się mitochondrialne DNA rolników. Te geny dziedziczone są tylko w linii żeńskiej, a zatem taki sygnał świadczy o tym, że łowczyńie-zbieraczki wiązały się z rolnikami, ale myśliwi nie potrafili uwieść córek rolników.

Nie jest jasne, dlaczego wywodzący się z Anatolijczyków Ötzi poniósł mało rolniczą śmierć na lodowcu. Może odezwała się u niego natura odległych przodków łowców-zbieraczy? A może żył na granicy tych światów? Wiemy za to, że kilkaset lat po jego śmierci w Europie doszło do kolejnej olbrzymiej zmiany populacyjnej – i kulturowej. Ok. 4800 lat temu z azjatyckich stepów nadciągnęły potężne zastępy pasterskich plemion, niosących nowy styl życia, nowe wynalazki – m.in. wozy ciągnięte przez konie – a także języki praindoeuropejskie i nową pulę genów, które zostawiły jeszcze większy ślad we współczesnej Europie niż ta pochodząca od anatolijskich rolników oraz łowców-zbieraczy. Po Anatolijczykach pozostały izolowane enklawy, m.in. na Krecie, Sardynii i Korsyce. Ich niezmaconym dziedzictwem może być też język baskijski.

Możliwe, że rolnicy zwyczajnie nie byli w stanie oprzeć się najazdowi pasterzy. Według Krausego bardziej prawdopodobne jest to, że niedługo wcześniej populację Europy zdziesiątkowała epidemia dżumy. Gwałtowne wyludnienie mogłoby tłumaczyć, dlaczego znamy niewiele stanowisk archeologicznych mających 4,8-5 tys. lat.

Krótko po śmierci Ötziego w Europie doszło do zderzenia dwóch nowych stylów życia: osiadłego-rolniczego i koczowniczego-pasterskiego. Z tego zderzenia narodziła się nasza cywilizacja.

© ŁUKASZ KWIATEK



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK SPECJALNY

„TP” 46/2023

„Kaplica Sykstyńska.
Dziedzictwo”

Kaplica Sykstyńska

*Jak powstawało i co prezentuje
przełomowe arcydzieło, które zobaczymy
na immersyjnej wystawie w Warszawie*

MAGDALENA ŁANUSZKA

**Freski Michała Anioła na wyciągnięcie ręki.
Po raz pierwszy w historii z taką pieczołowitością
i rozmachem odwzorowano całe wnętrze Kaplicy Sykstyńskiej.**

➔ **P**onad 600 lat temu, 21 lipca 1414 r., w Republice Genui rodzi się jeden z najgorszych papieży w historii Kościoła. Jego matce, jeszcze w czasie ciąży, śni się, że święci Franciszek oraz Antoni Padewski wręczają dziecku franciszkański habit. I rzeczywiście: w wieku niespełna 9 lat Francesco della Rovere zostaje oblatem klasztoru w Savonie. Nowicjat rozpoczyna w wieku lat 14. Dalsze studia przynoszą mu tytuły doktora filozofii i teologii. Jako erudyta zasłynie, gdy w debacie z dominikanami, na oczach papieża Piusa II, zaprezentuje błyskotliwy wywód o Krwi Chrystusa. W wieku 50 lat della Rovere zostaje generałem zakonu franciszkanów, trzy lata później – kardynałem, a po nagłej śmierci papieża Pawła II w roku 1471 – papieżem. Przyjmuje imię Sykstusa IV.

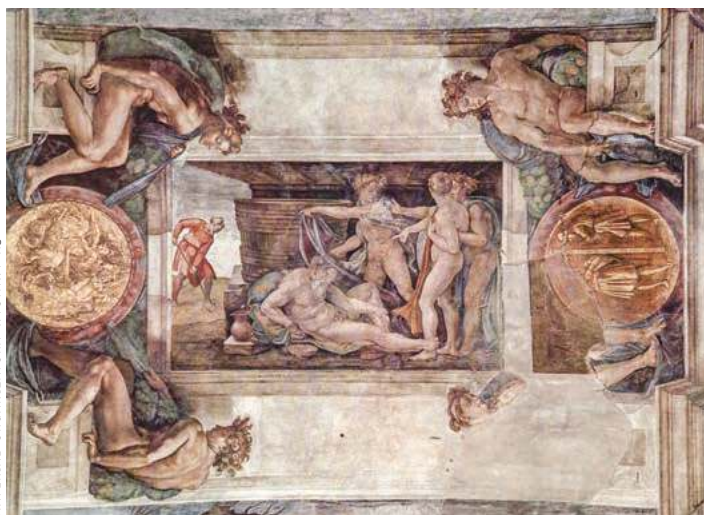
Pierwsze konklawe i ważne zlecenie

Sykstus IV słynie z symonii i nepotyzmu – otacza się bratankami, siostrzeńcami i dalszymi krewnymi, którym rozdaje kościelne godności. Krążą plotki o jego wybujałym życiu erotycznym. To pod opieką tego papieża rozwija się hiszpańska inkwizycja. Sykstus wprowadza także sprzedaż odpustów, więc można uznać, że przyczynia się do rozwoju reformacji. Żyje jak świecki władca, wikłając się w polityczne konflikty, a środki na wystawny tryb życia czerpie m.in. z opodatkowania prostytucji. Wydaje bulle akceptujące pozyskiwanie przez Europejczyków – drogą podboju lub handlu – niewolników z Afryki.

Pamięć o papieżu Sykstusie IV przetrwa jednak w pozytywnym kontekście – jego imię nosi najśłynniejsza kaplica Watykanu: Kaplica Sykstyńska.

Przed wszystkim papież starannie planuje program dekoracji. Służy on gloryfikacji instytucji papiestwa: stąd portrety ponad trzydziestu następców św. Piotra (wszyscy to święci męczennicy – do dziś zachowało się 28 wizerunków). Dolne części dekoracji ścian zajmują iluzjonistycznie malowane draperie i elementy architektury, co jest zgodne z antycznymi tradycjami malowideł ściennych. Jesteśmy w końcu w Rzymie epoki renesansu – starożytność jest wzorcem doskonałości.

Malowidła tworzą m.in. Domenico Ghirlandaio, Sandro Botticelli, Pietro Perugino, Cosimo Rosselli. Sześciu scenom na ścianie południowej, ukazującym



MATERIAŁ ORGANIZATORA WYSTAWY X3



wydarzenia z udziałem Mojżesza, odpowiada sześć scen z życia Jezusa na ścianie północnej. Nie zachowały się cztery oryginalne kompozycje na ścianach wschodniej i zachodniej (dwie sceny zostały zakryte przez dodany później Sąd Ostateczny, dwie po drugiej stronie zaś znacząco przemalowane w latach 70. XVI w.). To bardzo popularne od średniowiecza zestawianie Starego i Nowego Testamentu: Mojżesz funkcjonuje tu jako prefiguracja Chrystusa, a zarazem obydwoj są dawcami Prawa – starego i nowego.

Malarze zaproszeni do stworzenia dekoracji dbają o to, by ich kompozycje zawierały wszystkie elementy, które dziś zwykliśmy kojarzyć z renesansem: proporcje postaci zgodne z antycznymi kanonami, perspektywę powietrzną (im další plan, tym bardziej jego kolor zbliża się do błękitu nieba) i oczywiście zbieżną perspektywę linearną, szczególnie czytelną w starannie wykreślonych antykizujących formach architektonicznych.

Rok po odprawieniu pierwszej mszy w swojej nowej kaplicy papież Sykstus IV umiera. Na tronie piotrowym zasiada Giovanni Battista Cibo, czyli Innocenty VIII. Następne konklawe – w roku 1492 – jest pierwszym, które odbywa się w Kaplicy Sykstyńskiej. Papieżem zostaje wówczas Rodrigo Borgia, niesławny Aleksander VI. Po nim w roku 1503 następuje bardzo krótki (zaledwie 26-dniowy) pontyfikat Piusa III. Następnie zaś papieżem wybrany zostaje Giuliano della Rovere, bratanek Sykstusa IV, jako Juliusz II. Ma on bardzo ambitny zamił budowy zupełnie nowej Bazyliki św. Piotra – w tym celu burzy starą, pochodzącą jeszcze z czasów Konstantyna Wielkiego.

W nowej świątyni ma się znaleźć monumentalny nagrobek Juliusza II, do którego wyrzeźbienia zostaje zatrudniony Michał Anioł Buonarroti. Plan ten nie zostaje ostatecznie zrealizowany, tymczasem artysta otrzymuje inne zadanie – wykonania malowideł na sklepieniu Kaplicy Syk-



styńskiej. Podejmuje się go niechętnie: woli rzeźbić, niż malować. Koniec końców tworzy (w latach 1508-1512) przełomowe arcydzieło, uważane za jedno z największych artystycznych osiągnięć ludzkości.

Od stworzenia świata po słabości Noego

Sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej zdobią przedstawienia starotestamentowe, interpretowane w kontekście zapowiedzi zbawienia. Główny cykl scen to opowieść o początkach świata i grzechu pierworodnym: od stworzenia świata (Bóg oddziela światło od ciemności; Bóg stwarza Ziemię z roślinnością, Słońce i Księżyc; Bóg oddziela ląd od morza), poprzez słynne stworzenie Adama, stworzenie Ewy, grzech pierworodny i wygnanie z raju, aż po ofiarę Noego, potop i opilstwo Noego. Sceny te otaczają wizerunki starotestamentowych proroków i antycznych sybilli (wieszczek), a także starotestamentowych przodków Chrystusa.

Obok: środkowa część „Sądu Ostatecznego” Michała Anioła Buonarrotiego (Kaplica Sykstyńska, 1536-1541), z postacią Chrystusa w centrum. W prawym dolnym rogu widoczny św. Bartłomiej, w którego skórze artysta miał zawrzeć swój autoportret.

Po lewej u góry: fragment dekoracji sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej (Michał Anioł, 1508-1512) ze scenami Grzechu pierworodnego i Wygnania z raju. Wąż ma postać kobiety – to apokryficzna Lilith.

Po lewej poniżej: Pijaństwo Noego (fragment dekoracji sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej): śpiącego Noego przykrywają jego dwaj synowie, podczas gdy trzeci naśmiewa się z ojca.

W pendentywach w narożach sklepienia zobaczymy cztery sceny: Ukazanie Hamana (przeciwnika Izraelitów, powieszono go dzięki działaniu Estery – na cześć tego wydarzenia obchodzone jest żydowskie święto Purim), węża miedzianego (powieszony na palu przez Mojżesza po tym, jak buntujący się Izraelici zostali ukarani plagą jadowitych węży; ktośkolwiek z ukąszonych spojrzął na miedzianego węża, pozostawał przy życiu), śmierć Goliata z ręki Dawida oraz Judytę, która ucina głowę Holofernesowi.

Dwie pierwsze sceny (śmierć Hamana i miedziany wąż) funkcjonowały jako prefiguracje Ukrzyżowania Chrystusa; natomiast śmierć Goliata i Holofernesa to przedstawienie triumfu dobra nad złem, gdzie słabszy bohater (Dawid i Judyta) pokonuje dzięki wsparciu Boga silniejszego przeciwnika.

Niesłychanie ważnym elementem dekoracji jest iluzjonistycznie malowana architektura. Na sklepieniu Michał Anioł domalował gurdy (pasy sklepienne) oraz obramienia istniejących lunet. Na tle owej „architektury”, malowanej w skali szarości i beżu, znakomicie imitującej kamienne dekoracje, artysta umieścił kolorowe postacie. W ten sposób cała konstrukcja sklepienia wydaje się odmaterializowana – widzimy, że rzekomo kamienne elementy są malowane, ale nasze oko traci rozeznanie, co jest iluzją, a co rzeczywistą formą architektoniczną. W efekcie ciężkie sklepienie kaplicy ulega niemalże dematerializacji.

Pośród scen ukazanych na sklepieniu najsłynniejsze jest niewątpliwie stworze-

nie Adama. Pod pewnymi względami ciekawsze są jednak przedstawienia grzechu pierworodnego i opilstwa Noego. Przyjrzyjmy się im.

Dwie żony Adama

Biblijny opis grzechu pierworodnego mówi, że wąż skusił Ewę, ona zaś dała zakazany owoc Adamowi. W malowidle Michała Anioła wężem jest kobieta – i nie jest to mizoginistyczny pomysł artysty, lecz przedstawienie ugruntowane w średniowiecznej tradycji. Oto bowiem, wedle legend, w zdradzieckiego węża wcieliła się... pierwsza żona Adama, Lilith. Opowieści o niej krążyły w piśmiennictwie żydowskim już w pierwszym tysiącleciu, badacze wiążą jej postać z mezopotamskim żeńskim demonem. W judaistycznym folklorze Lilith funkcjonowała jako upiórzyca, powodująca śmierć noworodków i kobiet w połoгу. Jej odpowiednikiem w mitologii greckiej była Lamia, także uważana za półwęża.

Pomysł, że Adam miał przed Ewą inną kobietę, wynika z niespójności tekstu Księgi Rodzaju. Opowieść o stworzeniu człowieka, sklejona zapewne z różnych ustnie przekazywanych wersji, najpierw wspomina, że Bóg stworzył naraz mężczyznę i niewiastę (Rdz 1, 27), a potem dopiero podaje, że po stworzeniu mężczyzny z jego żebra stworzył niewiastę (Rdz 2, 22). Stąd można było wyciągnąć wniosek, że Adam najpierw miał u swego boku kobietę stworzoną wraz z nim (Lilith), a potem dopiero zastąpiła ją kolejna, stworzona z jego żebra (Ewa). Legenda mówi, że Lilith odmówiła zaakceptowania wyższości Adama, ponieważ zostali przez Boga powołani do życia razem i na równych prawach. Odeszła, a Adam poprosił Boga o nową towarzyszkę, która tym razem – jako utworzona z żebra Adama – miała jasno określona niższą pozycję w społecznej hierarchii. Zemstą wzgardzonej Lilith było doprowadzenie Adama i Ewy do popełnienia grzechu pierworodnego.

Inną dość popularną w sztuce dawnej, a dziś już nieco zapomnianą biblijną sceną jest opilstwo Noego (Rdz 9, 20-27). Po Potopie Noe zasadził pierwszą winnicę – zanim zrobił pierwsze wino musiało minąć nieco czasu, ale Noe miał go dużo, gdyż, jak mówi Biblia, zmarł w wieku lat 950. Napiwszy się wina zbyt wiele, patriarcha zasnął nagi w namiocie. Zobaczyć go →

→ syn Cham i poszedł powiedzieć o tym braciom, nie okazując ojcu należytego szacunku.

Bracia – Sem i Jafet – zachowali się inaczej: weszli do namiotu tyłem, aby nie patrzeć na nagość ojca, i przykryli go płaszczem. Po przebudzeniu (zapewne z nie małym kacem), na wieść o tym, jak zachował się jeden z jego potomków, Noe przeklął Kanaana, który był synem Chama. Ta opowieść tłumaczyła, dlaczego Izraelici pogardzali Kananejczykami. W średniowieczu uważano, że po-

tomkowie Chama i Kanaana to ludy mu-
zułmańskie.

Scena opilstwa Noego w realizacji Michała Anioła ma poważny mankament: ponieważ wszyscy bohaterowie są nadzy, gubi się nieco sens tej opowieści. Z nagością we freskach w Kaplicy Sykstyńskiej były zresztą osobne – i to niemałe – problemy.

Męskie akty i Sąd Ostateczny

Michał Anioł Buonarroti był artystą doskonale znającym twórczość artystów

starożytnych, greckich i rzymskich. Przemawiała do niego idea eksponowania piękna nagiego ludzkiego ciała, szczególnie męskiego (kobiety ukazywał w formach wyjątkowo zmaskulinizowanych). Obsesyjnie studiował anatomię, precyzyjnie oddając każdy mięsień wyidealizowanych postaci. Zarzucana mu często dysproporcja w ukazywaniu genitaliów (są one bardzo małe w stosunku do innych części ciała) też jest zresztą osadzona w tradycjach antycznych: wedle Greków i Rzymian wielkie przyrodzenie było



Wizualizacja sali wystawowej

„Kaplica Sykstyńska. Dziedzictwo”. Światowa premiera wyjątkowej wystawy

WIECZORAMI, gdy tłumy zwiedzających opuszczają Kaplicę Sykstyńską, w jej wnętrzu ostrożnie rozstawiają rusztowania. To na nich umieszczono specjalnie skonstruowany dla tego projektu przez firmę Canon, niezwykle precyzyjny sprzęt fotograficzny. Przedsięwzięciem kierowali wybitni włoscy specjaliści. W ten sposób – pod patronatem władz Watykanu i Muzeów Watykańskich – w trakcie kilkudziesięciu nocy powstało ponad 270 tys. zdjęć, które oddają szczegóły

fresków Michała Anioła w skali 1 do 1. Zdjęcia zostały następnie połączone, dzięki czemu zyskałoby odwzorowanie wnętrza Kaplicy Sykstyńskiej, ze wszystkimi jej detalami, przy zachowaniu zgodności kolorów z oryginałem na poziomie 99,7 proc.

WYSTAWA, która powstała na bazie tych fotografii, jest niezwykle – po raz pierwszy w historii wystaw immersyjnych mamy do czynienia ze spektaklem, który ma swój scenariusz i dynamikę.

W pierwszym pomieszczeniu – otwieramy je już 18 listopada w Warszawie – zwiedzający zobaczą film dokumentujący powstanie wystawy, wywiady z jej organizatorami i twórcami, w tym fotografami, a także unikalne repliki najstojniejszych rzeźb Michała Anioła: Piety i Dawida.

W KOLEJNYM pomieszczeniu znajduje się ogromna sala kinowa, w której po raz pierwszy w Europie wykorzystano ogromny ekran diodowy o wymiarach: 20 m szerokości i 4 m wysokości. Wyświetlany na nim film rozpoczyna się od prezentacji rozgwieżdżonego nieba, które zastał w Kaplicy Sykstyńskiej Michał Anioł przed rozpoczęciem prac. W tej samej sali poznajemy historię powstania kaplicy, ciekawostki z nią związane oraz proces twórczy mistrza.

TEN AUTORSKI FILM jest właściwym wstępem do nowatorskiego i najbardziej zaawansowanego technologicznie spektaklu immersyjnego, który czeka na zwiedzających w kolejnym pomieszczeniu, będącym prawie

pełnoskalowym odwzorowaniem całej Kaplicy. To tam zapoznajemy się ze szczegółami wszystkich dzieł Sykstyńskich w dużych zbliżeniach, a także z niezwyklej iluminacją dzięki ekranowaniu równocześnie sufitu i ścian, przy pomocy prawie 50 najwyższej klasy projektorów laserowych. Co ważne – towarzyszyć temu będą również poruszające efekty dźwiękowe, a nawet... zapachowe.

NIGDY nie mieliśmy okazji doświadczyć czegoś takiego na miejscu w Watykanie, mając freski 20 metrów nad głowami. Na wystawie „Kaplica Sykstyńska. Dziedzictwo” zagłębimy się nie tylko w obrazach mistrza włoskiego renesansu. Naszą intencją jest, żeby obecność na wystawie była dla Państwa zarówno przeżyciem emocjonalnym i estetycznym, jak i duchowym.

© Opowiadał **BARTŁOMIEJ FELUŚ**, Dom Emisyjny Manuscriptum, organizator.

Otwarcie wystawy:
18 listopada 2023 r.
Bilety: Eventim.pl

PARTNERZY WYSTAWY:

cechą istot dzikich i rozpustnych, np. półzwierzęcych satyrów. Idealną postać ludzką natomiast miało charakteryzować fizyczne piękno uosabiające doskonałość duchową, w tym także panowanie nad popędami.

Papież Juliusz II był miłośnikiem sztuki antycznej. Nie uważał zatem męskich aktów za nieprzyzwoite. Jego ostatecznie niezrealizowany przez Michała Anioła nagrobek miały zdobić m.in. erotyczne figury spętanych nagich niewolników. Można zatem założyć, że podobały mu się przedstawienia na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Z czasem jednak zaczęły one być postrzegane jako problematyczne. Do tego doszedł jeszcze bardzo drastyczny Sąd Ostateczny.

Ćwierć wieku po namalowaniu dekoracji na sklepieniu Kaplicy Michał Anioł stworzył bowiem kolejny słynny fresk w tym samym wnętrzu: scenę Sądu Ostatecznego (1536-41). To dzieło ma zupełnie inny charakter artystyczny – o ile malowidła sklepienia reprezentują harmonijny i wyidealizowany renesans, o tyle dynamiczny, skłębiony i agresywny „Sąd Ostateczny” to raczej dzieło manierystyczne: perfekcyjne mięśnie postaci rozrosły się do groteskowych rozmiarów, a w gestach i wyrazach twarzy dostrzec możemy mnóstwo emocji, zwłaszcza przerażenie.

To także chyba najbardziej pesymistyczna wizja Sądu Ostatecznego w sztuce europejskiej: Chrystus ukazany został w geście potępienia ludzkości. Jest to tzw. Chrystus apolliniński – osadzone w sztuce wczesnochrześcijańskiej wyobrażenie Jezusa jako młodzieńca bez zarostu. Uniesione ramię zdaje się rzucać przekleństwo na wszystkich stojących przed Sędzią. Siedząca u jego boku Matka Boża jest smutna i zrezygnowana, nie wstawia się nawet za grzeszną ludzkością. Zazwyczaj ukazywano Marię jako orędowniczkę w chwili Sądu, ostatnią szansę grzeszników na wybłaganie przebaczenia. Tu jednak Maria widzi, że nie ma sensu próbować.

Interpretując pesymistyczny wydźwięk tej kompozycji, przywołuje się zarówno niepokoje społeczne i religijne czasów, w których powstała, jak i kondycję psychiczną samego artysty. Powszechnie uważa się, że umieścił on w przedstawieniu swój autoportret – pod postacią zwiotczalej skóry zdjętej ze św. Bartłomieja, którą męczennik trzyma jako swój atrybut. Dzieło od razu wzbudziło



MATERIAŁ ORGANIZATORA WYSTAWY

Sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej, Michał Anioł Buonarroto, 1508-1512.

kontrowersje – również dlatego, że większość postaci została ukazana całkiem nago, w tym wiele z nich w dość kompromitujących pozach.

Kaplica po Soborze Trydenckim, czyli próby retuszu

Cztery lata po ukończeniu malowidła przez Michała Anioła rozpoczął się Sobór Trydencki. Jego postanowienia skutkowały m.in. usuwaniem z wnętrza sakralnych przedstawień o charakterze nieprzyzwoitym. Byli tacy, którzy chcieli całkowitego zamalowania fresku – znaleźli

się jednak obrońcy sztuki Buonarroto. Ostatecznie dość dyskretnie szmatki w miejscach intymnych wielu postaci domalował Daniele da Volterra, współpracownik Michała Anioła i admirator jego twórczości. Zyskał przez to przydomek „Il Braghettone” (Majtkarz). Da Volterra zadbał jednak o to, by dodatki były jak najdyskretniejsze – nie licząc grupy św. Katarzyny i św. Błażeja, którzy zostali niemal całkiem przemalowani.

Oryginalnie Katarzyna – ukazana jako pochylona – była naga, stojący zaś za jej pośladkami Błażej miał opuszczoną głowę, przez co sprawiał wrażenie, iż wpatruje się w jej wypięty tył (można było nawet dojść do wniosku, że para ta została ukazana w pozycji sugerującej stosunek seksualny). Kompozycję sprzed zmian da Volterry znamy z kopii, którą Marcello Venusti wykonał na zamówienie kardynała Aleksandra Farneseo (1549 r., Capodimonte Museum w Neapolu).

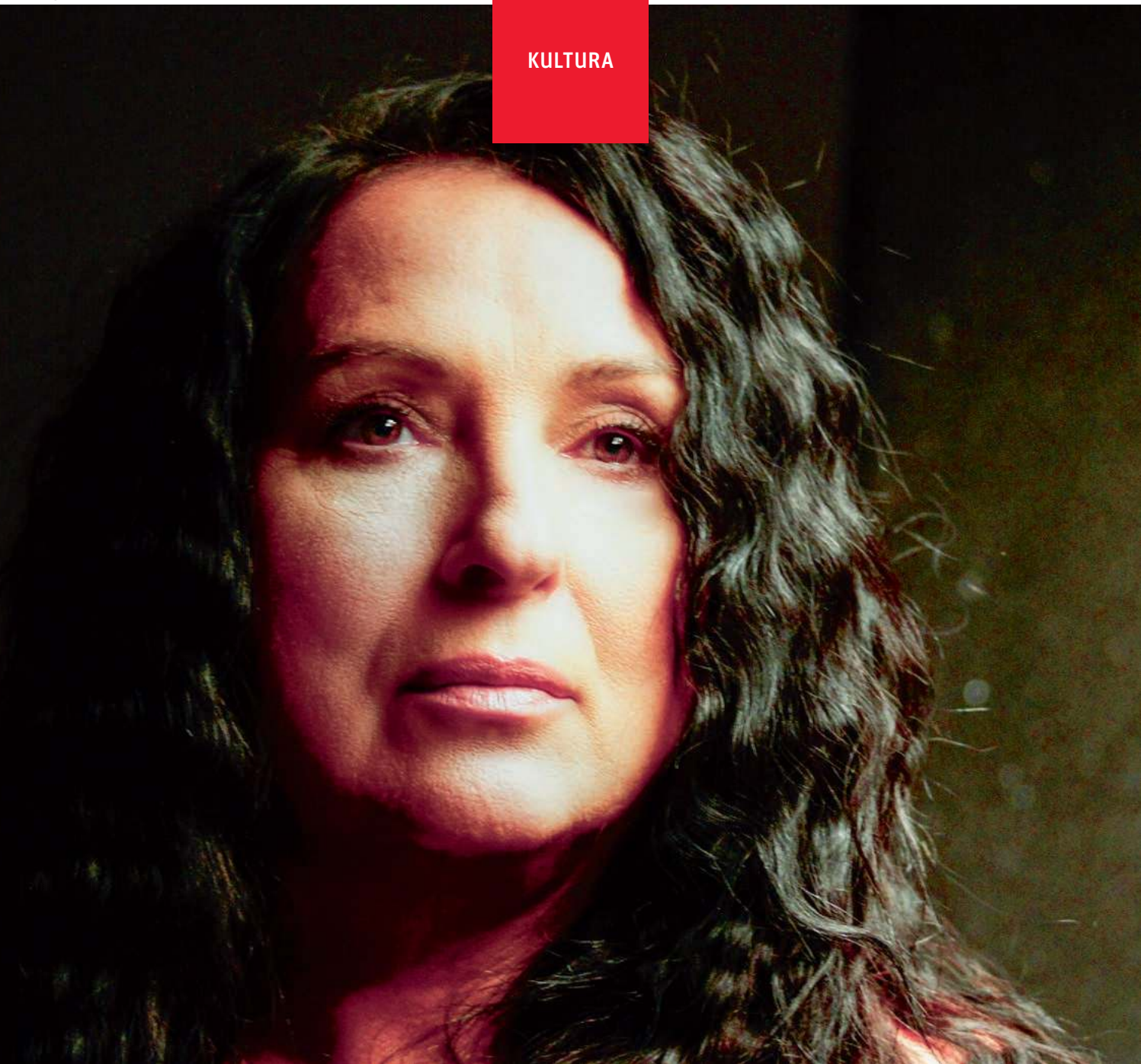
Przemalowania da Volterry pozostały do dziś jako świadectwo epoki, w której powstał fresk. Zdjęto natomiast inne, późniejsze dodatki kolejnych szat zasłaniających nagość bohaterów, domalowywane sukcesywnie od wieku XVII. Kontrowersyjną skądinąd renowacja malowideł z Kaplicy Sykstyńskiej, przeprowadzona w latach 80. i 90. XX w., odsłoniła wiele oryginalnych elementów kompozycji i przywróciła jasną, intensywną kolorystykę dzieła. Część badaczy uznała jednak, że przy zbyt szczegółowym czyszczeniu zostały usunięte elementy modelu autorstwa samego Michała Anioła, przez co malowidła straciły liczne szczegóły oraz głębię.

Jaki jest obecny stan malowideł? O tym można się przekonać odwiedzając w Warszawie multimedialną wystawę „Kaplica Sykstyńska. Dziedzictwo”. Towarzyszy jej katalog szczegółowo opisujący treści poszczególnych fresków. Współczesne techniki digitalizacji dzieł sztuki dają nam zupełnie nowe możliwości obcowania z najsłynniejszymi – często raczej niedostępnymi – dziełami dawnych mistrzów. Z pewnością warto z takich okazji korzystać. © MAGDALENA ŁANUSZKA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 46/2023

REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
Na okładce: fragment fresku „Stworzenie Adama” Michała Anioła Buonarroto w Kaplicy Sykstyńskiej / WIKIPEDIA.ORG
TP TYPOGRAFIA: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Jacek Taran



JUŻ DOBRZE

„Moim dążeniem nie była żadna kariera!
Chciałam się po prostu uwolnić” – mówi Martyna Jakubowicz.
Ostatecznie uwolniła się nie kolejną płytą, tylko książką.

MICHAŁ OKOŃSKI

O BIECAŁEM SOBIE, ŻE O TĘ PIOSENKĘ nie zapytam, ale kiedy już usiedliśmy w którejś z kawiarni wrocławskiej Dzielnicy Czterech Świątyń, Martyna Jakubowicz o „W domach z betonu” wspomniała sama – jak zresztą o wielu rzeczach w trakcie rozmowy. Dla niej ten utwór był po prostu przykładem zdarzającego się czasem twórczym olśnienia: – Wie pan, słuchałam w życiu wielu wywiadów z muzykami i wszyscy mówili dokładnie to samo: że mieli wypasione sale prób, a w nich pełno doskonałego sprzętu, przychodzili tam, bo chcieli zrobić fajną piosenkę, siedzieli tak całymi dniami i nic im nie wychodziło. A potem nagle przychodziła magiczna chwila, mózg zapominał, że pracuje, i coś stwarzało się samo.

Stara taśma na moim grundigu

Olśnienie spowodowało więc, że powstał hit, z którym moja rozmówczyni zostanie już do końca – by użyć jej słów – „jak Mikułski z kapitanem Klossem”. I choć w latach 80. był to hymn, który śpiewała cała wyglądająca ucieczki z peerelowskiej szaryżny Polska, to nie chciałem o niego pytać, bo uważałem, że o Martynie Jakubowicz można powiedzieć wszystko, tylko nie to, żeby była autorką jednego przeboju. Przyznała mi zresztą rację: – Nagrałam na przykład taką płytę „Skórka pomarańczy”, albo nagrałam taką płytę „Okrucy życia”, gdzie jest choćby piosenka „Lorca jest snem”, i to jest dopiero fajna piosenka!

Jako osłuchany z jej repertuarem, dorzuciłem jeszcze niedawne albumy z coverami Joni Mitchell i Boba Dylana, a na tym drugim zwłaszcza znakomitą „Balladę o Hollisie Brownie”, oraz świetny koncert „Kołysz mnie”, niezależnie zaś od twórczości firmowanej własnym nazwiskiem, udział w pamiętnej sesji „I Ching”, supergrupy stworzonej przez Zbigniewa Hołdysa w trakcie stanu wojennego – zaśpiewała tam m.in. „Kołyśankę dla Miśsiaków” z refrenem „Już dobrze / dobrze już”.

Ale o „W domach z betonu” nie pytałem także dlatego, że głównym powodem, dla którego poprosiłem o spotkanie, była wydana przez nią autobiograficzna książka pt. „Trudna sztuka latania”. Książka, w której muzyka – choć oczywiście obecna – jest zdecydowanie na drugim planie.

Dom zachodzącego słońca

Napisała, że na peronie dworca w Katowicach serce pękło jej po raz drugi – miała wtedy pięć lat i musiała wrócić od babci do rodziców. Pierwszy raz pękło, kiedy miała trzy miesiące, a mama zostawiła ją u babci.

– Takie rany nie goją się szybko, jeżeli w ogóle są do zagojenia – komentuje. O tym, przez co przechodziła w dzieciństwie, dotąd nie mówiła: – Nie chcę, aby powstał z tego news, podawany dalej bez należytego szacunku i zrozumienia – deklaruje. – To nie jest temat medialny.

Nawet kiedy siadła do pisania, nie zakładała, że przywoła akurat tamte wspomnienia. Trwał czas pandemiczny, ludzie nie wiedzieli, jak sobie z nim poradzić, więc zaczęła po prostu sporządzać relację z sytuacji: przymusowego zamknięcia, lęku o najbliższych i drobnych ukojeń, jakie przynosiła np. praca w ogrodzie czy kupno „lepszyc” maseczek. Później jednak wyjęła ze starego pudełka, spamiędzy swoich zeszytów z podstawówki, listy rodziców.

– Nigdy dotąd ich nie otwierałam – mówi. – Nie chciałam. To było dla mnie za trudne, wracanie do całej tej traumy. Ale pomyślałam: dobrze, zajrzę.

Zmaganie z tym, co spowodowało otwarcie pudełka, trwało pół roku: – Wyjmowałam z kopert, czytałam trzy zdania, potem płakałam, potem miałam depresję, potem dochodziłam do siebie – opowiada. – W końcu uznałam, że mam już swoje lata i pewnie za chwilę wszystko się skończy, a ponieważ to jest moje życie, więc po prostu mam prawo o nim opowiedzieć.

Ludzie błędzą

Streszczone neutralnym językiem najbardziej poruszające fragmenty jej książki to historia trwającego kilkadziesiąt lat małżeństwa rodziców Martyny, Teresy i Tadeusza Żychiewiczów. Ona kierowała biblioteką w Instytucie Historii Sztuki UJ, on był jednym z najważniejszych autorów „Tygodnika Powszechnego”, twórcą słynnej „Poczty ojca Malachiasza”, w której odpowiadał na listy czytelników zmagających się z trudnymi pytaniami o wiarę; znakomitą popularyzatorem, którego artykuły i książki uformowały całe pokolenie katolickiej inteligencji w Polsce.

„Ona introwertyczna do bólu, on mocno w środku ściśnięty i wybuchowy.

Oboje obciążeni traumą wojenną i każde w swoim pokaleczonym środku i w swoich różniących się od siebie wyobrażeniach o tym, jak powinno wyglądać ich wspólne życie” – opisuje Żychiewiczów córka w „Trudnej sztuce latania”. Teresa jako mała dziewczynka widziała w bydlęcym wagonie pociągu jadącego do obozu przejściowego w Pruszkowie kobietę, która udusiła swoje nowo narodzone dziecko. W snach Tadeusza wracały obrazy polanych wapnem i powiązanych kolczastym drutem ciał na dziedzińcu lwowskiego więzienia albo niemowląt zabijanych o ścianę stodoły – ofiar rzezi wołyńskiej.

– Mój ojciec nigdy nie czuł się bezpieczny. Stałe zagrożenie i neurotyczny lęk przed śmiercią zakorzeniły się gdzieś głęboko w podświadomości i trwały – opowiada Martyna Jakubowicz. W jej wspomnieniach żyje obraz taty wyskakującego w piżamie na przydomowe podwórko i z okropnymi przekleństwami walącego kapiem w pojemniki na śmieci. „Koci śpiew czasem tak bardzo przypomina płacz dziecka i tych dźwięków mój ojciec nie był w stanie znieść” – pisze w książce.

Armagedon w każdej chwili

Ale poczucie zranienia było głębsze: Tadeusz Żychiewicz, późne dziecko głęboko związane z własną matką, przez ojca odrzucane i nazywane „wyskrobkiem”, w swoje małżeństwo wskoczył jak w łódź ratunkową. „Nie zdobywałem Cię, bo już nie byłem do tego zdolny. To Ty się schyliłaś po »połamańca«” – pisał w listach do żony.

– On był bardzo ciężko chory, proszę mi wierzyć – mówi Martyna Jakubowicz. – Bardzo ciężko chory. Nie może normalnie funkcjonować człowiek, który tak naprawdę nie oddycha.

Problemem były włóknijące płuca, ale – jak czytamy w „Trudnej sztuce latania” – także stan umysłu „ma duży wpływ na zdrowie mojego ojca. Ta nieustająca nerwowość. Mama w szpitalu rodzi – gorączka 39 stopni, katar i kaszel. Chwila spokoju i już zapalenie oskrzeli. Alergie. Całe przeguby wysypane i swędzące. Taka zwykła psychosomatyka”. Oprócz psychosomatyki są leki sterydowe, pod wpływem których Żychiewicz staje się, jak pisze córka, „wielkim niepomahowanym gniewem Wezuwiusza”.

→ Autor tyłu tekstów, które realnie pomagały żyć innym ludziom, był obdarzony umysłem technicznym (w wolnych chwilach zajmował się modelarstwem, pieczołowicie dopasowując do siebie części małych samolotów jak logiczne wywody w artykułach), ale w jego emocjach krył się potężny chaos. Całymi dniami walił w klawisze maszyny, w pośpiechu wywołany świadomością wyniszczającej go choroby: – Był skazany na pisanie, to był jego wentyl bezpieczeństwa, jego dom – opowiada córka. Tylko w ten sposób mógł uporać się ze wszystkim, co się w nim kotłuje. Rozmawiać spokojnie nie umiał. W atakach furii, których świadkami byli nie tylko redakcyjni koledzy, ale przede wszystkim dzieci, duży się: tak wielka ogarniała go panika.

Siła złości, post miłości

Towarzystwo komuś takiemu wydaje się zadaniem ponad siły, zwłaszcza z perspektywy kogoś, kto ma przecież prawo do swojego życia, także zawodowego. „Moja mama jest strasznie uparta i nie ma dyskusji. Pragnie żyć w bardzo uporządkowanej rzeczywistości wśród pięknych przedmiotów i spotkań towarzyskich, a nie wśród prania, gotowania i sprzątnia” – czytamy w „Trudnej sztuce latania”, a przecież te pragnienia szybko stały się w konflikcie z poczuciem obowiązku i koniecznością nieustannej opieki nad kimś bardzo ciężko chorym. Z dramatycznej korespondencji Żychiewiczów wynika, że po jakimś czasie Teresa zakochała się w kimś innym – wybrała jednak pozostać przy Tadeuszu. „Coś w tym małżeństwie pękło. Kiedy? Nie wiem. Jednak do trwali do końca. Ale ten czas między początkiem a końcem nie był łatwy” – wspomina w książce Martyna Jakubowicz.

Obraz matki w jej książce to obraz osoby bardzo późno wracającej z pracy, a po powrocie milczącej, odległej i oschłej. „Jest, ale jej nie ma – opisuje ją córka. – Sprawia wrażenie osoby żyjącej w lodowej kuli, która toczy się siłą bezwładu”. W „Trudnej sztuce latania” jest też scena, w której kilkuletnia dziewczynka czeka na przedszkolnym stołeczku na przyjście mamy – a ta nie przychodzi.

„Być może Tadeusz nie spełniał jej oczekiwań, być może pomyliła się, a później nie potrafiła do tej pomyłki się przyznać. A może nie potrafiła nabrać dystansu i spojrzeć na wszystko innymi oczami?



Koncert w klubie studenckim „Kotłownia” w Zielonej Górze. 7 maja 2006 r.

MARTYNA JAKUBOWICZ:

Wolę grać w małych salach.
Moje piosenki są intymne.
Nie niosę podprogowych
bodźców, przyziemnych
pożądań, lateksowych
majtek i kiecek rozprutych
po pachwiny.

– pisze Martyna Jakubowicz, nie przesądając, jak brzmi ostateczna odpowiedź: – Być może. A może to wszystko było dla niej za trudne i ciężar był zbyt wielki? Może musiała uciekać, żeby móc przez chwilę odetchnąć”.

Wszystko tu popsute

„Często przypominał zmokniętego, zmarzniętego ptaka, który przycupnąwszy na gałęzi, nie wie, dokąd polecieć, aby się ogrzać. Z drugiej zaś strony, zawsze miał na podorędziu żądelko, którego nie wahał się użyć” – wspomina ojca Martyna Jakubowicz. Słowa „żądelko” używa metaforycznie, myśląc o narzędziu publicystycznych polemik, ale w książce pisze o zeszytach przewinień i kar, utrzymanym w szufladzie ojcowskiego biurka. I o bambusowym kijku, którym wymierzał ręką „sprawiedliwość”.

– Uważał, że dzieci powinny chodzić jak w zegarku. To, przynajmniej, byłoby przydatne dla jego bazującej na idealnej mechanice głowy – wspomina autorka „Trudnej sztuki latania”. Tłumaczy, że ojciec potrzebował akceptacji i miłości, ale jego zachowania, wynikające także z poczucia bezsilności, blokowały wszystko – również wypowiedzenie słów „kocham cię”, których i ona, i jej brat nigdy nie usłyszeli od żadnego z rodziców. Kiedy Żychiewicz wracał z redakcji, zgrzyt kluczy w zamku zawsze wywoływał w Martynie lęk. Kuliła się w sobie. Czekala.

Opis „pupobicia” w „Trudnej sztuce latania” jest oszczędny: „Na początku jestem przerażona i krzyczę, ile starczy sił. Potem już ani nie krzyczę, ani nie płaczę. Zapadam się w stan hibernacji po to, żeby nic nie czuć”.

Znów będę wolna

Tak naprawdę pojechałem na spotkanie z Martyną Jakubowicz, żeby zapytać, jak to się robi: jak pisze się książkę, w której tak wiele jest strasznej prawdy, a zarazem tak wiele miłości. Kiedy autorka „Trudnej sztuki latania” portretuje rodziców, często używa ich zdrobniałych imion, zupełnie jakby to oni stali się jej dziećmi. „Muszę Ci to powiedzieć: wstydź się, tato! Wstydź!” – pisze w pewnym momencie, w reakcji na jego dawny list. Ale podkreśla też, że zawsze po eksplozji furii siadał przy biurku zawstydzony, z głową ukrytą w dłoniach. Że był ofiarą „zaszłości systemów wychowawczych poprzednich epok”: – Wtedy nikt się nie zastanawiał nad jakąś psychologią. Dziecko miało być grzeczne, a jak nie było grzeczne, to musiało być po prostu zdyscyplinowane, i po to były kary fizyczne.

– Problem największy był taki, że ja jako dziecko w ogóle nie rozumiałam, o co chodzi. Dlaczego tata szaleje, dlaczego mamy nie ma w domu, a my jesteśmy skazani na tak straszliwą samotność. Żadne dziecko nie może być skazywane na taką samotność i nie można od niego oczekiwać, że będzie wszystko rozumiało! – dodaje z mocą opis widzianej przez nią na dworcu w Częstochowie karzonej przez jakąś kobietę dziewczynki jest w jej książce równie silny jak opisy własnych przeżyć.

Sama uważa się za ocalałą: – Lekarz mi powiedział, że osoby z podobnymi doświadczeniami często mają problemy



Ostatnie lata szkoły podstawowej. „Kończy się czas dziewczynki z garnkiem na głowie”



ARCHIWUM PRYWATNE X2

Teresa i Tadeusz Żychiewiczowie, rodzice Martyny, na wydmach na Stogach, lata 50.

psychiatryczne, biorą narkotyki, piją, bo nie są w stanie uporać się z traumą. Że miałam szczęście, bo moim wentylem bezpieczeństwa były taniec i muzyka. Wie pan, moim dążeniem nie była żadna kariera! Chciałam się po prostu uwolnić od tego wszystkiego.

Uwolniły ją też empatia i zrozumienie. Przeglądając stare zdjęcia rodziców, podkreśla, że ich nie ocenia. Pamięta, że to dzięki uporowi i opiece żony jej ojciec przeżył tyle lat. Pamięta też, że umierając, Tadeusz zanotuje w szpitalnym zeszycie: „Kocham Tereskę”, a w innym miejscu napisze: „Tak jakoś mi się pomyślało, że bywają w życiu historie bez szczęśliwego zakończenia, a mimo to warto je przeżyć”. Żałuje, że nie potrafił ułożyć wspólnego życia lepiej, ale uważa, że nie ma w tym ich winy.

Wspomina też o nadziei, że po tej książce skończą się pytania, dlaczego wiele jej piosenek jest takich smutnych: – Chyba wytłumaczyłam to dosyć dobitnie.

Mój czas ucieka

Wracam do pytania o miłość. Odpowiada: – Na pewno łatwiej ułożyć sobie coś w głowie tak, że ktoś mi zrobił straszną krzywdę, a w związku z tym będę go nienawidzić do końca życia. Tylko problem polega na tym, że on nie żyje: moje problemy już go nie obchodzą, mój gniew już do niego nie dotrze, zresztą taki gniew zawsze bije we mnie samą.

Zeszyt przewinień i kar został wyrzucony podczas porządkowania mieszkania rodziców: w rozmowie porównała to z czyszczeniem domu ze wszystkiego, co przypominałoby związek z toksycznym partnerem. Ale przede wszystkim chciała zrozumieć, dlaczego Teresa i Tadeusz stali się tym, kim się stali, i dlaczego zachowywali się tak, jak się zachowywali. Jaką rolę odegrały w tym wspomniane wojenne traumy, jaką gorset wychowania i krzywdy, których zaznali – zwłaszcza on – od swoich rodziców, a jaką formacja religijna, powodująca i to, że nie zdecydowali się na rozwód, i to, że matka przeżywała swoje cierpienie na sposób quasi-mistyczny.

– Moja mama w ogóle nie nadawała się do posiadania dzieci, ale chciała się wywiązać – podsumowuje Martyna Jakubowicz. Zastrzega, że teraz, po lekturze listów rodziców, patrzy na nich inaczej: kiedyś o wszystko, co złe, oskarżała ojca, teraz ma poczucie, że mama „bardzo się dołożyła do tego wszystkiego”. Ale przede wszystkim przestała oskarżać. W książce pisze, polemizując z krążącymi po Krakowie plotkami: „Obalam mit »okropnych« dzieci Żychewicza. Nie ma okropnych dzieci. Dzieci są po prostu dziećmi i trzeba umieć je wychowywać”. Dodaje jednak, że „nie ma też »okropnego Żychewicza«, bo mój ojciec był niezwykle wrażliwym, mądrym i zdolnym człowiekiem. Był także bardzo samotny i bywał zagubiony”.

– To dwie różne postaci, Tadeusz domowy i Tadeusz piszący, a przecież jeden człowiek. Tak też trzeba go pojmować. Podziwiać jego talenty i wybaczając to, co było nie ze złej woli dolegliwe. Zrozumieć i wybaczyć. To jedyna właściwa droga – komentuje dzisiaj.

Kołysz mnie

Pytam Martynę Jakubowicz, czy mówienie o tym jest dla niej trudne.

– Nie, ja jestem już terapeutyzowana – uśmiecha się i pewnie dlatego łatwiej na koniec wrócić do piosenek. Książka przecież – zapis drogi życiowej Martyny także przez wczesne małżeństwo z Andrzejem Jakubowiczem, współautorem wielu jej utworów, i późniejszy burzliwy związek z gitarzystą Andrzejem Nowakiem – jest opowieścią również o muzyce. O osobnej drodze Martyny wśród polskich twórców. O inspiracjach amerykańskim folkiem, który podsuwał jej Jakubowicz. O legendarnych występach w Jarocinie, o trasach przez Polskę i przez chylący się ku upadkowi Związek Sowiecki. O tajemnicach współpracy z wybitnymi instrumentalistami. O świetnych koncertach, które niespodziewanie wydarzały się w niewielkich salach, choćby w Andrychowie, gdzie weterani Wojciech Waglewski, Mateusz Pospieszalski czy Rafał Rękosiewicz, połączeni tajemniczą energią, „unosili się nad sceną poza czasem”.

→ Takie kameralne sceny do dziś lubi najbardziej: w ostatnich dniach i tygodniach znów podróżuje po Polsce, grając swoje piosenki i czytając fragmenty książki w domach kultury czy bibliotekach.

– Tam jest łatwiej o wymianę między artystą a publicznością niż w dużych salach, gdzie ludzi trzeba solidnie zmłócić dźwiękiem – mówi. – Poza tym moje piosenki są intymne, ja nie noszę tych wszystkich podprogowych bodźców, przyziemnych pożądań, lateksowych majtek, dekoltów i kiecek rozprutych po pachwiny. Uważam, że nie na tym polega erotyzm, nie chcę pobudzać ludzi w ten sposób: ja chcę im opowiedzieć historię, a najfajniej będzie, jeżeli ta historia będzie też dotyczyć ich emocji i przeżyć.

W ostatnich tygodniach wydała nie tylko książkę, ale także płytę z nowymi, akustycznymi aranżacjami utworów sprzed lat – owszem, znalazło się na niej również „W domach z betonu”. Słuchając, mam wrażenie, że głos Martyny Jakubowicz brzmi inaczej, równocześnie mocniej i czystiej. Dzielę się z nią tą obserwacją.

– Tak, koleżanka mi powiedziała, że takie ma uczucie, jakby coś ode mnie odeszło. Wygląda na to, że autoterapia czasami sprawia cuda – odpowiada. – Nie mogę powiedzieć, że poczułam ulgę, bo nie o to chodziło i wiem, że trudne przeżycia z dzieciństwa będą szły ze mną dalej, ale już nie muszę do nich wracać.

Stare zdjęcia i listy są znów w pudełku. Może zajmie się jeszcze rodziną przeszłością, bo myśli o złożeniu tekstów ojca w książkę, która powiedziałaby coś ważnego dzisiejszej Polsce. Mając te teksty w pamięci nie polemizuje z nią oczywiście, choć prawdę powiedziawszy mam poczucie, że jej własna historia o miłości i przebaczeniu mówi Polsce jeszcze więcej.

©© MICHAŁ OKOŃSKI



Tytuł i śródtytuły tekstu pochodzą z piosenek Martyny Jakubowicz. Książka „Trudna sztuka latania” ukazała się w wydawnictwie Znak, płytę „Akustyczność” wydała własnym sumptem.



Lepper. Będziemy wisieć albo siedzieć, reż. Marcin Liber. Kraków, 2023 r.

Pierwszy teatr powyborczy

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Gdyby funkcjonariusze władzy częściej zaglądali do Teatru Słowackiego, zorientowaliby się, jak groźny dla nich proces toczy się przed wyborami.

W PIERWSZĄ POWYBORCZĄ SOBOTĘ, 21 października, dzisiejszy Teatr im. Słowackiego w Krakowie obchodził równo 130. rocznicę otwarcia. Tego samego dnia w roku 1893 uroczyste zainaugurowano działalność nowego, reprezentacyjnego gmachu przy pl. Świętego Ducha (co za adres i patronat miejsc!), wzniesionego według projektu Jana Zawiejskiego. Był to wtedy Teatr Miejski, który dopiero w roku 1909 zyskał obecnego patrona, a instytucją podległą marszałkowi województwa małopolskiego stał się na początku lat 90. XX wieku.

Ten patronat i relacje właścicielskie są dziwne, bo wszak teatr na zawsze związany jest ze Stanisławem Wyspiańskim, który na jego scenie tworzył, przekształcając ją w wielką i otwartą „sztuki gontynę”. Opieka wojewódzka jest anomalią, bo trudno sobie wyobrazić instytucję kultury mocniej związaną z tym, co stanowi specyfikę Krakowa i co decyduje o jego miejscu na kulturalnej mapie Polski. Równie krakowski Stary Teatr jest (paradoksalnie) o kilkadziesiąt lat młod-

szy, a swoje największe tryumfy zawdzięcza rozwijaniu nowoczesnej wersji teatru krytycznej inteligencji i dramatycznego myślenia, który narodził się, rozwinął i osiągnął dojrzałość przy pl. Świętego Ducha. A skoro Stary Teatr stał się w roku 1991 Narodowym, to wydawałoby się, że miasto Kraków świadome źródeł swej istotnej mocy zaopiekuje się historycznym Teatrem Miejskim. Niestety władze Krakowa od dawna nie wydają się mieć rozeznania, czym jest miasto, którym władają, więc oddały „Słowaka” władzom wojewódzkim, co w ostatnich latach doprowadziło do poważnego kryzysu.

Dyrektor w odwoływaniu

W roku 2016 dyrekcję Teatru im. Słowackiego objął Krzysztof Głuchowski, sprawujący ją przez pierwsze cztery lata we współpracy z Bartoszem Szydlowskim jako kuratorem artystycznym. Od początku założeniem nowej dyrekcji było „odkurzenie Słowaka”, który rzeczywiście za długiej dyrekcji poprzednika zaczął niebezpiecznie przypominać śmiertelnie sobą znudzony



BARTOSZ BARCZYK / TEATR IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO X2

Dziady, reż. Maja Kleczewska. Kraków, 2023 r.

krakowski salon mieszczański z komedii Bałuckiego.

Głuchowski i Szydłowski zainicjowali zamieszanie artystyczne, intelektualne i wizerunkowe, które zaowocowało ożywieniem nobliwej sceny. Ważnym kontekstem tych działań był głęboki kryzys, w jakim znalazł się Stary Teatr po zniszczeniu dyrekcji Jana Klaty przez Ministerstwo Kultury pod Piotrem Glińskim. Wobec „zaoranego” konkurenta, Teatr Słowackiego tym bardziej rósł w siłę, poruszając się całkiem zręcznie między rafami lokalnych i centralnych niby-polityk. W pewnym momencie pojawiły się nawet realne szanse na zdobycie statusu sceny narodowej, współprowadzonej przez Ministerstwo.

No i wtedy właśnie wybuchła bomba: „Dziady” Adama Mickiewicza w reżyserii Mai Kleczewskiej (premiera 19 listopada 2021). Świetne przedstawienie zanurzone w aktualności politycznej wywołało wściekłość funkcjonariuszy partii rządzącej, której małopolska agenda wojewódzka postanowiła odwołać Głuchowskiego z zajmowanego stanowiska. Gdy w lutym 2022 r. komentowałem tę akcję w „Tygodniku”, nie mogłem wiedzieć, że rozpoczął się właśnie jeden z najdłuższych współczesnych tasiemców teatralnych, który – *de facto* – nie zakończył się do dziś. W jego ostatnich odcinkach Zarząd Województwa rozpiął konkurs na stanowisko dyrektora, co skończyło się wielką plajtą.

Dokładnie w przeddzień jubileuszu 130-lecia „Słowaka” (znów te zbiegi okoliczności!) Zarząd zadecydował o unieważnieniu konkursu ze względu na nieusuwalne wady formalne (otwarcie jed-

nej z kopert z aplikacją przed rozpoczęciem pracy komisji konkursowej). Mało kto jednak wierzy w to uzasadnienie. Wiadomość o zakończeniu konkursu przyjęto jednoznacznie jako efekt wyborczej przegranej wciąż obecnej władzy, która po 15 października spuściła z tonu.

Mnie przychodzi do głowy jeszcze inne wyjaśnienie. Oto do ewidentnie ustawionego i politycznego konkursu nie zgłosił się żaden poważny kandydat poza samym Krzysztofem Głuchowskim. Podobnie jak w niedawnym konkursie na dyrektora Teatru Modrzejewskiej w Legnicy (a odmienne od równie beczelnie ustawionego konkursu anty-Klatowego), środowisko teatralne zachowało się bardzo przyzwoicie i nikt mający w nim jakiegokolwiek znaczenie nie wpadł na pomysł, by skorzystać z okazji i objąć kierownictwo jednej z najważniejszych scen kraju. Zgłosiły się wprawdzie trzy osoby, ale nawet organizatorzy konkursu byli tak zażenowani tymi kandydaturami, że postanowili je utajnić.

Różnice między dwoma krakowskimi konkursami teatralnymi – tym z roku 2017 i tym z roku 2023 – pokazują, że daleki od harmonii i pełen sprzecznych interesów świat teatru polskiego w okresie rządów PiS dość szybko zorientował się, z czym ma do czynienia, i po kilku początkowych wpadkach dość konsekwentnie i skutecznie torpedował toporną „politykę” Ministerstwa. I znów – zbieg okoliczności ujawniający ukryty sens sprawił, że to, co zaczęło się w Krakowie jako demonstracyjna akcja pozabawiania teatru artysty, który nie dość ochocho maszerował „z nami”, skończyło się też w Krakowie nieskuteczną i wyciszoną

akcją usuwania i uciszania innego dyrektora, który chadzał swoimi drogami.

Unieważnienie konkursu na dyrektora Teatru Słowackiego sprawiło, że scena ta stała się na najprostszym poziomie pierwszym polskim teatrem powyborczym – pierwszą z wielu instytucji, którym 15 października przynosi bardzo wymierne korzyści. Gdy w czasie jubileuszowych uroczystości 21 października podano nieznaną jeszcze wszystkim informację o unieważnieniu konkursu, w historycznej sali zapanowała atmosfera tryumfu i radości, taka sama, jaka w wielu polskich domach eksplodowała w wyborczy wieczór.

Pozytywny mīt

Nie sposób nie zauważyć, że szczególna więź między teatrem kierowanym przez Krzysztofa Głuchowskiego a znaczącą i rosnącą częścią jego publiczności została nawiązana o wiele wcześniej niż w październiku 2023 r. Atak, jaki nastąpił po „Dziadach”, spotkał się nie tylko z kontrakcją ze strony zespołu czy środowiska teatralnego, ale został podjęty przez publiczność.

O ile w przypadku zniszczenia dyrekcji Jana Klaty w Starym protesty widzów były stosunkowo słabe, a w przypadku zniszczenia Teatru Polskiego we Wrocławiu silne, ale jednak nieskuteczne, o tyle w przypadku „Słowaka” widzowie stojący za nim murem wytworzyli znaczącą siłę, która mocno oddziaływała na sytuację. Ich aktywność, umiejętnie podtrzymywana przez teatr, doprowadziła do skupienia wokół niego energii społecznej, bardzo bliskiej tej, która równolegle gromadziła się i narastała w społeczeństwie, przynosząc ostatecznie wzmożenie obywatelskie 15 października. Gdyby funkcjonariusze władzy nie byli tak zadufani w sobie i gdyby częściej zaglądali na plac Świętego Ducha, może zorientowaliby się wcześniej, jak groźny dla nich proces właśnie się toczy.

Ze się nie zorientowali, dziwi tym bardziej, że w międzyczasie miała miejsce naprawdę głośna i spektakularna eksplozja społecznej energii związana z jednym z największych sukcesów Krzysztofa Głuchowskiego jako producenta – kultowym już dla wielu spektaklem „1989” (premiera w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim 19 listopada 2022; premiera krakowska 2 grudnia). Osobiście nie jestem fanatykiem tego przedstawienia – mam wiele



BARTOSZ BARCZYK / TEATR IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO

1989,
reż. Katarzyna
Szyngiera.
Kraków, 2023 r.

→ zastrzeżeń do jego scenariusza (autorstwa Marcina Napiórkowskiego, Katarzyny Szyngiera, Mirosława Wlekłego), nie porzywa mnie (łagodnie mówiąc) jego strona muzyczna i generalnie po jego obejrzeniu byłem mocno rozczarowany (być może z winy usłyszanych wcześniej ochów i achów). Chyba najbardziej przeszkadzała mi atmosfera ogólnego uniesienia i wiary w to, że „pozytywny mit” pierwszej Solidarności ocali nas teraz przed wszechogarniającym marazmem, bo to przecież nie my pozwoliliśmy w latach 90. na jego zniszczenie i zastąpienie wyścigiem szczurów, ale załatwił go dopiero zły PiS. Ja pamiętam czasy pierwszej Solidarności i to, jak szybko i łatwo uciszono w grudniu 1981 r. zbiorowe uniesienia, więc nie mam do nich zaufania. A już na pewno nie ufam im w teatrze i nie mogę tak łatwo zapomnieć, że to dokładnie na tej samej scenie przy placu Świętego Ducha zagłuszano oklaskami i zachwyta mi bolesne prowokacje i oskarżenia „Wesela”.

Ale to, że teatralnie i pokoleniowo nie ufam tłumowi i pamiętam, jak kończą się „Mury” Jacka Kaczmarskiego, nie zmienia w niczym faktu, że Teatr Słowackiego w sezonie 2022/2023 idealnie trafił w nastroje swojej widowni. To zaś wszak jedna z najważniejszych, a wcale nie tak często z powodzeniem realizowanych funkcji sceny publicznej: wyczuć, zagaścić, nadać kształt społecznym energiom i poprzez ich zbiorowe i spotęgowane doświadczenie ujawnić i uświadomić publiczności z całą mocą to, co niejasno i w niepewności zaledwie przeczuwa. I to właśnie w stopniu wyjątkowym udało się teatrowi kierowanemu przez Krzysztofa Głuchowskiego, który najpierw dzięki „Dziadom”, a potem dzięki „1989” stał się

najważniejszą sceną polską – to tu można było zobaczyć i przeżyć proces zmiany, która 15 października dokonała się jako polityczna i historyczna.

Przeciw własnym uniesieniom

Gdybym w jubileuszową i powyborczą sobotę wybrał się na „Dziady”, ten spektakl miałby inną wymowę (o ile w ogóle by powstał). Ale wybrałem się na wyreżyserowane przez Marcina Libera przedstawienie „Lepper. Będziemy wisieć albo siedzieć” do tekstu Jarosława Murawskiego, z choreografią duetu Hashimotowiksa, scenografią i kostiumami Mirka Kaczmarka oraz muzyką „Nagrobków” (brawa dla wszystkich). Jego premiera odbyła się 29 września, ale mam wrażenie, że dopiero po 15 października „Lepper” zyskuje szczególne brzmienie i znaczenie, stając się jednocześnie dowodem na przenikliwość kierownictwa Teatru im. Słowackiego.

Bo „Lepper” to artystyczna, muzyczna, a przede wszystkim – społeczno-polityczna polemika z „1989”. Rozpisana na aktorski chór, więc nieuchronnie wielowymiarowa i dysonansowa figura łącząca biografię Andrzeja Leppera i wydarzenia z dziejów jego ugrupowania z pogłębioną, choć przedstawioną w atrakcyjnej formie refleksją nad procesami społecznymi, które zaowocowały powstaniem i sukcesem Samoobrony.

Zamiast „pozytywnego mitu” gorzkie i gniewne spojrzenie na wielokrotne wyparcia i falsyfikacje chłopskiego rodowodu i wiejskiej rzeczywistości. Zamiast ugrzecznionych rapów – mocny (choć dla mnie osobiście za słabo nagłośniony) postpunk grany na żywo. Chwilami można wręcz odnieść wrażenie, że aktorki i aktorzy „Leppera” parodiują

„1989” (zwłaszcza że kilka osób znalazło się w obsadzie obu przedstawień) i uniesienia, które tamten spektakl generuje. Podobnie jak ja – nie odmawiają nikomu prawa do radosnego poczucia *communitas* i wzruszenia wiarą w możliwość odzyskania utraconego czasu, ale już zaczynają wyczuwać i poddawać namysłowi naiwność przekonania, że wystarczy pokrzykować wzniosłe hasła i pomaszerować ulicami Warszawy, by wszystko było przepięknie i normalnie.

Jestem świadomy, że mój entuzjazm dla „Leppera” i rozczarowanie „1989” wynika w sporym stopniu z osobistych doświadczeń, przyzwyczajęń i gustów. Oprócz tego, że ukształtował mnie nie „karnawał Solidarności”, ale stan wojenny, a muzycznie natychmiast zestrąjam się z postpunkiem, bardzo mi odpowiada dynamika, zmienność i przewrotność tekstu Murawskiego, który jest bardzo zabawny aż do momentu, gdy zaczynamy się wstydić własnego śmiechu, a przede wszystkim natychmiast odnajduję się w takim teatrze, jaki proponują twórcynie i twórcy „Leppera”.

Świetny zespół aktorski performuje, tańczy, śpiewa, dyskutuje z sobą i widzami, a gdy trzeba – wydobywa z siebie wyraziste postacie, dynamicznie i swobodnie przechodząc między wieloma poziomami nowoczesnego aktorstwa, nie gubiąc przy tym tak ważnej dla tego przedstawienia jedności środków i działających przy ich pomocy osób. Paradoksalnie to właśnie ta jedność pozwala na wybrzmienie i wysłyszenie wielości głosów, perspektyw i punktów widzenia, odsłaniających zupełnie inne doświadczenie i postrzeganie rzeczywistości niż to, z którego wynikał entuzjazm dla „1989” i „mamy to!” wykrzykane 15 października.

I właśnie to, że tak odmienny ton dał się słyszeć w tym samym teatrze i że znów teatr ten współbrzmi z nastrojami sporej części społeczeństwa, świadomej, że łatwo i prosto nie będzie, stanowi kolejny argument pozwalający twierdzić, że Teatr im. Słowackiego w Krakowie stał się pierwszą sceną powyborczej Polski.

To oczywiście powód do radości, że teatr potrafi wciąż tak trafić w swój czas. Ale też i strach, bo Głuchowski zapowiada na wiosnę „Wesele” w reżyserii Mai Kleczewskiej i już się boje, jak dramat Wyspiańskiego zabrzmi na tej scenie wiosną 2024 roku... © DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Lepiej mniej

MIKOŁAJ GRYNBERG

Nie warto opowiadać tego, czego od nas oczekują. Zawsze ciekawiej jest wybrać się we własną podróż, a ponieważ nikt z nas nie jest wyjątkowy, znajdą się czytelniczki i czytelnicy o podobnej wrażliwości.

MÓWIENIE JEST TYM CZASEM, KIEDY MÓWIĄCY MA PEWNOŚĆ, że na pewno nie dowie się niczego nowego o świecie. Dlatego dialog jest lepszy od monologu.

Na szczęście z pisaniem bywa inaczej. Najciekawsze pisanie to takie, które prowadzi w nieznaną. Gdy nie wiadomo, kogo się tam spotka. Można spotkać siebie samego, może być ciekawie, choć nie ma obietnicy, że gdy wrócimy do tekstu, lektura będzie równie satysfakcjonująca. We własnych tekstach można spotkać tego siebie, którego nakładem wielkich wysiłków ukrywamy przed samymi sobą i światem. Bywa, że trafia się tam na rozhasanego i pretensjonalnego autora. Warto być dla niego wyrozumiałym, bo chodziło mu o coś ważnego. Warto mu pomóc, by nie rezygnował, tylko dalej szukał swojego języka.

Język niesie ryzyko. Potrafi budować dystans, który odbierze piszącemu szanse na bycie usłyszanym. Teksty mówią różne języki. Jedne zbliżają go do czytających, inne oddalają. Wszyscy rozumiemy, gdy ktoś mówi, co czuje. Rozumiemy, bo odwołuje się do naszego doświadczenia. Język, który nie zamyka drogi do zagranicznych przekładów, ma potencjał bycia ponadkulturowym.

Pisanie bez planu jest przygodą dla odważnych. Dla tych, którzy są gotowi na spotkanie z własnym wstydem, ale również dla tych, którzy są gotowi na odkrycia. Spotkanie z samym sobą wymaga dużo więcej pracy, niż warto wkładać w unikanie spotkań z innymi osobami.

Lepiej omijać słowa, które tekstowi nie są niezbędne. To samo ze zdaniami. Są takie, które niczemu nie służą, ale zobaczy je tylko oko tego, kto szanuje swoje czytelniczki i czytelników. Tego, który szanuje ich czas i ceni inteligencję. Protekcyjnych autorów czytać nie warto. Nigdzie nas nie zaprowadzą, najwyżej do dobrze znanego i nie lubianego poczucia, że znowu daliśmy się źle potraktować.

Pisanie bywa lepsze od rozmowy. Ta pozwala grać tyle, na ile rozmówca pozwoli, a pisanie jest wolnością. Jest wolnością, ale bywa pułapką. Wpadnie w nią każdy, kto pomyśli, że samo pisanie jest ważniejsze od tego, co może ono dać czytającym.

Lepiej, gdy tekstu jest mniej, bo szybciej nastąpi to, co się wydarzy po lekturze – moment unii piszącego z czytającymi. Czas, kiedy zamykają książkę, a mimo to książka nie jest zamknięta. Żyje w ich głowach. To tak, jakby piszący zyskiwał kolejne życie. Jeśli nie zapomni o tym, co jest dla niego ważne,



KATARZYNA KUKIELKA / MATERIAŁY PRASOWE KBF

*Mikołaj Grynberg. Festiwal Conrada.
Kraków, 10 października 2023 r.*

nie zignoruje czytelniczek i czytelników, może czekać go nagroda wyjścia poza swoją epokę.

Nie warto opowiadać tego, czego od nas oczekują. Zawsze ciekawiej jest wybrać się we własną podróż, a ponieważ nikt z nas nie jest wyjątkowy, znajdą się czytelniczki i czytelnicy o podobnej wrażliwości. Ktoś, kto podąży za naszą historią. Autor szukający własnej opowieści to gwarancja uczciwości. Chodzenie własnymi drogami jest satysfakcjonujące, chodzenie cudzymi czasami cieszy innych.

Wspaniale jest, gdy najciekawsza chwila następuje już po zamknięciu książki. Gdy zamiast odpowiedzi dostajemy pytania, które wychodzą poza ramy tekstu. Gdy emocje postaci niepostrzeżenie stają się naszymi, a koniec lektury okazuje się dopiero początkiem.

Sens mówienia kończy się, gdy słuchający zaczynają żałować, że to nie oni są przy głosie.

I w mówieniu, i w pisaniu lepiej mniej.

Lepiej mniej.

©

Autor jest pisarzem, reporterem i fotografem. Napisał m.in. „Oskarżam Auschwitz”, „Rejwach”, „Poufne” i – ostatnio – „Jezus umarł w Polsce”.

Wykład Mistrzowski wygłoszony 29 października 2023 r. w Krakowie podczas gali Nagrody Conrada zamykającej 15. edycję Festiwalu Conrada



Relacje, podsumowania i materiały o tegorocznej, jubileuszowej 15. edycji Festiwalu Conrada znajdziesz na TygodnikPowszechny.pl/conrad-festival-2023

Subtelna masa

JAN BŁASZCZAK

Choć sam proces twórczy jest u tej artystki bardzo intensywny, to jego rezultat pozwala nam złapać oddech. Kontemplować zmianę.

ALEKSANDRA SŁYŻ LUBI WRACAĆ MYŚLAMI do czasów szkoły średniej i dni, kiedy opuszczała lekcje, by z samego rana zakradać się do pustego budynku szkoły muzycznej. Była ósma rano, a ona miała ze sobą wiolonczelę i pięć godzin niczym niezakłóconej ciszy wokół. Białe firanki drgały na wietrze niczym struny pod smyczkiem: – Już wtedy lubiłam grać wolne, krótkie, emocjonalne formy. Przywiązywałam do nich wielką wagę. Nie zostałam wiolonczelistką, bo nie pociągały mnie etudy i kaprysy, które są szczególnie ważne, by rozwijać się technicznie.

Echa tamtych preferencji można usłyszeć w muzyce, którą komponuje dziś Słyż. Dobrze przyjęto albumy: „Human Glory” (2020) i „A Vibrant Touch” (2022). W tym roku jej nowe utwory zabrzmiały na Festiwalu Prawykonań w Katowicach, Sanatorium Dźwięku w Sokołowsku czy warszawskiej Ephemerze. Improwizowany koncert Słyż odbył się w ramach Warszawskiej Jesieni, a już 9 listopada na festiwalu Sacrum Profanum w Krakowie wykona utwór „Pure Voices” wraz z Sinfonietką Cracovią prowadzoną przez Liliannę Krych.

Jej utwory bywają masywne w brzmieniu, ale bazują też na subtelnościach, przyjemnie falują i rozwijają się powoli, roztaczając przy tym ciepłą aurę analogowego syntezatora.

Rezonuje w Szwecji

Ukończyła Akademię Muzyczną w Poznaniu i Royal College of Music w Sztokholmie, przez pewien czas studiując w obu tych miastach jednocześnie. Choć wyjeżdżając do Sztokholmu nie była w pełni świadoma bogatej tradycji skandynawskiej muzyki elektroakustycznej i elektronicznej, szybko poczuła, że idealnie rezonuje ona z jej intuicjami.

Henrik Frisk, kompozytor i profesor Royal College of Music, u którego stu-

diowała Słyż, tłumaczy: – Już w latach 60. Szwecja zajmowała ważne miejsce na światowej mapie muzyki współczesnej. Sztokholm był często odwiedzany przez międzynarodowe sławy: Johna Cage’a czy Davida Tudora, nawiązaliśmy też ściśle relacje z przedstawicielami Fluxusu. Duża w tym zasługa mojej uczelni, która od lat 70. oferuje zajęcia z zakresu muzyki elektroakustycznej.

Trendy nieustannie się zmieniają, napędzane pomysłowością kompozytorów i rozwojem technologii. Słyż trafiła do Sztokholmu opanowanego akurat przez muzykę drone’ową. Polka wspomina ten czas przez pryzmat licznych koncertów lokalnych twórców, rezydentów Studia Muzyki Elektronicznej EMS i swoich starszych koleżanek ze studiów: – Nigdy nie powiedziałam sobie, że od teraz będę pisać drone’y, ale w naturalny sposób one zaczęły mnie zajmować. Do tego stopnia, że w trakcie studiów ten nurt stał się powoli moją fascynacją: harmoniczne współbrzmienia, skupianie się na barwie, na powolnej zmianie, która jest niewychwytywana wertykalnie, tylko horyzontalnie. Trochę tak, jak w latach, kiedy spędzałam długie godziny z wiolonczelą, analizując suity Bacha.

Profesor Frisk bardzo dobrze pamięta polską kompozytorkę: – Byłam pod dużym wrażeniem jej pracy już wówczas, gdy przyjechała do nas na studencką wymianę. Tym, co ją wyróżniało na tle innych studentów, była jej inwencja. Kiedy wróciła do Sztokholmu na studia magisterskie, pomagałam jej przy dyplomowym projekcie. Te spotkania były na tyle stymulujące, że przypominały raczej współpracę z koleżanką z wydziału niż klasyczne konsultacje.

Budowanie masy

Utwory Słyż zwykle łączą w sobie warstwę elektroniczną i akustyczną. Rolą tej pierwszej jest rozszerzanie współ-

brzmień w zakresie ich barw i częstotliwości. Elektronika używana jest jednak zawsze w taki sposób, aby była możliwie najściślej sklejona z akustyczną warstwą utworu. Instrumenty się dopełniają. Zlewają w powolną dźwiękową masę do tego stopnia, że obecność instrumentów elektronicznych stałaby się ewidentna dopiero wówczas, gdyby ich zabrakło. Nie inaczej jest w utworze „And the Sun Stood Still”, który Słyż skomponowała wspólnie z Teoniką Rozynek na zamówienie festiwalu Ephemera (rozbudowaną wersję tej kompozycji artystki zaprezentowały później na Unsound Festival). Kameralny utwór zestawia warstwę elektroniczną z trio instrumentów dętych (walturnia, puzon, tuba). Recenzenci zwracali uwagę przede wszystkim na jego nieoczywiste, pełne niuansów brzmienie.

Rozynek o twórczości Słyż: – Cechuje ją precyzja i wnikliwość. Każdy element porusza się tu w precyzyjnie zaplanowany, dokładnie obliczony sposób. Może dlatego odbiorowi jej kompozycji towarzyszy często uczucie fizycznej wręcz przyjemności.

Podobna relacja pomiędzy warstwą elektroniczną a akustyczną cechuje „At different times” – kompozycję, którą Słyż napisała z myślą o tegorocznym Festiwalu Prawykonań. Premierze towarzyszyły wyjątkowe okoliczności, gdyż tego wieczoru orkiestrę katowickiego NOSPR prowadziła sama dyrektorka artystyczna i pierwsza dyrygentka Marin Alsop (która miała być jakoby pierwowzorem bohaterki filmu „Tar”). Skala, tempo, głośnie nazwiska – dla Słyż Festiwal Prawykonań okazał się skokiem na głęboką wodę. Tym bardziej że był to jej pierwszy utwór na orkiestrę symfoniczną, który doczekał się premiery.

– Podczas próby, kiedy orkiestra wykonywała mój utwór po raz pierwszy, ustawiałam elektronikę, wsłuchiwałam się w to, jak moje drone’y rozchodzą się po sali, bo sala NOSPR jest wspaniale dopasowana akustycznie do brzmienia orkiestry, ale z niskimi elektronicznymi dźwiękami radzi sobie gorzej – tłumaczy. – I kiedy byłam w tym zamięcie, zespół skończył grać. Zapytałam, czy możemy przeagrać utwór raz jeszcze, a Marin odpowiedziała tylko: „Absolutnie nie”. Musiałam szybko zmienić strategię i poprosić o zagranie konkretnego fragmentu, który wydawał mi się problematyczny. Cała ta sytuacja zupełnie mnie przytłoczyła.



TOMASZ KOŚCIEWNIK / DZIEKI UPRIĘMOŚCI AUTORA

Aleksandra Słyż

Kompozytorka doprecyzowuje, że przytłaczające było nie tylko tempo prób i nazwisko dyrygentki, ale przede wszystkim dźwiękowa masa generowana przez siedemdziesięciu muzyków. Stąd podczas pierwszego spotkania z orkiestrą symfoniczną wszystkie wcześniejsze założenia zeszły na drugi plan. Chodziło o to, żeby w całym tym dźwiękowym kosmosie usłyszeć swój pomysł. Żeby w całej tej symfonii usłyszeć siebie.

Dźwięk w ruchu

Ale Słyż nie jest artystką, która gubi się w natłoku bodźców, a tylko kontempluje drobne odbicia harmoniczne w drone'owych kompozycjach i niechętnie opuszcza ten swój dźwiękowy erem. Nic bardziej mylnego.

Gdy Frisk wspominał o jej innowacyjności, nie odnosił się wcale do tej części jej dorobku. Był pod wrażeniem utworów, które Słyż komponowała przy użyciu sensorów dźwięku, jej eksperymentów na przecięciu muzyki i ruchu, dźwięku i ciała. Kompozytorka komponowała muzykę z myślą o tancerzach,

występowała jako performerka, przygotowywała interaktywne i multimedialne instalacje.

– Pracę z detektorami ruchów i gestów postrzegam przede wszystkim jako sposób pozyskiwania danych, które nie są przewidywalne i nie są uprzednio skalkulowane – tłumaczy Frisk. – Podczas gdy muzyka drone'owa często wymaga nie ludzkiej wręcz precyzji, wykonanie muzyczne z użyciem sensorów gestów przywraca ciało muzyce.

Kompozytorka w ubiegłym roku wraz z performerką Anną Kokocińską i artystą wizualnym Maksem Posio stworzyła multimedialny spektakl „Primal Rituals”, w którym trzy tancerki używały sensorów ruchu do tworzenia dźwięków i ich wizualizacji w czasie rzeczywistym. Kompozytorka tłumaczy, że praca z ciałem za każdym razem wymaga od niej długich przerw na odpowiedni namysł: – Łatwo pójść w rutynę: ciągniesz ręką w dół i częstotliwość dźwięku spada, albo na odwrót. Karykaturalna dosłowność.

Ruch i muzyka oddziałują tu na siebie na zasadzie sprzężenia zwrotnego: gest

tworzy dźwięk, a ten determinuje kolejne gesty. W ten sposób powstała część utworów na płytę „Human Glory”. W przeciwieństwie do zawartych tu również drone'owych kompozycji, te nagrane z wykorzystaniem sensorów ruchu są bardziej rytmizowane, połamane. W to, że zrodził je gest, odbiorca musi uwierzyć na słowo.

Ćwiczenie ucha

Najnowszy utwór Słyż – „Pure Voices” – już w tytule nawiązuje do systemu strojenia „just intonation”, z którego chętnie korzysta kompozytorka: – To jest bardziej matematyczne podejście do harmonii niż w przypadku systemu równomiernie temperowanego, gdzie oktawa jest podzielona na dwanaście równych części, więc interwały są takie same, zawsze równe. W kontekście harmonii „just intonation” daje zupełnie nowe, o wiele szersze możliwości budowania współbrzmień i relacji harmonicznnych.

Dyrygentce Liliannie Krych wydaje się, że „Pure Voices” jest ćwiczeniem dla naszego ucha, ćwiczeniem wsłuchiwania się w czyste interwały: – Wykorzystując orkiestrę smyczkową, Ola idzie o krok dalej w eksplorowaniu naturalnego stroju instrumentów. Naturalnego, bo pitagorejska kwinta jest fizycznym zjawiskiem, kiedy to struny przestają dudnić między sobą i znika ta lekko rytmiczna poświata. Można to wychwycić „na ucho”. Taki szereg naturalnych dźwięków istnieje również we flażoletach, kiedy smyczki grają dźwięk, nie wydobywając jego pełnego spektrum, ale tylko pewne jego składowe. One odzywają się w miejscach naturalnych. Ola bazuje właśnie na dostrzeganiu się do tych flażoletów, do tych składowych, które są fizycznie naturalne dla każdej fali dźwiękowej. To są poszukiwania czystego brzmienia, ale też mikrozmiian w jego zakresie.

Zastanawiam się, dokąd zaprowadzą Słyż te „mikrozmiiany”. I czy nie okaza się one zbyt subtelne, by w dłuższej perspektywie utrzymać wysokie zainteresowanie jej twórczością. Myślę o tym zwłaszcza w kontekście nagrań, którym trudniej jest oddać fizyczny charakter koncertowego spotkania z jej muzyką. A potem omiatam wzrokiem wszystko to, co napisałem powyżej, i przypominam sobie, że Słyż ma 28 lat. Chyba więc – tak jak w jej muzyce – nie ma sensu się spieszyć. ©

Rozbijanie zabawy

ANITA PIOTROWSKA

Czy „The Palace” Polańskiego, opowieść o zbliżającej się apokalipsie, sam jest katastrofą? Sprawdziłam.

JEST COŚ WSTYDLIWIE ROZKOSZNEGO w oglądaniu filmów, w których trwa odliczanie do katastrofy. Tym razem wiemy, że nie nastąpi ona dosłownie, albowiem wbrew przepowiedniom milenijna pluksa nie zaatakowała globalnego systemu komputerowego. Ale uczestnicy ekskluzywnego sylwestra 1999/2000 jeszcze tego nie wiedzą i bawią się tak, jakby jutra miało nie być. Film Romana Polańskiego, który właśnie dosyć pokątnie wszedł do naszych kin, przeniósł to oczekiwanie na zupełnie inny poziom. Czy „The Palace”, opowieść o zbliżającej się apokalipsie, sam rzeczywiście jest aż taką katastrofą? Sprawdziłam.

Od początku wiadomo, że w tym pokracznym świecie piękne i prawdziwe są jedynie alpejskie widoki – dobrze znane polsko-francuskiemu reżyserowi, który właśnie w ukazanym na ekranie szwajcarskim Gstaad mieszka od lat, a nawet był swego czasu zakładnikiem tego miejsca. Tytułowy hotel w stylu Gargamela nie tylko gwałci pejzaż, ale i skupia menażerie najbardziej obrzydliwych typów ludzkich. I nieźle już na ekranie ogranych, pojawiają się bowiem wśród nich zmanierowane ex-gwiazdy ekranu, rosyjscy gang-

sterzy z modelkami, wiekowe milionerki o ponaciąganych twarzach, zdziwaczałe markizy karmiące pieski kawierem... Zawadiacka muzyczka od razu nadaje ton – oj, będzie grubo. Lejący się hektolitrami szampań zapowiada szampańską zabawę, choć raczej nie dla personelu (jedną z pokojówek gra córka reżysera, Morgane Polanski). Co prawda, menedżer hotelu będzie próbował, wspomagając się hojnie „małpkami”, zarządzać owym kryzysem, lecz jedno wydaje się pewne: za chwilę będziemy świadkami jakiegoś bardzo spektakularnego upadku.

I jesteśmy. W ociekających bogactwem wnętrzach, pośród fajerwerków, serpentyn i ton konfetti trwa niekończący się festiwal przypałów. Twórcy filmu znajdują okrutną frajdę w kompromitowaniu swoich bohaterów, chociaż trzeba przyznać, że grający ich znani aktorzy (Mickey Rourke, Fanny Ardant, John Cleese) wnoszą do tego naddatek autoparodii. Za mało to, by wznieść film na wyższe piętro. „The Palace” do końca pozostanie teatrykiem kukielkowym rozgrywającym się w osobnych okienkach, które sumują się w przewidywalną całość spod znaku „zjedź bogatych”. I tylko czasem uchyla się coś intrygującego: okienko telewizora z noworocznym orędziem Putina, wchodzącego właśnie na prezydencki stolec, albo drzwi do szwajcarskich piwnic, które wiele pamiętają z czasów ostatniej wojny światowej. Żadne to jednak portale ku nowym odsłonom rzeczywistości, bo w samym filmie również rządzi zasada „niech żyje bał!”. Do czasu, aż współczesny Titanic sam się wreszcie zatopi, a mi-

lenijnego robaka pokonają wyrosłe z obzarstwa pasożyty jelitowe.

Podczas seansu ma się wrażenie, że lepiej bawili się filmowcy na planie niż ich publiczność na widowni. Co smutniejsze, oglądamy karnawał bez karnawalizacji, bo w natłoku gagów nie uświadczysz zaskakującej maskarady czy nieoczekiwanej zamiany miejsc. Za to twórcy przemierzają tu bezustannie rozmaite maski komiczne. Mamy więc humor satyryczny, slapstickowy, skatologiczny, makabryczny. Mamy humor prosto znad Wisły (w postaci seksownego polskiego hydraulika) i w poetyce „czeskiego filmu” (kiedy do akcji niespodziewanie wkracza „zwyczajna” rodzina z Budziejowic). Są też mrugnięcia okiem do własnej twórczości, choć oklejony plastrem nos z arcydzielnego „Chinatown” zdążył się stać memicznym sucharem. I w sumie nie byłoby z tym problemu. Nie takie zderzenia czy przekroczenia dobrego smaku pojawiały się już na ekranie. Nie takie dworowania z politycznej poprawności były oglądane. Tyle że od Polańskiego, z racji wieku i dorobku, chciałoby się oczekiwać czegoś więcej. Zwłaszcza że z powodu kontrowersji obyczajowych wybacza mu się dzisiaj znacznie mniej – kiedy np. serwuje nam niewybredne dowcipy o charakterze seksualnym bądź wymierzone w czyjąś fizyczność (nawet tę nachalnie „zrobioną”). Pewnie dlatego u większości widzów tak gwałtownie podwyższa się wówczas poziom zażenowania.

Dostajemy tymczasem kolejną grubą i bardzo przeciętną komedię o zniechęconym „jednym procencie”. I właśnie



RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE. NEXT FILM

THE PALACE

– reż. Roman Polański.
Prod. Włochy/
/Szwajcaria/Polska/
/Francja 2023.
Dystryb. Next Film.
W kinach.

Roman Polański skończył w sierpniu 90 lat. Jego poprzedni film, „Oficer i szpieg” (2019), zdobył Srebrnego Lwa na festiwalu w Wenecji. Najnowsze, „The Palace”, prócz aury skandalu towarzyszyły fatalne recenzje. Współscenarzystami filmu byli Ewa Piaskowska i Jerzy Skolimowski, z którym 61 lat wcześniej przy scenariuszu debiutanckiego „Noża w wodzie”.

Powyżej: kadr z filmu „The Palace”.

tę siernieżną przeciętność najtrudniej mi wybaczyć twórcy takich tytułów, jak „Gruby i chudy” czy „Śmierć i dziewczyna”. Czyli niegdyszemu mistrzowi w ukazywaniu stosunków władzy, który jako narrator starał się tej władzy nie nadużywać i dodatkowo nie upokarzał swoich paskudnych bohaterów. Teraz, w ramach komediowego hulaj dusza, wyraźnie sobie folguje, korzystając z pomysłów ciężkich i mocno przenoszonych. I nie chodzi o zaprzeszyły czas akcji – wszak lęki związane z informatycznym armagedonem czy rządami Putina bynajmniej się nie zdezaktualizowały, nie mówiąc o społecznych nierównościach. Sęk w tym, że w tak zwanym międzyczasie i kino popularne, i to bardziej autorskie osiągnęło w swojej krytyce wyżyny przewrotności („Parasite”), brawury („W trójkacie”) i popularności („Menu” i „Biały Lotos”). Oczywiście, żaden twórca nie musi być na bieżący z postronną produkcją filmową, nie które zaś wspomniane tytuły powstały równoległe do „The Palace”. Szkoda jednak, że przynajmniej na etapie scenariusza zabrakło rozeznania w temacie i w tym, co dzisiaj śmieszy. Albo jak opowiadać, by naprawdę śmieszyło.

„The Palace” wygląda i brzmi tak, jakby nakręcono go dwadzieścia lat temu i, co gorsza, jakby stał za kamerą średnio utalentowany wyrobnik. Trzeba jednak zaznaczyć, że pogłoski o całkowitym upadku mistrza są mocno przesadzone – wygląda to raczej na wypadek przy pracy lub niezdatną próbę wzięcia oddechu przed czymś dużo większym.

W studenckiej etiudzie Polańskiego „Rozbijemy zabawę...” z 1957 r. młodziżowa potańcówka została zdemolowana przez bandę wyrostków, którzy nie mieli zaproszeń na bal. Przez zaledwie siedem minut i nieomal bez słów sporo się można było dowiedzieć o skomplikowanych relacjach przywileju i przemocy w warunkach Peerelu. Komedia o zabawie w Gstaad, chętniej porównywanej do balu wampirów z wiadomego filmu, nie wnosi niczego odkrywczego w temacie uprzywilejowania, chorobliwej konsumpcji i złego gustu – nakręca, po czym bezceremonialnie rozwala tę zabawę. I chociaż film nie kosztował wiele, sam, chcąc nie chcąc, stanowi egzemplifikację wymienionych powyżej chorób. Pozostaje karykaturą karykatury, a ta, jak wiadomo, sama siebie zeruje. ©

Lektor: Źle urodzeni



■ Kalina Błażejowska
BEZDUSZNI.
ZAPOMNIANA ZAGŁADA CHORYCH
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2023

TĘ KSIĄŻKĘ SIĘ ODCHOROWUJE, ALE TRUDNO PRZERWAĆ jej czytanie. Nie tylko dlatego, że podejmuje temat słabo obecny w naszej narracji martyrologicznej – choć przecież mamy „Szpital Przemienienia” Stanisława Lema i ekranizację tej powieści dokonaną przez Edwarda Żebrowskiego. W trakcie lektury narasta w nas poczucie obowiązku wobec ofiar, które Kalina Błażejowska wydobywa z niepamięci i przywraca im indywidualne rysy. Rzekomo „pozbawieni duszy”, systemowo eliminowani w myśl zasad nazistowskiej eugeniki, traktowani jak materiał do doświadczeń, ożywają i stają przed nami. Podziwiam zarówno pisarskie umiejętności autorki, jak i jej odwagę, by wprowadzić tych ludzi we własne życie. Musiało być niełatwo.

Siła tej książki tkwi także w tym, że nakreśliwszy historyczne tło eugenicznych pasji kwitnących przed wojną w wielu krajach i ich zbrodniczej nazistowskiej odmiany, Błażejowska zawęży pole widzenia do trzech miejsc na obszarze włączonym po klęsce Polski do Rzeszy: szpitala psychiatrycznego w Gostyninie, dziecięcej kliniki psychiatrycznej w Lublińcu i domu opieki w Śremie. Zwłaszcza obraz lublinieckiego piekła zapiera dech; długo widzi się dzieci ślaniające się po coraz większych dawkach luminalu niosącego powolną śmierć i trzymane na „diecie eutanazyjnej”. Albo poddawane bolesnemu i niebezpiecznemu zabiegowi pneumoencefalografii. Po śmierci ich mózgi wysyłane są do Wrocławia, gdzie bada je wybitny neuropatolog Hans-Joachim Scherer, skądinąd przeciwnik nazizmu.

Czy Scherer wiedział, co działo się w Lublińcu? Zachowało się 217 podpisanych przez niego protokołów badań – czy domyślał się, jaki był los dzieci, których mózgi krajał? To jest także książka o odpowiedzialności i współodpowiedzialności za zbrodnie. Co do potworów takich jak Ernst Buchalik i Elizabeth Hecker z Lublińca trudno mieć wątpliwości – ale niższy personel, w tym także pielęgniarki Polki? Dużo pytań – i zażenowanie, z jakim się czyta uzasadnienia wyroków RFN-owskich sądów, usprawiedliwiające oczywistych współsprawców.

W pamięć zapada spotkanie z wiekową Edeltraudą Mateją, Ślązaczką z Suchoj Góry, której braciszek bliźniak Herbert umarł w Lublińcu. I jedyny może krzepiący, ostatni fragment książki, gdy odnajduje się uratowany stamtąd Henryk Lelonek. Dziś ma 87 lat i mówi: „No więc żyję, inni nie mieli tyle szczęścia”. ©©

OLGA

Drenda:

Niepowtarzalny aromat hałdy



MAM WSPOMNIENIE Z CZASÓW SZKOŁY średniej, jak to podczas zebrania z udziałem uczniów całej szkoły grono nauczycielskie wyraziło zaniepokojenie faktem, że niektórzy spośród nas noszą subkulturowe emblematy. Tu trzeba zaryso-

wać szerszy kontekst. Po pierwsze, nasze liceum nie obfitowało w subkulturową młodzież, większość stanowili umiarkowani ludzie środka, i adresatów tego komunikatu można było policzyć na palcach może dwóch rąk. Po drugie, troski ciała pedagogicznego stanowiły odprysk wieloletniej paniki moralnej na tle niebezpiecznych sekt, a media, grożąc i strasząc, niespecjalnie się wdawały w niuanse czy nawet wykazywały minimalną wiedzą i dobrą wolą pozwalającą odróżnić subkulturę muzyczną od grupy opartej na psychomanipulacji. Po trzecie, ponieważ mowa o Górnym Śląsku, naturalne było, że podstawową subkulturą jest tutaj metal – jak śpiewał nasz lokalny poeta-wizjoner Roman Kostrzewski, „prawda to metal czarny jak noc”. Wreszcie po czwarte i ostatnie, wszyscy nosiciele i nosicielki tych rzekomo złowrogich emblematów byli uczniami spokojnymi, co najmniej dobrymi, a czasem wręcz wyróżniającymi się, więc akurat padło na osoby, wobec których wszelką troskę należało raczej uznać za zbyteczną. Ale panika moralna ma do siebie niestety to, że rozprzestrzenia się jak pożar lasu i nie zostawia wiele miejsca na chłodny osąd.

Po latach bohaterowie tej anegdotki, przynajmniej niektórzy, pozostali wierni swoim dawnym pasjom. Jedna z nich to Wasza felietonistka, a uczeń ze starszej klasy, którego kojarzyłam jedynie z widzenia, został, jak się później okazało, nieoczekiwanym kustoszem dziedzictwa kultury rodzimej



Mamy
księżyc
w domu.

OLGA DRENDA

– muzykiem arcykrajowej, arcyśląskiej grupy Furia, który z ponurej, zagrzybiałej krypty dotoczył się, między innymi, na scenę szacownego Teatru Starego. Cała przygoda zaś – obrazek jakże charakterystyczny dla swoich czasów – przypominała mi się z okazji premiery nowego albumu tegoż „zespołu pleśni i końca”, czyli „Huty Luna”. Być może będą jej słuchać i nasi niedzisiejsi licealni nauczyciele, bo takim to zmyślnym trefnieniem bywa los.

Albo trafią na niezmiernie popularny wykład Łukasza Orbitowskiego w Muzeum Śląskim, poświęcony wielkiej polskiej tradycji black metalu. Od czasów szkolnych zmieniło się bowiem wiele i dzisiaj muzyka ta zmieniła swój status: z szatańskiego wywaru wiodącego do nieuchronnego zatrucia, postrachu rodziców i nauczycieli – w wyrób kultury z kategorii „odrobinę trudny, lecz ambitny”, sięgający już różnych uszu. Z pewnością pomógł w tym teatralny epizod Furii: muzyka do „Wesela” Jana Kłaty sprawiła, że rozmawiali się w dramaturgii, ale też charakterystyczny blackmetalowy efekt burzy i naporu ukierunkowali w stronę tętentu i niezmordowanych hołubców, kojarzących się z ekstatycznym zapętlaniem prawdziwej polskiej muzyki ludowej. Również Odraza nawiązała udaną współpracę z Muzeum Miasta Krakowa, a Mgła grała na Off Festiwalu: normalizacja muzyki niegdyś ekstremalnej postępowała stopniowo i skutecznie.

I bardzo dobrze, bo to jest muzyka najpolsksza z polskich. Blackmetalowcom dyskretnie i pod osłoną mroku udało się coś, na czym poległy bardzo kosztowne programy promocyjne, edukacyjne i propatriotyczne: rozbudzili fascynację polskim dziedzictwem i mową. Za tzw. moich czasów w metalu dobierano sobie obco brzmiące nazwy i ryczano po angielsku, z pragmatyczną nadzieją na eksport (bo oprócz jazzu był to najchętniej słuchany za granicą gatunek polskiej muzyki). Wkrótce okazało się, że i cudzoziemców pociąga gąszcz spółgłosek, pojawiły się więc nowe projekty, w warstwie lirycznej inspirowane często nazewnictwem chorób oraz zjawisk pogodowych. Zamiast nieco zgranego jasełkowego diabła w metalowym uniwersum pojawił się diabeł jakby młodopolski. Niedosłowność, wyobraźnia, ale też świadome działanie z pogranicza *art brut*, czyli też większa swoboda. Eksplorowanie nie tego, co pomnikowe, lecz raczej tego, co fascynująco odrażające i niesamowite, bo słownik języka polskiego daje wiele możliwości, by to nazwać. Sama Furia, od której zaczęłam, wzbogaca wyziewy młodopolszczyzny o niepowtarzalny aromat hałdy, bo jako twór ziemi śląskiej powołują się na sztafetę wielkich artystów outsiderów, od malarzy z Grupy Janowskiej po mistycznych wizjonerów z Piastowskiej i.

Są to oczywiście wyroby rozmaitej jakości, w przypadku niektórych zespołów przypominające nieco poezję typową dla wieku licealnego. Ale wszak od liceum zaczęliśmy. To przypomina mi, że jedno z najbardziej oszałamiających, a zarazem odpychających dzieł pionierskich dla surrealizmu, „Pieśni Maldorora” Lautreamonta, miało powstać z inspiracji lekturą Mickiewicza i Krasińskiego. Jak widać, i z korpusu lektur szkolnych mogą powstać twory zupełnie osobne. ©

PAWEŁ

Bravo: Morski kurczak



STO KORON NORWESKICH POZWOLI WAM zwiedzić chatkę, którą Ludwig Wittgenstein – największy architekt wśród filozofów – postawił sobie na zboczu najdłuższego w Norwegii fiordu. Sognefjord leży blisko Bergen, dokąd komfortowo doleciecie samolotem – dalej wygody się kończą, ścieżka jest miejscami, by tak rzec, tatrzańskiej klasy, a wewnątrz to inspiracja dla ikeowskiej serii „Sparta”, gdyby taka miała powstać: gołe dechy, stół, krzesło, twarda prycza. Widoki zapierają dech, o ile cokolwiek widać, bo chmury lubią tu wisieć nisko całymi tygodniami, a jednak Wittgenstein uwielbiał to miejsce, napisał tu ważne teksty, cisza mu służyła, choć musiały go dobiegać głosy miejscowych zajętych połowem ryb. Może zanim został wegetarianinem, zdążył skosztować w pobliskiej osadzie Skjolden dzikiego łososia.

Taka wyprawa, podobnie jak lektura Wittgensteina, to przyjemność dla nielicznych. Ale mamy przecież tu u siebie własną małą Norwęgę. Podlasie co prawda z krętych wód posiada jedynie trzciniaste rzeczki, ale pogoda bywa równie mokra, cisza równie metafizyczna, a poza tym, i to najważniejszy aspekt norweskości, łososia jest tam w bród. Jeśli jadacie tę atlantycką rybę, zwłaszcza w wędzonej postaci, to jest prawie pewne, że przyjechała na wasz stół z podlaskiego miasteczka, stolicy łososiowego imperium wartego już co najmniej miliard złotych rocznie. Czego może nie rejestrujemy w naszej codzienności, bo większość kolosalnego przerobu wraca na Zachód.

Zresztą w ogóle te nasze „czempiony” spożywcze (realne, w przeciwieństwie do obiecywanych przez p. premiera) są dyskretne. Polska produkuje najwięcej mięsa drobiowego w Europie, ale pewnie mielibyście kłopot ze wskazaniem, gdzie są największe kurze fermy i przetwórnice.

Łosoś bywa zresztą zwany morskim kurczakiem i jest to chwyt mający przekonać, że przy produkcji tej ryby ludzie powielili okrutny dla zwierząt, szkodliwy dla środowiska i dla konsumenta model. O tym, jak wygląda przemysłowa hodowla kurczaków, sporo się już u nas publicznie opowiada. Kwestia łososia jest mniej znana, z tego choćby powodu, że to dzieje się daleko, nie mamy okazji zobaczyć, jak wygląda akwakultura – za tym ładnym słowem kryją się parodzieściometrowej średnicy cylindryczne zagrody z siatki na otwartym morzu. Wyobraźcie sobie sklepowy basenik z karpami w grudniu, tylko razy tysiąc. Jak przy każdej hodowli w skali makro, powstaje ogromna ilość odchodów, których nie da się zutylizować, cały ten syf opada na dno morza. Gęstość zarybienia tworzy (podobnie jak gęstość chowu w klatkach) idealne warunki dla pasożytów – w tym przypadku jest to tzw. łososiowa wesz, mały skorupiak, który obgryza gospodarza, zostawiając otwarte rany. W stanie dzikim łososi stale

miewają takich towarzyszy, ale dopiero w akwakulturach robi się z tego masowy problem, skutkujący śmiercią ryb. Można wpompować truciznę, ale wesz się uodparnia. Problemem niejako zaocznym jest odłów na półkuli południowej ryb przeznaczonych na karmę dla łososi, które w ten sposób znikają z obiegu i z gospodarki rybackiej okolic bynajmniej nie zamożnych.

Wszystkie te argumenty docierają do nas jako echo kampanii w krajach bezpośrednio dotkniętych tą formą postępu – ostatnio zwłaszcza na Islandii, gdzie zaczynają się instalować norweskie firmy niemieszczące się już w macierzystych wodach. Niedawno w polskiej prasie mignęła mi relacja, jakoby prestiżowe brytyjskie restauracje wyrzucały łososia z kart. Trochę to rozdmuchana była historia, bardziej dziwi, co w ogóle łosoś mógł robić w menu lokalu z aspiracjami. Bo z łososiem, podobnie jak z kurczakiem, problem polega nie na tym, że jest szczególnie wyrafinowany – epoka wczesnej transformacji, kiedy był to bankietowy rarytas, który pierwszy zniknął ze szwedzkiego bufetu, już minęła. Rzecz w tym, że jest on w sumie równie nijaki smakowo, co pożywny i wybitnie łatwy – idealna formuła przy karmieniu dzieci, ale i szerzej, w każdym normalnym, rodzinnym gotowaniu, gdzie nie chodzi o gwiazdki, tylko o niskowysiłkową, sytą kolację.

Moje dzieci dostawały łososia, a jakże (żadna inna ryba nie wchodziła w grę). Na szczęście już dawno je odchowałem, jakieś mam więc prawo, by was zniechęcać. Ale może następnym razem tartinkę zrobimy z makrelą? O niej niczego złego jeszcze nie czytałem. ©©



Pozyskiwanie ryb na stół nie stało się okrutne dopiero w naszej epoce – dowodem choćby mattanza tuńczyków u wybrzeży Sardynii, pokazana np. w filmie Rosselliniego „Stromboli”. Dziś ta metoda jest już zabroniona i ponoć połów jest bardziej humanitarny. Dobry tuńczyk śródziemnomorski jest znacznie droższy od azjatyckiego, ale już jego mała puszcza robi nam piękny makaron alla carrettiera (czyli po wozacku). Dusimy na 4 łyżkach oliwy, bardzo powoli, przez ok. 10 min., połówkę cienko posiekanej cebuli. Dodajemy tuńczyka z puszki, ze dwa pomidory z puszki, rozgniatamy delikatnie i dusimy dalej przez parę minut, aż się sos skróci. Łączymy na ciepło z makaronem – ja wolę do tego krótkie formy – i posypujemy obficie tymiankiem. Wielu osobom smakuje mój wariant z natką pietruszki. Ale z naprawdę obfitą jej ilością. Tuńczyk, moim zdaniem, lubi pietruszkę.

Tygodnik Smaków – co piątek
w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



ZMYSŁY



ISZTAR SZUKA DOMU

Kodeks Hammurabiego, brama do starożytnego Babilonu i wiele innych bezcennych zabytków idzie na 14 lat pod klucz. Gdzie je znów zobaczymy, kiedy ten czas minie? Czy opuszczą Europę?

ANNA PAJĘCKA



Brama Ishtar, Muzeum Pergamońskie, Berlin, 8 czerwca 2023 r.

NOTRE DAME SPŁONĘŁA, PAŁAC WESTMINSTERSKI BYĆ może runie, zanim doczeka renowacji, a Muzeum Pergamońskie właśnie się zamyka” – tak podsumował koniec epoki w kulturze na portalu X jeden z niemieckich dziennikarzy. Dyskusja pod wpisem pokazała, jak bardzo Europejczycy są przywiązani do swojego dziedzictwa. Nawet nie do obcowania z nim, ale świadomości, że mają taką możliwość. „Co najmniej jedno pokolenie dorastając nie będzie miało możliwości obcowania z najważniejszymi przestrzeniami kultury i sztuki na świecie” – pisano.

Brama

Rzeczywiście, 23 października Pergamońskie Muzeum w Berlinie zostało zamknięte na co najmniej 14 lat. Tyle potrwa renowacja gmachu. Na czas remontu nie zdecydowano się usunąć wszystkich eksponatów – i m.in. w związku z tym całą

operację wycenia się na około 1,5 miliarda euro. Szczególna ostrożność, wydłużająca planowane prace, będzie wymuszona budową tunelu – przejścia łączącego wszystkie instytucje w ramach berlińskiej Wyspy Muzeów: Muzeum im. Bodego, Muzeum Pergamońskie, Nowe Muzeum, Starą Galerię Narodową oraz Stare Muzeum. Realizatorzy zlecenia muszą uważać, aby skutki odwiertów nie zagroziły pozostałym tu artefaktom.

W 1931 r. „New York Times” pisał o Muzeum Pergamońskim: „najdroższe muzeum na świecie”. Budynek powstawał przez 20 lat. Ostatni raz na tak długo wyłączono go z użytkowania po bombardowaniu Berlina w 1945 r. – całkowicie zniszczone muzeum, z którego odpowiednio szybko wywieziono większość zbiorów, odbudowywano przez dwanaście lat.

Wiść o zamknięciu „Pergamonu” uruchomiła swoistą tanatoturystykę. Północne skrzydło jest zamknięte od 2012 r. – wiele osób, które przyjechało do Berlina później, tylko z opowieści zna Ołtarz Pergamoński, jeden z najcenniejszych zabytków starożytności. Można było za to zobaczyć Bramę Ishtar (575 r. p.n.e.), wywiezioną przez Niemców, a prowadzącą kiedyś do miasta Babilon, Muzeum Sztuki Islamskiej, dzisiaj duże skrzydło wypełnione tkaninami, kaligrafią i sztuką z Aleppo, oraz skrzydło poświęcone sztuce Bliskiego Wschodu z imponującą kolekcją mozaik.

W sierpniu, na chwilę przed zamknięciem, trzeba było rezerwować bilety już z kilkudniowym wyprzedzeniem. Wybrałam się na pierwszy pożegnalny obchód. Nie minęło kilkanaście minut – pod Bramą Ishtar wpadłam na daleką znajomą. Joanna mieszka w Berlinie od kilku lat, przyszła pokazać muzeum swojej siedemdziesięcioletniej mamie. Mówi mi: „Wiesz, to pewnie ostatni raz. Nie miałam pojęcia, że przyjdzie tu będzie taką próbą oswojenia się ze śmiercią”. Zwłaszcza że muzeum, nazywane także „trumną na nasze martwe ciała”, myśleniu funeralnemu wyjątkowo sprzyja. Rzeczywistości, którą Muzeum Pergamońskie reprezentuje – przecież także już nie ma. Niektórzy mają nadzieję, a niektórzy obawiają się, że w 2037 r. muzeum nie otworzy się dokładnie w takiej samej formie, w jakiej zostanie zamknięte.

Chodzi m.in. o Bramę Ishtar – ważną dla Europejczyków, którzy odwiedzają Wyspę Muzeów według obowiązkowych kierunków zwiedzania: Popiersie Nefertiti, zwane berlińską Moną Lisą, w Nowym Muzeum; Brama Ishtar i prowadząca do niej Droga Procesyjna oraz Kodeks Hammurabiego w Muzeum Pergamońskim.

Dekolonizacja

Znaczenie Bramy Ishtar rozumie każdy, kto chociaż raz stanął pod tą imponującą konstrukcją. W 1899 r. Robert Koldewey i Walter Andrae, archeolodzy z Niemieckiego Towarzystwa Orientalnego, przyjechali do Babilonu na poszukiwania – za cel postawili sobie odkrycie miasta zbudowanego przez Nabuchodonozora II z VI wieku p.n.e.: chodziło o legendarne babilońskie wiszące ogrody, biblijne miasto z wieżą Babel. Miasto, do którego okazała się prowadzić brama zbudowana z niebieskich glazurowanych cegieł, przedstawiająca mitologiczne bestie, stworzenia zaświadczone o fantazji, wierzeniach albo czymś, czego istnienie dzisiaj nie mieści nam się w głowie.

→

I takie też miała zadanie brama: obezwładniać swoim pięknem, rozbudzać wyobraźnię, mieszać fikcję z rzeczywistością, za sprawą fantazji i powstających w niej kreatur odstraszając najeźdźców, onieśmielać poddanych.

Części odkopanej instalacji archeolodzy zebrali do dziewięciuset pudeł. W dalszych pracach przeszkodził im wybuch I wojny światowej. Musieli ewakuować się z terenów poszukiwań. Skrzynie załadowane elementami konstrukcji trafiły do Portugalii i stamtąd do Berlina, a jej rekonstrukcji państwo niemieckie podjęło się na chwilę przed oficjalnym otwarciem Muzeum Pergamońskiego – w 1928 r.

Prawie sto lat później, od 2002 r., o zwrot bramy prowadzącej do Babilonu wielokrotnie upominał się Irak. Nikt jednak nie wierzy w to, że Berlin kiedykolwiek zwróci artefakt, który, jak szczególnie widać to dzisiaj, ma takie znaczenie dla prestiżu narodowej instytucji. Brama Isztar to często przykład w dyskusji o repatriacji artefaktów kulturowych do krajów, w których toczy się wojna. Bo, mówią eksperci i muzealnicy, czy brama przetrwałaby wojnę w Iraku? Czy ułożenie jej w europejskiej stolicy nieobjętej wojną nie zapewnia kulturowej ciągłości, a nawet nie ocaliło jej dla pokoleń? Przecież w Iraku, w 2015 r., Państwo Islamskie nie oszczędziło wielu artefaktów uznawanych przez nich za bałwochwalcze, niszcząc je bez litości, tłukąc i okaleczając posągi. Te bardziej wartościowe sprzedawano bogatym ewangelikom z USA, aby finansować dalszą ekspansję. Rynek nabywczym, paradoksalnie, okazał się znów rynek zachodni.

Podobnie było po upadku dyktatury Saddama Husajna w 2003 r. Irackie muzea pładowano kawałek po kawałku – nie oszczędzono toalet ani kabli, które później sprzedawano w skupach miedzi. Stacjonujące wówczas w Iraku amerykańskie wojska nie zadbały o zabezpieczenie irackiego dziedzictwa kulturowego. Z Muzeum Narodowego w Bagdadzie wywieziono wówczas wiele artefaktów, które później znalazły się na komercyjnych aukcjach m.in. w Christie's. Jedna z takich aukcji, podczas której licytowano asyryjskie obiekty, została oprotestowana przez członkinie Iraq Transnational Collective.

Argumentację o bezpieczeństwie, jakie Europa zapewnia zbiorom, wysuwają także niemieccy muzealnicy. Pomijając niewygodny fakt – w 1945 r., a więc w nie tak odległej przeszłości, to właśnie ich muzea, w tym Pergamońskie, zostały zrównane z ziemią.

Ale i ta linia obrony zachowania obcego dziedzictwa w zachodnich muzeach powoli się dezaktualizuje. W 2021 r. USA zwróciło Irakowi tych kilkaset skradzionych artefaktów, które na skutek wyprzedaży lub przemytu trafiły do amerykańskich instytucji. Przemyt prowadziła korporacja Hobby Lobby. To z kolei rozpetało dyskusję o tym, jaki wpływ na kolekcje gromadzone przez prywatne podmioty może mieć państwo, jeśli w grę wchodzi wspólne historyczne dziedzictwo o ogromnej wartości – nie tylko ekonomicznej, ale także kulturowej.

Coś się zmienia

W styczniu niemiecka urzędniczka, zastępczyni berlińskiej sekretarz stanu ds. różnorodności i antydyskryminacji, Saraya Gomis, publicznie wyraziła poparcie dla zwrotu m.in. Ołtarza Pergamońskiego i Popiersia Nefertiti do kraju pocho-

dzenia, twierdząc, że „wszystkie dobra kulturowe z innych regionów świata nie należą do nas i są tutaj nielegalnie”. Turcja i Irak aktywnie dążą do uzyskania tytułu prawnego do swoich wysiedlonych artefaktów.

Ważnym punktem w dyskusji było otwarcie kolejnej berlińskiej instytucji – Humboldt Forum, jednego z najbardziej kontrowersyjnych tutaj projektów architektonicznych, a jednocześnie siedziby muzeum antropologicznego. To właśnie tu, w odbudowanym Pałacu Berlińskim, mieszczą się słynne brązy z Beninu, których część instytucja, w ramach praktyk dekolonizacyjnych, zdecydowała się zwrócić prawowitym właścicielom w Nigerii. Reszta pozostanie w Niemczech na zasadach długoletniego wypożyczenia.

Kilka lat wcześniej, zanim dyskusja o „dekolonizacji muzeów” osiągnęła realne efekty, Berlin robił pierwsze kroki w kierunku integracji kulturowej za pomocą sztuki. W 2016 r. Muzeum Pergamońskie zapoczątkowało program oprowadzania po wystawie w języku arabskim. Był to jeden z pomysłów niemieckiego rządu na integrację uchodźców i uchodźczyń, których po 2015 r., w okresie kryzysu uchodźczego w Europie, do Berlina trafiło nieproporcjonalnie więcej niż w latach poprzednich. Wówczas reakcje arabskojęzycznych gości były skrajne: od wzruszenia możliwością zobaczenia wschodniego dziedzictwa „na żywo” po gniew, że to Niemcy posiadają całą „naszą dumę kulturową”.

Dziś, kilka lat później, wielu opiekunów ekspozycji, pracujących w muzeum, jest arabskiego pochodzenia. Przy okazji kolejnego zwiedzania pytam jednego z panów o to, jak czuje się z tym, że muzeum za chwilę zamyka się na kilkanaście lat. Jest nastawiony optymistycznie. Opowiada, że za chwilę otworzy się północne skrzydło, a w nim – Ołtarz Pergamoński, wyłączony ze zwiedzania w 2014 r. Cieszy się, że obejrzy ołtarz – jeszcze nie widział go na żywo. W Berlinie jest od 2016 r.

Przy okazji chciałam się dowiedzieć, czy oglądając codziennie Bramę Isztar można przestać się nią zachwycać. Śmiało się, że nie. Mówił także, że nigdy nie było tu takiego podekscytowania. Muzeum ożyło. Ludzie rozmawiają głośniejsz niż zwykle, nie krępują się. Martwe sale zamieniły się w jarmark. Muzeum się pakowało, więc nie wszystko można było zobaczyć, ale ludzie podchodzili bliżej niż wcześniej, a czujniki ruchu nie reagowały.

Dla instytucji to tak, jakby znalazła się w momencie przejścia. Kiedyś na robiących zdjęcia opiekunowie spoglądali krzywo, mimo że jest to dozwolone, choć nigdy z flegmą. Teraz wszyscy pozowali bez skrępowania. Co kilka metrów grzecznie ustawia się kolejka, nikt nie wchodzi nikomu w kadr. Mój rozmówca mówił: taki Disneyland. To nie ekspozaty są największą rozrywką, stała się nią sama sytuacja zamknięcia.

Jaka sytuacja? Poluzowania. Nie chodzi nagle o unieważnienie zbiorów lub istotności instytucji, ale w końcu oczyszczenie gromadzących się przez lata warstw nieprzystępności. W jednym z klasycznych polskich filmów, „Człowieku z marmuru” Andrzeja Wajdy, wywrócone rzeźby znajdujące się w magazynie eksponatów w podziemiu Muzeum Narodowego w Warszawie podsuwają głównej bohaterce pomysł na to, w jaki sposób opowiedzieć historię o upadłym przodow-



ARISTIDIS VAFEIADAKIS / ALAMY / B&W

Ołtarz Pergamoński, Berlin, 2010 r.

niku pracy. Theodor Adorno pisał, że trwanie w muzeach jest sprzecznością wobec śmierci. Odtwarza świat, którego już nie ma. Jest materialnym dowodem na to, czego istnienie i dziedzictwo oswajają kolejne pokolenia. Muzeum jest gwarantem zatrzymania czasu, ale jednocześnie pobudza do życia przeszłość, udowadnia, że istniała mimo prób jej wymazania. Unaocznia jej istnienie. Także tego, co niewygodne. Efektem jest przecież dekolonizacja muzeów, a co za tym idzie – ich demokratyzacja. Być może to konserwatywne przekonanie, ale to, w jaki sposób obchodzimy się z naszymi muzeami, trzyma przeszłość na swoim miejscu.

Zaczęłam także dwie kobiety – rozmawiały po polsku. Pytam, czy mieszkają w Berlinie i przyszły pożegnać się z instytucją. Nie mieszkają, są spod Krakowa, ale przyjechały specjalnie, aby zobaczyć muzeum. Są tu pierwszy raz. „Nie zawsze jest okazja mieć pewność, że robisz coś po raz ostatni w życiu”, mówi nostalgicznie starsza z nich. Festiwal nostalgii przeplata się w muzeum z ekscytacją. Ludzie myślą o sobie za czternaście lat i dzisiaj trudno wyobrazić sobie i zaplanować tak odległą, choć jednocześnie, w perspektywie oglądanych eksponatów, bliską przyszłość. Data ponownego otwarcia pozwala spróbować ustawić się na osi czasu. Szczególnie że sama instytucja muzeum daje do tego okazję. Zwiedzający są pewni, że ostatecznie ministerstwo spraw zagranicznych ugnie się pod naciskami, a muzeum otworzy się w nowej formie.

Strata

Pomysł zwrotu eksponatów goście muzeum przyjmują mniej entuzjastycznie niż eksperci. Niemcy są przywiązani do znaczenia swoich instytucji na arenie międzynarodowej. Brama Ishtar na czas remontu nie zostanie rozmontowana – mój rozmówca pracujący w muzeum żartował sobie, że Niemcy dobrowolnie jej nie oddadzą, a jak zostaną do tego zmuszeni, to będzie trzeba skuć ją siłą. Zmiana w prawie, która łagodzi nakaz zwrotów, ale także podtrzymuje możliwość niepubliko-

wania przez Niemcy listy skradzionych dóbr, została zatwierdzona jeszcze za rządów Angeli Merkel. Sama była kanclerz mogła być szczególnie przywiązana do miejskich muzeów, także z prywatnych powodów. Okno jednego z jej mieszkań, jeszcze z lat 90., wychodzi na zamknięte do dzisiaj, północne skrzydło „Pergamonu”. Tę plotkę zdaje się potwierdzać stała obecność policji pod oknami niepozornej kamienicy.

Annalena Baerbock, federalna ministra spraw zagranicznych, ostrożnie nadzoruje kwestię zwrotu zrabowanych przez Niemcy dzieł sztuki. Stawką działania jest redefinicja muzeum w ogóle. XIX-wieczne postrzeganie muzeów europejskich, jako miejsc przechowywania materialnych dowodów na europejską siłę i podporządkowanie krajów, które podbili, powoli ustępuje miejsca potrzebie zadośćuczynienia i wyrównywania krzywd. Nie jest już także tajemnicą, że obecność konkretnych artefaktów w największych europejskich instytucjach to nie efekt przypadku lub szczęśliwego zbiegu okoliczności – archeolodzy, wyjeżdżający pod koniec XIX wieku na poszukiwania, otrzymywali od muzeów precyzyjne zamówienia.

Dzisiaj nacisk na instytucje jest coraz silniejszy, a co za tym idzie – coraz trudniej przekonywać o etyczności zachowania zbiorów w Europie. Muzea próbują negocjować, ale efekty bywają kuriozalne. Na przykład Muzeum Wiktorii i Alberta w Londynie zaproponowało zwrot zagrabionych etiopskich artefaktów, ale tylko jeśli pozostaną w Wielkiej Brytanii na zasadzie „długoletniego wypożyczenia”. Muzea pomijają przy tym jeden z najistotniejszych aspektów, dla których kraje zgłaszają się, aby odzyskać zbiory – ich społeczeństwa próbują odbudować tożsamość po okresie kolonializmu, a są pozbawione dostępu do swojego dziedzictwa kulturowego, także z powodów ekonomicznych. Bilet wstępu do muzeum w Berlinie kosztuje 12 euro, a turystyka, w tym wizy do Europy, dla wielu, nawet zamożnych mieszkańców są nieosiągalne.

Tak, to oznaczało alienację ich pamięci. © ANNA PAJĘCKA

STANISŁAW

Mancewicz:

Łzy rewolucjonistów



NIE BĘDIEMY DZIŚ KRYĆ, ŻE LEKTURA ZARÓWNO tych autentycznych, jak i wyreżyserowanych protestów przeciw spodziewanym represjom wobec ludzi zatrudnionych w państwowych przedsiębiorstwach propagandowych robi na nas

przykre wrażenie. Podobnie ich troska o jakość wolności słowa. Odczuwanie przykrości wynika z wieku. Oto – zauważamy z radością, ale i zdziwieniem – charakter nam się ogromnie poprawił, a nie jest to koniec, jeśli idzie o zmiany na lepsze.

Przynajemy z zadowoleniem, że z latami stajemy się coraz to bardziej wyrozumiali i dobrotliwi. Zamiast popadać w złości, upory, gwałtowne irytacje i zgrzybienia, we wszelakie rehotliwości, gdy skrzydlata nasza myśl mogłaby pobiec ku mściwym wizjom, stajemy się wybacзлиwi, a miłość do wszelkiego stworzenia pięknie tonizuje elektryczne impulsy meandrujące po naszym układzie nerwowym. Dodać tu konieczne trzeba, że wszelkie objawy złości czy niechęci natychmiast dusimy poduchą miłości bliźniego. Chętniej niżli za młodu entuzjazmujemy się estetycznie. Wolimy literaturę wesołą od okrutnej, chcemy słuchać pieśni skocznych, rozwlekłych zaś unikamy, wolimy dźwięki raczej słowicze niżli wronie.

No więc jest nam przykro, gdy czytamy owe listy i apele. Ich sygnatariusze obawiają się konsekwencji ich własnej kreatywności, uprawianej przez wiele ostatnich lat na łamach, na wizji i w eterze. Pomysłowość owa – a wie to każdy głupi – przyniosła rewolucję na skalę nigdy wcześniej w Polsce nie widzianą. Pracownicy podpisujący się dziś pod protestami wobec zwizualizowanej przez nich samych, spodziewanej zemsty zrewolucjonizowali język polski w stopniu niewidzianym i niesłyszczanym tu od wieków. Nigdy wcześniej pol-

szczyzna nie była w tym stopniu pułapką dla użytkowników tego niełatwego przecież języka.

Rewolucjoniści – a jest to dla każdej rewolucji charakterystyczne – zmienili wektory znaczeń i wprowadzili nową ich stopniowalność. Wprowadzili nas w swój świat rewolucyjnych wartości, zwany przez niektórych znawców tematu antywartościami. Wymyślili nowe słowa, nową ich odmianę i nową składnię, choć rzecz trzeba z uśmiechem, że nagminnie popełniali w ich używaniu bardzo stare błędy, a były to głównie rusycyzmy. Zastosowali także z ogromnym sukcesem *stricte* rewolucyjne podejście do prawdy. Owe zmiany dotyczą sposobu publicznego opisywania świata, przyrody tej ożywionej, jak i nieożywionej, chemii także organicznej, jak i nie, rzecz więc można, że widzenie przez masy Wszechświata zostało przez narracyjnych rewolucjonistów zrewoltowane.

Słabo kojarzącym można pomóc i wyrazić się bardziej obrazkowo: oto Ziemia się mocno spłaszczyła, wnioski p. M. Kopernika dotyczące ruchu nieboskłonu włożono do lamusa i zatrzęsnięto je tam na amen. Z sukcesem zlikwidowano zarazki i wirusy, medycynę uznano za naukę podejrzaną, medyków za ludzi, z którymi trzeba ostrożnie, a najlepiej twardo, podobnie z nauczycielami, z wyjątkiem tych od religii. Zjawiska klimatyczne uznano za dopust Boży, podobnie stało się z ekonomią, arytmetyka została zideologizowana, królową nauk została zmyślona historia, doktryną polityki i humanistyki stało się cierpiętnictwo, którego operatorami zostali zawodowi grafomani, ze wszelkimi tego estetycznymi i intelektualnymi konsekwencjami. Świat wokół został masom przedstawiony jako gruby brzuch, którego pępkiem jest Polska, i w którym to pępku mogą mieszkać tylko prawdziwi Polacy, a więc liczba miejsc jest ograniczona.

Jest to, rzecz jasna, lista szalenie niekompletna, zrobiona tu na chybcika, pozbawiona – poza pępkiem – wielu smacznych anatomicznych szczegółów. I to wszystko – rzecz trzeba – teraz zapewne się trochę zmieni. Owo „trochę” wynika z naszego hurraoptymizmu, że jednak, choć troszkę, że coś się uda... I przeciw temu „troszkę” protestują rewolucjoniści. Z tego powodu ła im się kręci, z troską i smutkiem patrzą na Polskę przyszłości, że ich heroiczny wysiłek pójdzie na marne, więc protestują, bo przecież nie z powodu utraty pensji. Co to, to nie. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ





Smak Tygodnika

Paweł Bravo stałym autorem „Tygodnika Powszechnego” został w 2011 roku.

Był m.in. kierownikiem działu krajowego, ale jego obecność na łamach i poza nimi przekracza tematyczne granice.

Bravo w „Tygodniku” to cotygodniowe felietony w rubryce **Smaki**, przepisy kulinarne z darmowego newslettera **Tygodnik Smaków** oraz wysyłane co dwa tygodnie autorskie newslettery premium z cyklu **„Paweł Bravo: jedzenie i wino”**, które otrzymują Patronki i Patroni Fundacji Tygodnika w serwisie Patronite.

Dziennikarskiego fachu uczył się u Andrzeja Woyciechowskiego w Radiu Zet, po czym po kilkuletniej przerwie na pracę w Fundacji Batorego powrócił do zawodu – najpierw jako redaktor tygodnika książkowego „Latarnik”, potem jako dziennikarz działu kultury „Gazety Wyborczej”.

W latach 2001-2004 redaktor działu angielskiego w tygodniku „Forum”. W latach 2007-2011



zastępcą redaktora dodatku „Plus Minus” w „Rzeczpospolitej”. Od lat zajmuje się też winem, jako dziennikarz i krytyk, a ostatnio także aktywnie w jednym z wine barów na krakowskim Kazimierzu.

Przypominamy to wszystko nie bez powodu. Z radością przyjęliśmy informację, że 14 października nasz autor odebrał Nagrodę im. Leopolda Staffa za książkę „Czekolada i kapuśniak”, na którą składają się teksty publikowane w „Tygodniku”.

W wygłoszonej na cześć laureata laudacji Tessa Capponi-Borawska

mówiła: „W kalejdoskopie wnikliwych obserwacji, wspomnień z nostalgiczną nutą i sugestywnych opisów, Paweł Bravo zabiera nas w świat drobnych przyjemności codziennego życia, wśród których jest kuchnia, ta prawdziwa, bez zjawisk mody czy trendów. Smaki, zapachy są tutaj autentyczne i bezpretensjonalne. (...) Potrzebujemy takich tekstów – czytelnich, ciekawych i, **powiedzmy sobie szczerze, smacznych**”.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

CZEKOLADA I KAPUŚNIAK.

Felietony do czytania przy zagniataniu masy na ciasto albo karmelizowaniu cebuli. Kup nagrodzoną książkę:



TYGODNIK SMAKÓW.

Zapisz się na newsletter, aby odbierać cotygodniowe przepisy kulinarne Pawła Bravo



PAWEŁ BRAVO: JEDZENIE I WINO.

Zostań Patronem Fundacji Tygodnika w serwisie Patronite, by odbierać autorski newsletter premium



SMAKI.

Czytaj jedyne takie felietony, które są jednocześnie kulinarne, społeczne i filozoficzne. Co środę w „Tygodniku Powszechnym” i na www.TygodnikPowszechny.pl



Tym marzeniem może być projekt społeczny, kulturalny lub biznesowy, ale również pokrycie kosztów leczenia, opieka nad pupilem czy wsparcie bliskich w trudnych chwilach. Założenie zbiórki jest całkowicie darmowe i trwa kilka chwil.

Zbieraj na to, co **ważne**

dla siebie, swoich *bliskich*
i na inicjatywy bliskie
Twojemu sercu.



Leczenie mojego ukochanego
Azora



Pomoc sąsiadka dla Pani
Janiny



Kultowa księgarnia-kawiarnia
potrzebuje Ciebie



Wsparcie psychologiczne
dla młodzieży

Pomagam.pl

STWÓRZ ZBIÓRKĘ

ZBIERANA KWOTA

7500,00 zł

TYTUŁ ZBIÓRKI

Wpisz tytuł zbiórki

Dalej

Cofnij

Wejdź na Pomagam.pl
i sprawdź, jak to działa!